

7-8

NIEMCY EUROPEJSKIE • DUŃSKIE
OLŚNIENIA • ROK LIBERAŁÓW

POMERANIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LIPIEC—SIERPIEŃ 1991

CENA 6000 2



Na gorąco

W niestabilnym systemie państwowym koalicje partyjne są jak przejściowe małżeństwa kontraktowe. Zawieranie ich jest ryzykowne, bo słabsi zostaną z czasem wyeliminowani z życia politycznego, lub ubezwłasnowolnieni przez dyktat silniejszych.

Ludzie nader często żyją złudzeniami i dlatego fatalni posłowie i senatorowie są ich dziełem, to znaczy dziełem w rzeczywistości dobrych obywateli. Teraz, kiedy kampania wyborcza do parlamentu nabiera rozmachu, a mierni politycy przejawiają najmniej taktu i plotą głupstwa, wypada się zastanowić, w jakim stopniu wolne wybory wpłyną na kształt parlamentu, szczególnie izby poselskiej.

Uważam, że wolne wybory niczego nie zmieniają w sytuacji politycznej i społeczno-gospodarczej kraju. Wielość walczących o mandaty partii nie jest w tym przypadku czynnikiem decydującym o przyszłym parlamencie. Decydować będzie pokolenie, które w nim zasiądzie. Pokolenie jeszcze bez poważnego doświadczenia politycznego, pozbawione zdrowej refleksji historycznej, bardzo stronnice, którego jedyną racją jest, że otarło się o struktury opozycyjne lub zostało rozgrzeszone z popierania realnego socjalizmu. Będą wyjątki, oczywiście, ale sądzę, że rzadkie. Możliwe, że do czasu wyborów ludzie przejrzą, rozejrzą się wokół siebie i w konsekwencji znajdzie się większość, która nie da się nabrać na fotografie i jałowe obietniczki. Może też, wraz z pogarszającą się sytuacją gospodarczą, wystąpić apatia powodująca absencję wyborczą. Scenariusze są zamglone.

Pytają mnie koledzy, jakie będą moje preferencje wyborcze. Odpowiadam, że jeszcze nie wiem. Jeśli pójdę do wyborów, to na pewno nie oddam głosu na centrystów, liberałów, chadeków i narodowców. Nie ma partii, którą chciałbym poprzeć, z tych zaś które są, najbardziej odpowiada mi Unia Demokratyczna i Solidarność Pracy. Liderzy tych partii są jedynymi w tej chwili politykami (poza bezpartyjnymi i niektórymi socjaldemokratami), którzy czują rację państwa i mając stosunkowo obiektywne rozpoznanie uwarunkowań historycznych, starają się racjonalnie działać. Nie interesuje mnie lewica ani prawica, lecz skuteczne działanie w interesie społeczeństwa i państwa. Polityka dla polityki, czyli mydlenie oczu oświadczeniami, że wszystkim, co złe, winna jest komuna i po jej rozliczeniu nasze życie ułoży się wspaniale, jest zwykłym oszustwem wynikającym z ubóstwa intelektualnego, bądź z cynizmu.

Jeżeli pewni ludzie, uważający się za polityków powiadają, że zbrodnie stalinowskie w Polsce równe są zbrodniom hitlerowskim, to można tylko ubolewać nad tym. Jeżeli mówią, że 45 lat PRL-u należy wykreślić z historii niepodległości polskiej, to trzeba się stuknąć w głowę. Żyjemy w anormalnych czasach, w których demagogia ma wysoką cenę, a rozum znowu zdrożał. Doszliśmy do paradoksalnej sytuacji, że tu i ówdzie, szczególnie na wsi, zaczyna się coraz częściej mówić: komuno wróć! Nie można tych słów przyjmować dosłownie, ale oddają one nastroje zbliżone do desperacji.

Wielu stara się nam wmówić, że wolne wybory dokonają cudu w Polsce. Moim zdaniem cudu nie będzie, nawet nie będzie trochę lepiej. Do poprawy sytuacji potrzeba mądrych sterników państwowych i dużo czasu. Na razie jest liberalny chaos i dekadencja. Odpowiedzialność za przyszłość kraju spoczywa również na szarych obywatelach. Sporo zależeć będzie od tego, jak będą głosować w wyborach. Każdy musi sam rozważyć swoją decyzję pamiętając, że potem zbierze jej żniwo.

Zbiorowość kaszubsko-pomorska, zwłaszcza skupiona w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, powinna — to jest wyłącznie moje zdanie — rozstrzygać sprawę reprezentacji parlamentarnej indywidualnie, według własnego, niczym nie sugerowanego zdania. Organizacja powinna strzec swej niezależności, a więc politycznej neutralności i dbać wyłącznie o to, co sprzyja Kaszubom. Kaszubom w całości, a nie którejs z orientacji politycznych. Zrzeszenie ma własną myśl polityczną rozciągniętą na Pomorze, ale ze specjalnym miejscem wyznaczonym kaszubszczyźnie jako zbiorowej wartości. Nam walczyć trzeba o to, co Kaszubom sprzyja, co naszą tożsamość umacnia trwale. Dlatego potrzebne jest wzniesienie się ponad podziały partyjne i ideologiczne, zdecydowane opieranie się naciskom i obietnicom, trzymanie się z dala od wszelkich przynęt pozorowanych.

Trwanie jest zaletą Kaszubów. Trzeba jeszcze poczekać na wzmocnienie się wspólnoty etnicznej, aż będzie ona zdolna wystąpić na forum politycznym z siłą i zgodną reprezentacją. Nam sprzyja wiara we własną przyszłość wypełnioną godnością, taktem i zdrowym rozsądkiem. Każda bowiem wspólnota kulturowa może się stać również wspólnotą polityczną, zbudowaną jednak nie na strzępach przestarzałych ideologii powszechnych, lecz na myśli regionalnej tworzonej uporem rozmaitości doświadczanych ludzi, którzy nie wyrzekli się więzi etnicznej, chociaż czynni byli w rozmaitych formacjach politycznych.

Póki co starajmy się umacniać naszą wspólnotę kaszubską w ramach wspólnoty pomorskiej, wzajemną solidarność i zgodę. To jest nam teraz najbardziej potrzebne.

Tadeusz Bolduan

13.07.1991

MYDLENIE

OCZU

MY

Dyskusja redakcyjna z udziałem
Mariana Frydy z Człuchowa,
Jarosława Kordzińskiego z Krokowej,
Franciszka Okunia z Leśniewa i
Brunona Synaka, socjologa.
 Dyskusję prowadził **Stanisław Pestka**

i JACYŚ » ONI «

Stanisław Pestka: Spróbujmy odpowiedzieć sobie, jaki jest charakter i kierunek przemian dokonujących się w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych Pomorza, przede wszystkim Kaszub. Zmiany dokonujące się w kraju na pewno rzucają się bardziej w oczy w dużych miastach. W trudniejszej sytuacji są mieszkańcy tak zwanej prowincji, która bardzo często zdana jest na własne siły. Niemniej i tam odbywa się jakiś powolny ruch do przodu. Czy w każdym przypadku możemy go mierzyć konkretnymi sukcesami i oczekiwanymi zmianami? Rodzą się niepokoje, frustracje. To stwierdzenie z pewnością nie oddaje w pełni prawdy, bo nie wygasły swoiste ogniska entuzjazmu, nadziei, że zorganizowanym wysiłkiem uda się przełamać trudności. W związku z tym pytanie: Jaka jest kondycja tych, którzy obowiązkiem tworzenia czegoś nowego sprowadzają do wymiaru małych ojczyzn, miasteczek, wiosek? Czy we wszystkich środowiskach jest dostatecznie duże pole dla ludzkich inicjatyw, samodzielnych decyzji? Czy samorząd lokalny rzeczywiście przyczynił się do wyzwolenia świeżych zasobów sił tak potrzebnych, by osadzić demokrację w instytucjach lokalnych?

W Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim zawsze podkreślaliśmy, zależało nam na tym, żeby nie tylko nasi działacze, ale w ogóle mieszkańcy Kaszub, czuli się współgospodarzem swojego terenu, swoich środowisk, swoich warsztatów pracy. Chyba nadeszły teraz, pomimo różnych trudności, bardziej sprzyjające czasy, żeby to osiągnąć. Czy tak jest w rzeczywistości?

Jarosław Kordziński: Zmieniło się bardzo wiele. Zmieniła się otulina, to co zewnętrzne, natomiast nie zmieniło się to, na co najbardziej liczyliśmy — mentalność ludzka. Chyba my wszyscy, chociaż w różnym stopniu, myślimy w wielu wypadkach po staremu, na zasadzie: jeśli ktoś się dorobił, to znaczy, że ukradł, jeżeli ma coś do powiedzenia, to znaczy, że cwaniak i pływak. Nie wiem na czym to polega, ale jest to jakoś umotywowane psychologią społeczną, że ludzie mają zwyczaj postępowania za kimś. Poszukują autorytetów i one się rzeczywiście pojawiają, mimo wszystko. Muszę powiedzieć, że w środowiskach, które znam, często tymi autorytetami są członkowie Zrzeszenia, którzy mają jakby najwięcej do zaoferowania. Nie są ważne różne słuszne programy, ale ważne są konkrety i chyba najwięcej autorytetu mają ci, którzy potrafią coś konkretnego zaproponować i potrafią to zrealizować.

Brunon Synak: To jest bardzo ważny punkt wyjścia do całych rozważań. Przez 45 lat w środowiskach mniejszych i średnich, bardziej wyraźny i dotkliwszy niż w środowiskach wielkomiejskich, był ostry podział na władzę, która funkcjonowała na zasadzie sztucznego na ogół autorytetu, i na resztę społeczeństwa. Niszczyło się wszystko, co nie mieściło się w formule jednolitości. W środowiskach większych istniała możliwość tworzenia grup, które przeciw-

stawiały się temu systemowi, kreowali się liderzy, którzy mogli się ujawniać w sytuacji, kiedy zaszły zmiany. Natomiast w środowiskach mniejszych było to niemożliwe, bo jeśli ktokolwiek sprzeciwił się naczelnikowi gminy czy sekretarzowi, to wiadomo było, że niczego nie załatwi, będzie miał trudności, bo władza była jedynym dysponentem dóbr. Stąd teraz ta pustka, brak liderów, którzy mogliby szybko zastąpić tę władzę. Choć trzeba dodać, że poprzedni liderzy przez znaczną część społeczeństwa byli akceptowani, to byli w sumie swoi ludzie, którzy często nie byli tacy źli, ale ich usytuowanie spowodowało, że odbierani byli jako ci, którym dało się mandat. Jeżeli nawet władza była niekochana, to dzięki tym ważnym atrybutom — dysponenta dóbr i łask — w zasadzie była tolerowana. Nowa władza jest przez znaczną część społeczeństwa traktowana według dawnych kategorii, to znaczy oczekuje się od niej spełnienia wszystkich potrzeb. W ludziach tkwią te same oczekiwania, których nie może ta nowa władza spełniać. Wydaje mnie się, że ludzie mają mglistą wizję tego, czego chcą, modelu kraju, społeczeństwa. Bo w tych oczekiwaniach jest jakaś sprzeczność. Z jednej strony opowiadają się za racjonalną gospodarką kapitalistyczną, a więc za tym, żeby wszystko było w sklepach, żeby funkcjonowały prawa rynku itd., z drugiej zaś strony biernie oczekują na zaspokojenie potrzeb. W psychice bardzo głęboko zakorzeniony jest model państwa paternalistycznego, opiekuńczego. Ludzie akceptują jakby część z tego nowego modelu, a część ze starego. Te dwa elementy w całości nie są możliwe do zrealizowania.

Stanisław Pestka: Czy młodzi ludzie również prezentują ten typ postaw roszczeniowych?

Brunon Synak: Absolutnie nie. Jestem podbudowany rozmowami z młodymi ludźmi, zwłaszcza ze studentami. Ich interesuje aktywność, która daje rzeczywiste efekty, a więc praca w jakichś spółkach, biznesie, tam gdzie można się dorobić i ustabilizować. Ale również znam takich studentów, którzy jeszcze przed ukończeniem dyplomu przychodzą do pełnomocnika do spraw zatrudnienia i pytają: ile dostanę bezrobotnego? To jest najbardziej niebezpieczna postawa, obecna częściej w mniejszych środowiskach...

Stanisław Pestka: Mogą być najlepsze programy, mogą być nawet liderzy, którzy potrafią udźwignąć różne skomplikowane zadania, ale jeśli nie będzie akustyki w środowisku, tego myślenia według nowych reguł, jakich wymaga wejście naszego kraju w zupełnie inną rzeczywistość, to nastąpi dalsza zapasć...

Brunon Synak: Jest to szczególnie widoczne w małych środowiskach. Ludzie reagują na władzę przez siebie wybraną w ten sam sposób, jak na władzę przez siebie nie wybraną. Władza to są nadal „oni”, jak pisała Torańska. Moim zdaniem dopiero trzecie wybory samorządowe doprowadzą do w miarę normalnej sytuacji. Pierwsze wybory przebiegały na za-

sadzie ostrej negacji komuny. Wszyscy wiedzieli, że trzeba obalić komunę. Ale teraz, jak się ją obaliło, to widać, że nie jest to to, o czym wszyscy myśleli. Podczas drugich wyborów, myślę, też jeszcze ludzie nie dojrzejeli, nie będą gotowi do współpracy z władzą. Dopiero po trzech wyborach, gdy jedna i druga strona dojrzejeli, będziemy mieli do czynienia z w pełni samorządowymi środowiskami.

Franciszek Okuń: Czy coś się zmieniło? To kwestia oceny, jak ktoś to widzi. Wiemy, że zmieniło się bardzo dużo, jest lepiej, ale ktoś inny powie, że jest znacznie gorzej. I on też ma rację. Bo co przez to „lepsze” rozumiemy. W sferze niematerialnej, a więc wolność sumienia, wyznania, zrzeszenia, prasy, słowa, organizacji, jest dużo lepiej, ale w sprawach bytowych, materialnych znacznie gorzej. No bo jeśli starczy pieniędzy do 15, na pół miesiąca...

Postrzeganie władzy? Będąc w opozycji odbierałem ciągi, teraz, nie zmieniając swoich poglądów, znowu odbieram ciągi. Bo jako radny jestem „oni”, władza. W rozmowach z ludźmi słyszę: nowi dobrali się do koryta, nachapiają się jak tamci, nowa banda. A ja w przeciwieństwie do dawnych radnych nie mam nawet wolnego biletu na PKS. Jeśli jadę do gminy w interesie naszej wsi, z własnej kieszeni kupuję bilet PKS. Myślę, że teraz jest nawet mniej niż wtenczas ludzi, którzy chcieliby coś dla swojego środowiska zrobić, bo w tamtych czasach mieli coś do zyskania, bo ta władza mogła coś dać... W naszej radzie sołeckiej, w Zrzeszeniu nawet nie ma 50 procent tych, którzy coś robią... Radny, obojętnie czego się dotknie, to godzi w czyjś prywatny interes, ktoś traci. Taki przykład: przez środek naszej wioski przepływa potok, który jest bardzo zanieczyszczony ściekami. Zaprzestanie spuszczenia ścieków nie prawie nie kosztuje, każdy z nas mógłby wywieźć od czasu do czasu szambo. Ci, którzy mieszkają dalej od rowu ponaglają mnie, że nie w tej sprawie nie robimy, a ci, którzy mieszkają tuż przy rowie mówią, co ty robisz, tyle lat było dobrze, i już pół wioski wrogów. Przykłady można mnożyć.

Stanisław Pestka: To, co pan mówi świadczy, że nie ma myślenia kategoriami społecznymi, że społeczeństwo jakby nie dorosło do demokracji...

Franciszek Okuń: We wsi jest dom gminny, w którym mieszkają cztery rodziny. Z narożnika domu wypadły dwa kamienie. Ci, którzy w nim mieszkają uważają, że jak placą czynsz, to nie muszą tego muru naprawić, to nie jest ich. Ciągnęło się to miesiącami, w końcu trzech członków rady sołeckiej poszło i załatało dziurę, nie ci, którzy w tym budynku mieszkają... Każdy widzi teraz czubek swojego nosa. W najbliższych latach chyba nie się pod tym względem nie zmieni, chyba żeby nastąpiło coś spektakularnego, żeby ludzie uwierzyli. Teraz wolą oglądać po trzy, cztery kasety wideo, siedzieć do rana, przez fi-rany patrzeć. Do niczego ręki nie przyłożą, ale pilnują: uda się czy nie. Jeśli się nie uda — źle, jeśli u-da, mówią: kim on teraz chce być...

Brunon Synak: Ja myślę, że dramat obecnych czasów polega na zderzeniu ogromnie szybkich zmian instytucjonalnych, które się dokonały właściwie z dnia na dzień, z postawami zakorzenionymi niezwykle głęboko. W latach siedemdziesiątych badania socjologiczne wykazały powszechne zjawisko, które socjologowie nazywają „wyuczona bezradność”. To znaczy ludzie uważają, że nic nie ma sensu, bo i tak nic się nie da zrobić i do takich warunków życia się adaptowali. Im z tym było dobrze. Podjęcie jakiegś inicjatywy przeczy ich przekonaniom... Mechanizm był taki, że wszystko było centralnie sterowane. Nawet taka decyzja, jak regulacja tych ścieków, zapadłaby gdzieś dalej. Wtedy te ścieki udałoby się uregulować, bo onnipotentnemu państwu nikt nie był w stanie się przeciwstawić. „Jak tak musi być, tak musi być”. Z drugiej jednak strony społeczeństwo pozoro-wało swoje działania. Był to system centralnie sterowany, a oddolnie pozorowany. I teraz, kiedy zmienił się ten układ, ludzie po prostu nie umieją się przestawić. Adaptacja do nowych warunków wymaga bardzo dużo czasu. Trudno mieć pretensje do ludzi, że tacy są, bo tak zostali ukształtowani.

Franciszek Okuń: Rzeczywiście, Zrzeszenie w naszych stronach — Leśniewo i okolice — nadawało ton przemianom. Teraz ludzie postrzegają z zawiścią: a oni coś z tego chyba muszą mieć, bo jak można bezinteresownie poświęcać swój prywatny czas.

Brunon Synak: Przykłady, które podawał pan Okuń, świadczą o tym, jak obca była ta władza i teraz, mimo że ludzie zmienili się, zmieniły mechanizmy, to nadal władza jest w znacznej części traktowana jako nie swoja.

Marian Fryda: Z racji wykształcenia mam inne spojrzenie, trochę głębsze, historyczne. Nie zgadzam się z panami Synakiem i Okuniem. Przeglądając ostatnio akta archiwum w Bydgoszczy zbieram materiały do pracy poświęconej Gochom, natrafiłem na sprawozdania i protokoły z 1920 roku, które napływały do wydziału powiatowego w Chojnicach. Otóż są tam m.in. protesty mieszkańców Brzeźna Szlacheckiego dotyczące przebiegu wyborów. Oprotestowali wszystko, począwszy od listy kandydatów. W następnych wyborach sytuacja się powtórzyła. Więc myślę, i tu się z panami nie zgadzam, że mentalność ludzka zawsze jest taka sama. Ludzie skupiają się wokół jakiejś sprawy, często wokół osoby, przywódcy. W czasach stanu wojennego we wsi niedaleko Człuchowa budowano kościół. Ksiądz jakimś sposobem uzyskał w 81 roku zezwolenie na budowę kościoła, ale przyszedł stan wojenny i wszystkim wydawało się, że koniec z budową. Kiedy więc ludzie nie przyszli na budowę ksiądz zakasał sutannę i zabrał się za taczkę. Najpierw patrzyli przez płoty, później przyszedł jeden, drugi... kościół stanął w ciągu niespełna roku.

Brunon Synak: Na przykładzie wyborów w odrodzonej Polsce wysnuł pan wnioski, że ludzie zawsze są tacy sami. Czy widzi pan jakieś analogie w obu okresach?

Marian Fryda: Pewna analogia jest. W czasie niewoli pruskiej Polacy na Gochach potrafili się jakoś przeciwstawić germanizacji. Ale był to zawsze sposób legalny, np. poprzez powołanie Banku Ludowego, Towarzystwa Czytelni Ludowych. Potrafili się jakoś zebrać i wspólnie działać, kiedy zaś przyszła niepodległość, to wówczas okazało się, że coś jest nie tak, mimo że entuzjazm, sędzę, był bez porównania większy niż dzisiaj.

Jarosław Kordziński: Rozumiem opcję pana Franka, który czuje pewne zaniepokojenie odbieraniem swojej osoby w środowisku. Rzeczywiście jest to nieprzyjemne. Ale myślę, że podejmując pewien trud podjęliśmy również pewną odpowiedzialność. Wydaje mi się, że działając w skomplikowanej i trudnej materii, nie powinniśmy się na tę materię obrażać. Jest duża grupa osób, z którymi niewiele można zrobić, natomiast nic się nie robi, jeżeli powiemy, że oni są be-żli. Ponieważ oni nie chcą, to my zabieramy zabawki, założymy własną organizację i będziemy robić Polskę tylko dla siebie. Myślę, że powinniśmy raczej szukać metod działań, które by stymulowały, pobudzały inicjatywę. Ta „wyuczona bezradność” spowodowała pewną blokadę i naszym zadaniem jest jej odblokowanie. Być może w tym działaniu stracimy wiele, ktoś to jednak musi zrobić.

W naszej gminie Krokowa jest problem spółek wodnych. Wójt, kiedy pierwszy raz rozmawiał na ten temat z rolnikami, żeby je organizować, że to będą tylko ich spółki, usłyszał: w porządku, to może tak być, tylko kto będzie kierownikiem i skąd będą na to szły pieniądze. Nie, że oni sami mogą zrobić. Ale kiedy już przekonali się do tych spółek, że mogą nawet na nich zarobić, to kupili pomysły. To samo dzieje się w kulturze. Jest taka gminna samorządowa inicjatywa kulturalno-oświatowa, która zakłada, że domy kultury odda się w ręce poszczególnych wsi, by ich mieszkańcy mieli możliwość tworzenia kultury dla siebie. Najbardziej obrażeni tym pomysłem są poprzedni kierownicy tych placówek, którzy niewiele robili, jakieś akademia, przyjmowali medale i nie ponad to. Tak więc wydaje mi się, że funkcją ludzi, którzy chcą coś zrobić, jest w tej chwili pozyskiwanie tych, którzy są trochę mniej niechętni, bo rzeczywiście żyjemy w środowisku ludzi niechętnych. Tę sytuację widać też w urzędach. Na razie jeszcze urzę-

dy działają na zasadzie, że wójt chodzi i mówi urzędnikom co mają robić. Oni, ci nowi i ci z poprzedniego okresu, są bardzo uprzejmi, polecenia starają się realizować dobrze, nawet bardzo dobrze, ale tylko to, co im się każe. A dobry urzędnik powinien sam proponować rozwiązania. To samo dotyczy zarządu. Powinien on być od myślenia koncepcyjnego, a nie tylko od rozliczania wójta czy urzędników.

Jeszcze jedna sprawa. Też należą do tych, którzy działali w tamtym okresie i teraz. Uważam, że nie powinniśmy się czuć wyalienowani. Po prostu nie powinniśmy stracić wiary...

Stanisław Pestka: Jesteśmy na początku drogi wiodącej do samoorganizującego się społeczeństwa i z tego, co panowie mówicie wynika, że trzeba wzmocnić tych, którzy są drożdżami przemian, którzy pociągają innych. Bo liczenie na jakąś metamorfozę, z dnia na dzień, całego społeczeństwa, jest iluzją.

Brunon Synak: Początek naszej dyskusji mógł rysować taki bardzo pesymistyczny, czarny obraz. Ja myślę, że ani taki nie jest, ani my nie jesteśmy takimi czarnowidzami. Chcieliśmy po prostu uświadomić sobie miejsca, w których tkwią trudności. Podstawą do optymizmu jest młodzież. Otóż jest ona coraz bardziej apolityczna. Uważam to za zjawisko zupełnie normalne. W żadnym społeczeństwie 85 proc. ludzi nie zajmuje się polityką, ludzie aktywni politycznie to zaledwie małe grupy. Natomiast nasze pokolenie, średnie i starsze, charakteryzuje się takim rozliczeniowym nurtem. Siłą rzeczy nie ułatwia to tworzenia się grup dla realizowania wspólnego dobra. Młodzież, która w tej chwili kończy studia, nie doświadczyła ani 70 roku, ani 80, a więc nie jest emocjonalnie zaangażowana w spory i uważam to za bardzo pozytywne zjawisko. Mimo wszystko jestem też optymistą co do zachowań lokalnych środowisk. Ludzie nie wierzą już słowom i dlatego nowa władza jest w bardzo trudnej sytuacji, bo na razie może dać ludziom słowo, może proponować, inicjować, to jednak konkretne rozwiązania, jak choćby przywołana sprawa ścieków, będą pracowały na autorytet tej władzy, a jednocześnie na rzecz podejmowania inicjatyw. Te właśnie fakty, które teraz budzą największą kontrowersję i są źródłem podziału. Bo do tego, żeby zmieniła się sytuacja, żeby przełamywane zostały bariery psychologiczne, potrzebne są konkretne fakty na rzecz środowiska. Teraz, w okresie przejściowym, ludzie są zagubieni, oni będą siebie odnajdywali bardzo szybko, tym szybciej, im szybciej będą widoczne w ich otoczeniu konkretne efekty. Trzeba mieć jednak świadomość, że na samym początku trudno liczyć na powszechne poparcie, ponieważ oczekiwania z całą pewnością przerastają to, na co stać nowe władze lokalne.

Stanisław Pestka: Czy w środowiskach wiejskich postrzegane są ugrupowania polityczne, czy budzą jakiś rezonans, np. choćby tylko partie chłopskie?

Franciszek Okuń: W moim środowisku wiejskim już samo słowo partia źle się kojarzy. O żadnych partiach nie ma mowy. To jest gdzieś „na górze”. Oni tam się znowu biją, oni już o stołki się kłócą, o forse, jeszcze gorzej jak za komunę, mówią.

Marian Fryda: W pełni przychyliam się do opinii pana Franka, bo rzeczywiście tak jest. Wszystkie partie, jakiej by nie były orientacji, są postrzegane w sposób negatywny. Myślę, że to wynika po prostu z braku wiary w jakikolwiek program, ludzie czują się oszukani, po prostu nie wierzą i koniec. W tej chwili najlepszym takim testem, a może najgorszym, są wybory uzupełniające. Frekwencja jest wręcz żenująca. W wielu miejscowościach, jak u nas w Człuchowie, mamy do czynienia z „kotłowniem wewnętrznym” we władzach miasta. Patrzymy na to wszyscy. Czy budującą rzeczą dla demokracji jest zmiana po kilku miesiącach burmistrza, gdy wszyscy wiedzą, że w grę wchodzi jakieś rozgrywkę personalne, ambicjonalne. Doszukują się w tym jakieś szarej eminencji, która rządzi miastem... Na tym poziomie toczą się w mieście rozmowy na tematy polityczne.

Jarosław Kordziński: Rzeczywiście stosunek do partii jest negatywny albo ambiwalentny. Natomiast zdają się przypadki, że oto nagle jakiś członek PZPR zapisuje się do ZChN-u i ostro w tej partii sobie po-

czynia. To jest pewne niebezpieczeństwo, bo ja ich odbieram jako profesjonalistów. Myślę też, że są grupy, które potrzebują partii albo jakiegoś forum, które skupi ludzi o podobnych poglądach, bo w pojedynkę trudno działać. Potrzebne jest nam także dla wykreowania naszego lidera. Komitety Obywatelskie do wyborów działały bardzo aktywnie, a potem to wszystko upadło.

Brunon Synak: Dlaczego partie przyjmowane są z dużą rezerwą? Myślę, że negatywna definicja partii jest istotnym wyjaśnieniem. A poza tym ludzie nie są przyzwyczajeni do żadnego pluralizmu, a w szczególności do politycznego. Jeżeli widzą, że jest jedna partia, druga, że ten mówi to, tamten co innego, to mówią, co to w ogóle jest, to anarchia. A jest to po prostu brak przyzwyczajenia do różnorodności, w tym przypadku politycznej.

Jarosław Kordziński: Nie dostrzegają różnic politycznych ani programowych, ale tylko to, że się różnią, kłócą, że nie mogą się dogadać.

Stanisław Pestka: To, co panowie mówicie, jakby potwierdzało opinię znakomitego Tockueville'a, który powiedział, że demokracja jest wbrew pozorom ustrojem najtrudniejszym w praktycznym działaniu.

Marian Fryda: Przy tym rozdrobnieniu politycznym, niechęci do jakiegokolwiek partii obawiam się o frekwencję w wyborach parlamentarnych.

Stanisław Pestka: Czy panowie podzielacie pogląd pana Frydy, że frekwencja w zbliżających się wyborach będzie niewielka, szczególnie w środowisku wiejskim?

Franciszek Okuń: Już teraz się słyszy: znowu wybory, tylko wybory i wybory... Może te głosy nie odzwierciedlają świadomości całego społeczeństwa, ale większości tak.

Brunon Synak: Czy nie jest to podyktowane jakąś szczególną opornością środowisk kaszubskich wobec formowania własnej elity, własnej elity władzy? Ta moja teza wynika ze spostrzeżenia, że Kaszubi są mniej życzliwi wobec awansu swoich ludzi, zwłaszcza na miejscu, w środowisku lokalnym. Szczycą się awansem osób spoza swojego środowiska, natomiast jeśli któryś z nich zajmie wysokie stanowisko we własnym środowisku, to jego autorytet jest jakby nieco mniejszy niż kogoś z zewnątrz, mniejsze ma też poparcie. Czy to nie jest aby skutek przeszłości i to nawet najświeższej. Kaszubi bardzo rzadko decydowali o swoich sprawach, w ich środowiskach na ogół rolę ekonomiczną czy polityczną pełnili ludzie z zewnątrz. Myślę o okresie międzywojennym, ale także powojennym. Bardzo mało Kaszubów było naczelnikami, nie mówiąc już o stanowiskach w województwie. Właściwie dopiero teraz zaczyna się obserwować powszechny awans polityczny. Pierwsze wybory, niestety, nie zostały wykorzystane przez naszych ludzi. Na przykład w Sulęcynie wybrali ludzi z zewnątrz, teraz mają pretensje, ale oni sami wybierali.

Marian Fryda: Ja myślę, że w hipotezie pana profesora tkwi dużo prawdy, która do nas Kaszubów nie zawsze dociera. Nasze społeczeństwo nie jest przyzwyczajone, że Kaszuba też może być „władzą”, bo przedtem byli nią czyi, Antki.

Jarosław Kordziński: Niedawno rozmawiałem na temat nauczycielki wiejskiej, Kaszubki, która przez pewien czas była inspektorem oświaty. Nie tyle zarzucono jej pochodzenie kaszubskie, co pegeerowskie, jej rodzina pracowała w pegeerze. Jak ona miała chęć zostać szefem — oceniono ją, a opowiadała mi to przewodniczący rady gminnej, też Kaszuba. Jeśli byłbyś niżej w hierarchii społecznej, to nie powinienesz wyśkiwiać wyżej.

Brunon Synak: Do tej pory grupy nie miały możliwości legitymizowania własnego lidera, narzucano go z zewnątrz. Mógł być jednym z nich, ale nie one o tym decydowały. Nastąpiła zmiana mechanizmów, normalna sytuacja z punktu widzenia psychologii społecznej, i kiedy grupa ma możliwość kreowania swojego lidera, funkcjonuje według starych zasad. Jeżeli wyłania się lider, to następuje zakłócenie tych mechanizmów...

Stanisław Pestka: Te postawy, o których panowie mówicie, są rzeczywiście powszechne, ale z drugiej strony można przytoczyć szereg przykładów, które

podważają to twierdzenie, zarówno jeżeli odwołamy się do czasów dawniejszych, jak i do współczesnych. Myślę, na przykład, o takich postaciach, jak ks. Bolt, rodzina Sikorskich z Wielkich Chelmów. Środowisko czuło się wręcz dowartościowane tymi ludźmi. Podobnie w przypadku posła Bolesława Machuta, kierownika szkoły w Lipnicy... Bernarda Szczęsnego, oczywiście on działał w określonej rzeczywistości, ale wiem, że środowisko Wejherowa, skąd wyszedł, było tym usatysfakcjonowane.

Brunon Synak: Ale ono go nie wybierało...

Stanisław Pestka: Przykład współczesny z Brus. Brusy mają swojego burmistrza, Kazimierza Cyranowicza, pochodzącego z tego miasta, a nie jak poprzednio z Czerska. I jest oceniany dobrze.

Po tym, co tu usłyszeliśmy, aż nie mam odwagi spytać czy widać załączki myślenia kategoriami szerszymi niż własna wieś czy gmina?

Jarosław Kordziński: Tylko niektórzy ludzie „u góry” postrzegają te wspólne interesy, „na dole” myślenie sprowadza się do porzekadła: moja chata z kraja... Jeżeli mam kopać rów na terenie mojej wsi, w porządku, bo to moja wieś, jeśli trochę dalej, to nie... Część ludzi w samorządach zna się z różnej poprzedniej działalności i dzięki temu, że są, użyjmy tego słowa, solidarni, podejmują sprawy ważne dla większych społeczności. Natomiast problemy rodzą się później, gdy trzeba przystąpić do realizacji. Dominuje myślenie: dlaczego my mamy łądować pieniądze w coś, co nas bezpośrednio nie dotyczy. Nie ma myślenia, że w sumie to się później zwróci, że nie możemy tej Polski sprowadzać do Polski gminnej... Jeszcze w ramach gminy Krokowa czy byłego powiatu puckiego można coś zrobić, ale już np. razem z byłym powiatem wejherowskim — nie.

Brunon Synak: Najpierw okrzepnąć musi świadomość wspólnego interesu wiejskiego, gminnego, później powstaną przesłanki do łączenia się z innymi gminami po to, by ten wspólny interes realizować. Taka jest kolejność kształtowania się świadomości społecznej.

Franciszek Okuń: W obrębie działania naszego oddziału Zrzeszenia — w Domatowie, Mechowej, Leśniewie, Domatówku — ludzie rzeczywiście zaangażowani w sprawy samorządowe już ze sobą współpracują. Te wsie zaczynają ze sobą współpracować.

Marian Fryda: Myślę, że na Pomorzu bardzo duże pole do działania ma właśnie Zrzeszenie, które musi, powtórzę tu za ks. Sychtą, budzić śpiących. Jako Zrzeszenie nie pchajmy się w politykę, nie tworzymy partii, tylko róbmy swoje, właśnie budźmy tych śpiących. Budźmy świadomość przynależności tych, którzy choć mówią po kaszubsku często nie czują się Kaszubami.

Brunon Synak: Zgadzam się z panem Frydą, że Zrzeszenie nie powinno pełnić żadnych funkcji politycznych. Natomiast Kaszubi, jeśli chcą być gospodarzem przyszłego samorządowego regionu, muszą wykazać się aktywnością polityczną, bo bez udziału w siłach politycznych nie ma podmiotowości na żadnym szczeblu władzy.

Stanisław Pestka: Nasza społeczność jest zorientowana bardzo religijnie. Kościół cieszy się nadal w wielu środowiskach bardzo dużym autorytetem, wywiera znaczny wpływ na kształt życia politycznego. Zdaniem niektórych zbyt duży. Jak Kościół jest odbierany w środowiskach lokalnych, czego się dzisiaj odeń oczekuje?

Franciszek Okuń: Ja bym nawet powiedział, że na Kaszubach Kościół cieszy się niepodważalnym autorytetem. Jeśli się słyszy głosy krytyczne, to dotyczą pojedynczego proboszcza czy wikarego... Ale czasami myślę, że w społeczeństwie, które w 90 proc. deklaruje się jako katolicy, wpływ Kościoła na postawy ludzkie jest niewielki. Zależy to także od tego, jaki jest ksiądz...

Brunon Synak: W tej chwili głośna jest dyskusja o udziale Kościoła w kampanii wyborczej. Co sądzi o tym społeczność wiejska? Jeżeli Kościół próbuje wspierać kandydatów ma to negatywny czy pozytywny wpływ?

Jarosław Kordziński: Wydaje mi się, że teraz Kościół

przyjmuje opcję najlepszą, stara się być apolityczny. Kościół będzie miał autorytet dopóty, dopóki nie będzie wchodził w kwestie nie należące do jego kompetencji. Kościół bardzo dużo zrobił, wszyscy korzystaliśmy z jego pomocy. Nam potrzebny jest w tej chwili jego autorytet, apolityczny. Rzeczywiście wiele zależy od księży, jak się zachowują, jak są odbierani w środowisku. Nie trzeba prowadzić kampanii w kościele, ale można o wiele więcej załatwić rozmawiając z ludźmi, nie z ambony.

Brunon Synak: My chyba zbyt dosłownie traktujemy polityczną funkcję Kościoła, jako instytucji. Mnie chodzi o konkretny kościół w danym środowisku.

Jarosław Kordziński: Kościół powinien się angażować poprzez księży, ale nie Kościół jako instytucja. Teraz przecież księża są w szkołach, są zapraszani na różne imprezy, uroczystości. Ludzie obserwują z kim ksiądz rozmawia, z kim mniej lub więcej się przyjaźni. I w tych strukturach księża powinni działać, nie z ambony...

Marian Fryda: W pełni popieram pana, że Kościół-instytucja powinien zajmować pozycję nadrzędną, natomiast rolę takich stimulatorów społecznych powinni przejąć księża. Przed wojną księża wchodziłi w skład senatu, ale ich działalność nie była utożsamiana z samą sutanną, a z działalnością w życiu publicznym. Sutanna dodawała mu autorytetu...

Brunon Synak: Czy dzisiaj księża mogą być podobnie utożsamiani?

Marian Fryda: Generalnie nie. Wydaje mnie się, że niektórzy księża za bardzo zasklepili się w czterech ścianach plebanii. Ich wejście teraz w życie publiczne powoduje pewien wstrząs, a i oni sami nie są do tego przygotowani, 45 lat zrobiło swoje.

Franciszek Okuń: Takie przykłady są. Słyszeliśmy o księdzu Rozmarynowiczu w Skórczu, w Rozlazinie. Łączącach działał w Komitecie Obywatelskim, nawet podobno jest zastępcą wójta, podobnie ksiądz w Luzinie ściśle współpracował z KO... Ale można też wymienić księży, którzy nieroztropnym zachowaniem stracili swój autorytet. Ksiądz nie może wciąż mówić o specjalnych kolektach, datkach, albo komentować to, co się dzieje w polityce... Nie może też tylko się modlić, skoro we wsi jest wiele biedy. Mogłby naświetlać pewne sprawy publiczne, społeczne, samorządowe.

Brunon Synak: Pan Fryda powiedział, że księża są często zasklepieni w czterech ścianach plebanii. Ale myślę, że również my jesteśmy zasklepieni, ponieważ propaganda komunistyczna zmierzała do tego, żeby odizolować Kościół całkowicie od spraw publicznych. Wmawiała nam przez 45 lat, że Kościół to Kościół, państwo to państwo. Moim zdaniem instytucjonalnie to jest prawda, natomiast w sensie społecznym nie jest możliwy taki model, aby Kościół nie pełnił społecznej funkcji w małych środowiskach. Gdyby Kościół na wsi próbował pełnić wyłącznie funkcję teologiczną, to on umrze, stanie się instytucją martwą. Jesteśmy również zasklepieni dlatego, że nie wyobrażamy sobie księdza jako prezesa banku czy towarzysza, bo tak nam to wmówiła propaganda, ale z drugiej strony, przynajmniej księża nie są do tych funkcji przygotowani...

Jarosław Kordziński: Już wejście księży do szkół było pewnym szokiem. Ich autorytet w salce katechetycznej był często niepodważalny, a w szkole ksiądz zaczyna funkcjonować jako nauczyciel. Początkowo księża starali się narzucić linię partnerską i z czasem okazało się, że to ich samych zaskoczyło, bo jaka partnerów nauczyciele zmuszają ich do pewnych zadań, których nie chcą, np. do dyżurowania na korytarzach czy brania udziału w dniu kobiet, a to akurat jest dzień postu... Księża powinni funkcjonować w środowiskach lokalnych. Być może wówczas będą radnymi, zakładać spółki czy prezesować bankom, aczkolwiek jest to droga daleka...

Stanisław Pestka: Z tej dyskusji wypływa jeden optymistyczny wniosek, że aktywność społeczności kaszubsko-pomorskiej, na której bardzo nam zależy, będzie w przyszłości się zwiększała i doczekamy się zastępu ludzi aktywnych. Panowie potwierdzają, że możemy trochę z większym optymizmem patrzeć na przyszłość, z tym że trzeba poczekać na owoce... ■



Na Górze Chelmskiej

Fot. Robert Placzkiewicz

Przed III pielgrzymką Ojca Świętego do Ojczyzny w 1987 roku, kiedy Gdańsk znalazł się na drodze papieskiej wizyty, gdańskie środowiska akademickie i twórcze przygotowały jako dar dla Ojca Św. publikację pt. „Dojrzewanie”. Zawierała ona zbiór indywidualnych refleksji reprezentatywnych osób o losach własnych i swoich najbliższych środowisk, traktując je jako proces dojrzewania. W atmosferze oczekiwanego przyjazdu Ojca Św. wypowiedzi okazały się niecodziennie głębokie, szczere a zarazem syntezujące, dając zaskakująco wielostronny obraz stanu naszej świadomości w roku 1987. Pierwszy egzemplarz tamtej publikacji został ofiarowany Ojcu Świętemu. Biskup Tadeusz Gocłowski napisał we wstępie do tej publikacji: *Ojczyzna przez wieki dojrzewała, Ona dojrzewała również i dziś poprzez naszego pokolenia dojrzewanie, myślenie, wartościowanie, umiłowanie... Ludzie dojrzewiają ku prawdzie, ku odwadze, ku autentycznym postawom.*

W dniach 1–9 czerwca 1991 roku Ojciec Św. odwiedził swoją Ojczyznę po raz czwarty. Ku czemu dojrzewamy w Polsce dziś?

W swoich homiliach podczas IV pielgrzymki do Polski Ojciec Św. ostrzegał przed niebezpieczeństwami, które stanęły przed nami w sferze postaw moralnych, w formach zupełnie elementarnych zagrożeń. Papież stanął przed nami jako ojcowski rekołেকcjonista, znający nas dogłębnie i ujawniający wszystkie nasze wady. Dokonany przegląd praw Bożych zawartych w Dekalogu, skonfrontowany z rzeczywistością naszych przemian społecznych, ekono-

Mikołaj Kosteki

DOJRZEWANIE Z PAPIEŻEM

micznych, prawnych, powinien pobudzić każdego do refleksji.

Fundament swojej katechizacji w Ojczyźnie zbudował Ojciec Święty na Dekalogu, podstawowym prawie wszelkiego dojrzewania, wypisanym w sercach ludzkich. Także i ci, co nie znają Dekalogu, znają jego istotną treść. To prawo moralne dane jest człowiekowi i dane dla człowieka, dla jego dobra.

W homilii wygłoszonej w Koszalinie papież skierował pierwsze posłanie do nas: *Stąd nad Bałtykiem proszę was, wszyscy moi rodacy, synowie i córki wspólnej Ojczyzny, abyście nie pozwolili rozbić tego naczynia, które zawiera Bożą prawdę i Boże prawo. Proszę, abyście nie pozwolili go zniszczyć, abyście sklejali je z powrotem, jeśli popękalo — abyście nigdy nie zapominali: „Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno. Pamiętaj abyś dzień święty święcił. Czcij ojca twego i matkę swoją. Nie zabijaj. Nie cudzołóż. Nie kradnij. Nie mów fałszywego świadectwa. Nie pożądaj żony bliźniego twego. Nie pożądaj żadnej rzeczy, która jego jest.*

Oto Dekalog. Dziesięć słów. Od tych 10 prostych słów zależy przyszłość człowieka i społeczeństwa, przyszłość narodu, państwa, Europy, świata.

Na poszczególnych etapach swojej pielgrzymki papież odnosił się do kolejnych przykazań, przybliżając ich wykładnię do dnia dzisiejszego, którego praktyka jakże daleko odbiega od założeń najwyższego Prawodawcy.

Chcemy się prywatyzować, jest lansowany model kapitalizacji gospodarki. Ale w praktyce dopuszczamy drapieżny wykup majątku społecznego, traktowanego przez potencjalnych partnerów kontraktowych jako majątku nie mogącego się bronić bankruta.

Temat „społeczny” podniósł papież w piątym dniu swojej pielgrzymki w homilii w Białymstoku, nawiązując do ogłoszonej przed stu laty przez papieża Leona XIII encykliki „Rerum novarum”. Mówi papież: *Kiedy styszymy: „Nie kradnij”, to rozumiemy, że jest rzeczą moralnie złą przywłaszczanie sobie cudzą własność... Siódme przykazanie uwydatnia prawo osoby ludzkiej do posiadania rzeczy jako dóbr... Ma więc także i prawo posiadania ich celem przetwarzania. Dobra materialne służą nie tylko używaniu, ale także wytwarzaniu nowych dóbr dla siebie i dla innych, tak aby całe społeczeństwo stawało się zasobniejsze, aby mogło bytować w sposób bardziej godny ludzkich istot. (...) Jest zadaniem szczególnie doniosłym dla naszego narodu i społeczeństwa, ażeby przezwyciężając następstwa ustroju, który okazał się ekonomicznie niewydolny, a etycznie szkodliwy, budować w ramach nowego ustroju sprawiedliwy ład, ład w którym ludzkie talenty nie będą się marnowały, a całość życia społeczno-ekonomicznego odzyska potrzebną równowagę.*

Obyśmy tylko w swoich dążeniach do ukształtowania nowej gospodarki i nowych układów ekonomicznych nie próbowali iść drogami na skróty, z pominięciem drogowskazów moralnych... Jeżeli w realizowaniu tej reformy gospodarczej będą skrupulatnie przestrzegane zasady sprawiedliwości; jeżeli każdy będzie się liczył nie tylko z interesem własnym, ale również interesem społecznym; jeśli w działaniach gospodarczych nie zabraknie troski o najuboższych i naj-

bardziej potrzebujących — wówczas Pan Bóg z pewnością pobłogosławi wysiłkom, i nie tylko Polska do-pracuje się dobrobytu, ale i atmosfera wzajemnych stosunków międzyludzkich stanie się zdrowsza i bar-dziej ludzka. (...)

Nasza polska sprawa, nasze polskie przejście do no-wego — po wyjściu ze starego — ustroju, do czego całe społeczeństwo się przyczyniło w okresie i za sprawą „Solidarności” — to jest wielkie osiągnięcie dziejowe! Dlatego czeka nas wielki wysiłek natury organizacyjnej, ustrojowej, a równocześnie moralnej. Moralnej! Musimy się uczyć posiadać i wytwarzać. Musimy się uczyć tworzyć sprawiedliwe społeczeństwo przy założeniu wolnego rynku. To wszystko jest po-wiązane z tym jednym prostym przykazaniem: „Nie kradnij”. Bóg jest zwięzły, mówi krótko. Nie naduży-wa słów. Ale te słowa pokrywają bardzo rozległe obszary życia ludzkiego, bardzo złożone wymiary ludzkiego bytowania.

Problemy etyki seksualnej, „człowieka cielesnego” i życia duchowego podjął papież siódmego dnia piel-grzymki w homilii wygłoszonej we Włocławku. Pa-pież przywołał słowa Apostoła: „Jeżeli będziecie żyli według ciała, czeka was śmierć. Jeżeli zaś przy po-mocy Ducha uśmiercać będziecie popędy ciała — bę-dziecie żyli”. A zatem nie dać się uwikłać całej tej cywilizacji pożądania i użycia, która panoszy się wśród nas i nadaje sobie nazwę europejskości. Czy jest to cywilizacja — czy raczej antycywilizacja, py-ta papież. Kultura — czy raczej antykultura? Woła papież: ... wraz z Księdzem Jerzym, który nie opodal stąd znalazł śmierć na wiślanym spiętrzeniu, zginam moje kolana przed Ojcem i proszę o wzmocnienie siły człowieka wewnętrznego. Proszę o wzmocnienie siły człowieka wewnętrznego i wszystkich synów i córek mojej Ojczyzny u progu czasów, które nadeszły — i które idą. (...) Nie jest przywracaniem wartości czło-wiekowi spychanie go do tego co zmysłowe, do tych wszystkich rodzajów pożądania, do tych wszystkich ułatwień w dziedzinie zmysłów, w dziedzinie życia seksualnego, w dziedzinie używania. (...) Nie jest to miarą europejskości, na którą tak często powołują się niektórzy rzecznicy naszego wejścia do Europy. (...) Nie musimy do niej wchodzić, ponieważ ją tworzy-liśmy i tworzyliśmy ją z większym trudem aniżeli ci, którym się przypisuje, albo którzy sobie przypisują patent na europejskość. Wyłączny. A co ma być kryterium? Co ma być kryterium? Wolność? Jaka wolność? Na przykład wolność odbierania życia nie narodzonemu dziecku...

Moji drodzy Bracia i Siostry. Ja pragnę jako biskup Rzymu zaprotestować przeciwko takiemu kwalifiko-waniu Europy, Europy zachodniej. To obraża ten wielki świat kultury, kultury chrześcijańskiej, z któ-regośmy czerpali, i któryśmy współtworzyli, współ-tworzyli także za cenę naszych cierpień. (...) Tak, tworzył ją Ksiądz Jerzy. On jest patronem naszej obecności w Europie, za cenę ofiary z życia, tak jak Chrystus. Tak jak Chrystus!

Przesłanie papieża do nas, ludzi wspólnej z nim Ojczyzny, ma charakter profetyczny. Będziemy je od-czytywali wielokrotnie i wciąż od nowa. Czy dojrze-jemy wraz z nim i przyjmiemy do serca słowa prze-pojone troską o nasze dziś i nasze jutro? Czy po-trafimy jego nauczanie przyjąć i wprowadzić do praktyki naszego życia; odnowić Ziemię, na której żyjemy, tę Ziemię, naszą Ojczyznę. ■

NIEMCY EUROPEJSKIE

Rozmowa

z ambasadorem RP

w Republice Federalnej Niemiec

dr. JANUSZEM REITEREM

— Autor „Czarodziejskiej Góry”. Tomasz Mann sformułował kiedyś pytanie, które chyba i dziś jest aktualne: „Europa niemiecka czy Niemcy europej-skie”?

— Sądzę, że Niemcy wyciągnęli kilka wniosków ze swojej historii. Wielu doświadczeniem, jakie stały się ich udziałem po II wojnie światowej, umieli nadać walor pozytywny. Na co dzień obcuja z faktem: ich kraj nie był nigdy tak mały i zarazem nie powo-dziło się im nigdy tak dobrze, jak w tej chwili. Niemcy w części zachodniej, ale zapewne też i we wschodniej, wiedzą dlaczego to było możliwe. Stało się to możliwe dzięki polityce, która prowadziła do przyjaźni z Francją. Jednakże w głównej mierze umożliwiła to integracja Niemiec z zachodnią Euro-pą. Novum w sytuacji Niemiec polega na tym, że przestały one być takim mocarstwem w środku Euro-py, które owładnięte niepokojem ciągle zadawało so-

ble pytanie, gdzie jest jego miejsce. I właściwie mia-
ło ustawiczne trudności ze znalezieniem swego miej-
sca w Europie. Wejście Niemiec także do Sojuszu
Północnoatlantyckiego określiło miejsce naszego za-
chodniego sąsiada. Ta próba się powiodła. Zapewniło
to Niemcom spokój, a także ich sąsiadom. Polityka
niemiecka po zjednoczeniu nakierowana jest nie tyl-
ko na utrzymanie owego scalenia z Europą, ale i na
jego pogłębienie. Drugi cel polityki niemieckiej w
tej dziedzinie to wciągnięcie do bliskiej współpracy
krajów Europy środkowo-wschodniej.

— Na te tematy zabierają głos i wypowiadają się
w Niemczech także przedstawiciele tych nurtów po-
litycznych, którym bliższe jest dziedzictwo Hohenzol-
lernów niż paneuropejskie idee.

— Oczywiście, istnieją w Niemczech i te nurty po-
lityczne, ale nie są one dominujące, nie stanowią
jakiegos poważniejszego zagrożenia. W dzisiejszych
Niemczech panuje w zasadzie zgoda co do tego, że
w interesie samych Niemiec leży, aby nie były one
takim dryfującym okrętem po oceanie polityki euro-
pejskiej, lecz żeby zarzuciły kotwicę tam, gdzie po-
zostawił ją Konrad Adenauer po 1949 roku. W soju-
szu z Ameryką i w coraz bardziej integrującej się
Europie. Taki właśnie model stosunków jest praktycz-
ną odpowiedzią na pytanie czy Europa niemiecka, czy
Niemcy europejskie. Jest to odpowiedź konkretna,
ważniejsza niż pięknie brzmiące deklaracje.

— Czy rzeczywiście silne osadzenie Niemiec w kon-
stelacji europejskiej, odczuwane i odbierane jako fakt
pozytywny, zadecyduje o tym, że poszukiwanie jakiejś
odrębnej drogi rozwoju — Sonderweg — dla repu-
bliki niemieckiej należy do przeszłości?

— Wiadomo, że w historii nic nie jest dane raz na
zawsze. Trzeba o tym pamiętać. Wiele wskazuje na
to, że Niemcy sami zrezygnowali z dawnej roli wę-
drowca krocącego wśród narodów europejskich od-
miennymi drogami. Niemcom dobrze jest z tym pań-
stwem, które dość wyraźnie określiło swoje miejsce,
co oczywiście nie oznacza, że Niemcy nie będą się w
tej chwili bardziej orientowały na wschód. Będą to
robiły. Jeżeli celem tego zwrotu będzie, tak jak dzi-
siaj, przyciągnięcie Polski i innych krajów Europy
środkowej do wspólnoty integracyjnej, to taki rodzaj
zaangażowania się ich czy też orientowania się na
wschód leży również w naszym interesie.

— Jakość tych stosunków zależeć będzie nie tylko
od naszej otwartości, ale także od polityków, organi-
zujących siły stanu, od ich umiejętności dochodzenia
do kompromisu, zmysłu przewidywania a przede
wszystkim od dojrzałej i dalekowzrocznej koncepcji
współpracy z najbliższymi sąsiadami Polski.

— Myślę, że jeśli idzie akurat o Niemcy polityka
polska nie musi się wstydzić bilansu ostatnich dwóch
lat. Wymienię w kolejności: traktat graniczny, zniesie-
nie obowiązku wizowego i wreszcie parafowanie
polsko-niemieckiego „Traktatu o dobrym sąsiedztwie
i przyjaznej współpracy” i podpisanego 17 czerwca
br. przez obie strony. Jest to zatem polityka mająca
na swym koncie sukcesy i efekty, z których korzy-

stać może całe społeczeństwo. Ważne jest to, iż w
„Traktacie” odzwierciedla się przeświadczenie, że Pol-
ska i Niemcy należą do świata wspólnych wartości.
Łączą nas m.in. duchowe tradycje chrześcijaństwa.
Rzecz teraz w tym byśmy potrafili powiązać starsze
cechy kulturowe z wymogami nowoczesnego rozwoju.

— Czy współpraca z Niemcami, które partycypo-
wałyby w budowie nowej Europy oznacza, zdaniem
pana ambasadora, odejście od fatalizmu geopolityki?

— Uważam, że współpraca i dobre stosunki nie tyl-
ko z Niemcami to podstawowy warunek umożliwiają-
cy wyjście z zaczarowanego koła geopolityki. Myśle-
nie bowiem kategoriami geopolitycznymi prowadzi
wprost do powiększania rangi czynnika geograficz-
nego (położenie, przestrzeń), z góry niejako determi-
nującego typ i charakter stosunków politycznych,
przy jednoczesnym pomniejszaniu czynnika psycholo-
gicznego, woli zbiorowej, procesu decyzyjnego, które-
mu ostateczny kształt nadają mężowie stanu i dyplo-
maci. Z punktu widzenia geopolityki mogłoby się oka-
zać, że to nie tyle konkretni ludzie czy całe zbioro-
wości kierują swym losem, ile jakieś tajemnicze siły
wokół nas dyktują bieg wydarzeń. A przecież tak
nie jest i nie chcemy, ażeby tak było. Toteż jesteśmy
za współpracą z Niemcami. Wynika to z realistyczne-
go oglądu sytuacji w Europie. Szczególnie wyraziście
rysuje się to, gdy na Europę patrzy się z perspekty-
wy amerykańskiej. Warto sobie uświadomić, że Ame-
ryka nadal wywiera ogromny wpływ na politykę
europejską.

Podobnie jak z Niemcami Polska jest też „skaza-
na” na ułożenie dobrych stosunków z Rosją. Niemcy
rozumieją tę kwestię, z tym większym zdziwieniem
zauważają wszelkie przejawy niedoceniania czy ba-
gatelizowania tego, co dzieje się u naszego wschod-
niego sąsiada. Niektórzy nasi krajanie, preferujący
postawy zamknięte, nieufni wobec naszych sąsiadów,
nie lubią czegoś takiego słuchać. Najbardziej odpo-
wiada im pozycja wiecznie zagrożonej placówki. Rzecz
polega na tym, by procesy wybijania się na „nor-
malność” państw Europy środkowej przebiegały w
miarę spokojnie. By budowanie demokratycznego ła-
du nie przeciągało się w nieskończoność, a walka
o wpływy różnych grup i ugrupowań nie obniżała
autorytetu państwa. Brak klasowości i surowość
zmian zachodzących w krajach Europy środkowej
mogłyby być doskonałym argumentem za tym, by
znowu geopolityka wyznaczała bieg wydarzeń.
W praktyce sprowadzałoby się to do wykreowania
szczególnych stosunków Niemiec z Rosją. Nasza pol-
ska racja stanu polega na tym, by uniknąć takiej
ewentualności.

— Myślę, że nową kartę we wzajemnych stosun-
kach polsko-niemieckich otworzył parafowany przez
premiera Bieleckiego i kanclerza Kohla „Traktat”.
Lektura jednakże tego ważnego dokumentu (zwła-
szcza listów obydwu ministrów spraw zagranicznych
— polskiego i niemieckiego — które dołączono do
„Traktatu”, nasuwa uwagę, że mniejszość niemiecka
w Polsce może oczekiwać szczególnej pomocy, a mo-
że nawet kuratelę ze strony swego zachodniego pro-
tektora. Czy to nie jest rodzaj koncesji, na jaką
zgodziła się strona polska?

— Nie nazywałbym tego koncesją. Redakcja „Traktatu” w punkcie dotyczącym zarówno mniejszości niemieckiej w Polsce jak i polskiej w Niemczech, jest wynikiem realistycznego podejścia do tego nader delikatnego problemu. Pragnę podkreślić, iż nie przyjęto zasady, że Republika Federalna jest protektorem niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce. Zgodziliśmy się na dołączenie do „Traktatu” dwóch listów ministrów spraw zagranicznych, w których strona niemiecka zapewniła, że Polacy mieszkający w RFN a nie będący obywatelami tego państwa mogą korzystać z różnych uprawnień, zaś strona polska zadeklarowała gotowość i chęć tworzenia warunków w pełni umożliwiających pielegnowanie przez mniejszość niemiecką swej tożsamości narodowej. Stanowczo natomiast sprzeciwiliśmy się sugestiom pewnych kół w RFN, by członkom mniejszości, najliczniejszej na Śląsku Opolskim, przyznać status obywateli RFN. Dodam jeszcze, że minister Skubiszewski w swym liście nie wyraża zgody na utworzenie jakiegoś polsko-niemieckiego organu, który miałby się zajmować problemami mniejszości, a także nie akceptuje stosowania dwujęzycznych nazw poszczególnych miejscowości, szczególnie na Śląsku Opolskim. Nawet pobieżna analiza treści tego porozumienia wykazuje, że jest ono zgodne z polską racją stanu, a katalog praw i obowiązków doskonale współbrzmi z europejskimi standardami. Ewentualne zastrzeżenia, odnoszące się do niektórych spraw „Traktatu”, tak bym skomentował: gdyby nie było naszej zgody na taką właśnie redakcję „Traktatu” i dążenia do rozsądnego kompromisu, z pewnością nigdy nie ujrzałby światła dziennego.

— *Nie wolno zapominać o przeszłości, to oczywiste, lecz byłoby źle, gdyby np. zbiorowe urazy i bolesne doświadczenia miały określać przyszłość w kontaktach polsko-niemieckich...*

— Minister Krzysztof Skubiszewski niejednokrotnie podkreśla, że polityka jest sztuką osiągania tego, co możliwe. Jeżeli ktoś trzyma się zasady — wszystko albo nic, łatwo może całkowicie przegrać. Mamy dziś sprawy ważniejsze od rozpamiętywania minionych dziejów. Zachowanie własnego oblicza kulturowego, ugruntowanie suwerenności będzie możliwe pod warunkiem wybicia się na normalność w miarę szybkiego zmodernizowania naszej gospodarki i zakorzenienia się Polski we wspólnocie europejskiej. To jest nasz główny cel. Najwyższy czas, by wyzbyć się wreszcie nawrotów ambiwalencji i ciągłych wahań czy chcemy obecności Niemców i ich kapitału w naszym kraju, czy nie. Trzeba pamiętać o tym, że Niemcy ze swoją dynamiczną gospodarką będą mieli coraz większy udział w rozbudowie infrastruktury europejskiej. Polsko-niemiecki „Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy” jest czymś w rodzaju wehikułu, który pcha nas do przodu, stanowi próbę stwarzania faktów, a nie, jak dotąd, reagowania na sytuacje i fakty tworzone przez innych. Jestem także przekonany, że trwale rozwiązanie problemów mniejszości niemieckiej w Polsce będzie łatwiejsze w integracji z Europą. Stracą one wtedy na ostrości i przestaną ogniskować polityczne emocje.

Rozmawiał
Stanisław Pestka

CO KASZUBI MYŚLĄ O NIEMCACH?

Jarosław Załęcki

Nowa karta w stosunkach polsko-niemieckich stwarza możliwości ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków między obu narodami. Czy jednak szansa ta zostanie wykorzystana? Czy osobiste doświadczenia ludzi wyniesione z lat okupacji oraz polityka władz komunistycznych lansująca negatywny obraz Niemca nie staną temu na przeszkodzie? Przyszłe dobrosąsiedzkie stosunki uzależnione będą w znacznej mierze od tego, jak ukształtują się wzajemne nastawienia ludzi żyjących po obu stronach Odry. Tę właśnie problematykę postawiło za przedmiot swoich dociekań Naukowe Koło Socjologów UG, które w latach 1988—90 przeprowadziło kompleksowe badania poświęcone kwestii niemieckiej. Ogółem badaniem objęto 611 osób deklarujących kaszubską przynależność, zamieszkających w okolicach Kościerzyny i Kartuz. Niniejsze opracowanie jest prezentacją wybranych wniosków wpływających ze wstępnej analizy uzyskanego materiału.

Wobec zjednoczenia Niemiec opinie badanych były podzielone. Blisko połowa (49 proc.) reprezentowała pogląd, że Niemcy z RFN i NRD są jednym narodem, który powinien być zjednoczony i tworzyć jedno państwo. Jedynie co trzeci respondent (34 proc.) prezentował pogląd przeciwny, a co siódmy (17 proc.) nie miał na ten temat zdania. Interesująca jest tu zależność, jaka zachodzi między rozkładem powyższych opinii a wiekiem badanych. Osoby młodsze zdecydowanie częściej opowiadały się za zjednoczeniem, starsze zaś (pamiętające okres II wojny światowej) wyrażały raczej zdanie odmienne. Niemniej wobec perspektywy zjednoczenia Niemiec większość osób badanych wykazywała zrozumienie, a ludzie młodszy nawet przychylność.

Warto w tym miejscu postawić pytanie: Jaki wizerunek Niemca zakorzeniony jest w świadomości badanych? Można go zrekonstruować na podstawie cech najczęściej wymienianych przez badanych. Według nich Niemcy charakteryzują się przede wszystkim: gospodarnością (95 proc.), dobrą organizacją (94 proc.), umiłowaniem porządku (94 proc.), także dyscypliną (94 proc.), oszczędnością (93 proc.) i pracowitością (84 proc.) a ponadto wysoką kulturą osobistą (55 proc.), patriotyzmem (54 proc.) i elegancją (51 proc.). Cechy te — w opinii respondentów — są czynnikiem warunkującym sukces gospodarczy oraz kulturę życia codziennego. Stanowią przy tym wzór godny naśladowania dla Polaków. Obok pozytywnych wymieniali również cechy negatywne, takie jak zaborczość (61 proc.), wyrachowanie (61 proc.), zarozumiałość (60 proc.), skąpstwo (54 proc.) i oziębłość (50 proc.).

Znaczący jest fakt, że młode pokolenie spogląda bardziej życzliwie na Niemców niż pokolenie starsze, młodzi bowiem respondenci — w przeciwieństwie do starszych — znacznie częściej wskazywali na cechy pozytywne aniżeli negatywne. Należy podkreślić, że dokonując opisu Niemca badani mieli na myśli przede wszystkim przeciętnego Niemca zamieszkałego na terenie RFN. Niemcy z NRD są ich zdaniem znacznie mniej gospodarni, pracowici, zorganizowani, zdyscyplinowani i oszczędni, bardziej zaś zaborczy i arogancy.

Wielu opisywało także wygląd zewnętrzny Niemca. I tak przeciętny Niemiec kojarzy się najczęściej z człowiekiem o jasnych włosach (72 proc.) i niebieskich oczach (63 proc.), wysokim (47 proc.), szczupłym (42 proc.), ubranym na sportowo (38 proc.), w okularach (38 proc.). Prawdopodobnie dla niektórych punktem odniesienia był niemiecki turysta przybywający w te strony.

Inny problem to uprzedzenia, jakie badani żywią w stosunku do Niemców. Okazuje się, że do Niemców zachodnich nieco więcej osób czuje sympatię (29 proc.) aniżeli antypatię (24 proc.), zaś w przypadku wschodnich wyraźnie dominuje antypatia (42 proc.) nad sympatią (13 proc.). Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Instytut Badań Społecznych w Kolonii, postawy te są przez Niemców wschodnich odwzajemnione — Polaków obok Rumunów i Rosjan darzą największą niechęcią. Powyższe wyniki potwierdzają również opinie tych respondentów, którzy

przebywali na terenie NRD. Większość z nich odczuła tam niechęć, a czasem wrogość (74 proc.). Nieco inaczej rzecz przedstawia się w przypadku osób przebywających w RFN, gdyż tam jedynie co trzeci badany odczuł nieprzychylność (34 proc.), zaś zdecydowana większość określiła stosunek Niemców jako serdeczny (66 proc.).

Ciekawe wydaje się umiejscowienie uprzedzeń do Niemców w kontekście analogicznych postaw do innych narodów europejskich. Największą niechęć respondenci przejawiają do Rosjan (46 proc.), Niemców wschodnich i Czechów (35 proc.), najmniejszą zaś do Francuzów (5 proc.), Włochów (6 proc.) i Węgrów (9 proc.).

Niemalą wpływ na stopień uprzedzeń ma „pamięć historyczna”. Niemal wszystkie osoby badane za najważniejsze wydarzenie w dziejach polsko-niemieckich uznały II wojnę światową i związane z nią konsekwencje (utrata najbliższych, obozy koncentracyjne, zniszczenia), a także rozbiory i proces germanizacji. Najbardziej wryły się w pamięć postaci odpowiedzialne za „czasy pogardy”: Hitler, Göring, Goebbels i Hess. W świadomości wielu wciąż żywa jest więc tragiczna przeszłość obu narodów.

Czy jednak uprzedzenia Polaków względem Niemców są zjawiskiem trwałym i nieodwracalnym? Z badań wynika, że postawy te mogą ulec zmianie, gdyż większość respondentów wyrażała opinię, że krzywdy, jakie Niemcy wyrządzili Polakom, powinny być wybaczone (72 proc.), ale nie zapomniane. Większość też wyrażała pogląd, że oba narody powinny wspólnie budować przyszłość Europy (62 proc.) i mogą żyć obecnie w przyjaźni (57 proc.). Odnosić jednak należy istnienie także poglądów zgoła odmiennych. Dość znaczna część badanych uważała, że Polacy i Niemcy zawsze byli i pozostaną wrogami (40 proc.), a blisko połowa nadal dostrzega ze strony niemieckiej zagrożenie dla Polski (48 proc.). Tak więc obok tendencji charakteryzującej się większą otwartością, bliższej zwłaszcza ludziom młodym, zaobserwować można również tendencję odwrotną: nierzadko Niemcy — szczególnie w przypadku ludzi starszych — budzą lęk i obawę.

Badania ujawniły jeszcze jedną zależność. Większą otwartość a zarazem niższy stopień uprzedzeń wykazują osoby, które obecną wiedzę na temat zachodnich sąsiadów czerpią z bezpośrednich kontaktów z Niemcami (zwykle w czasie pobytu w RFN lub NRD). Natomiast respondenci, którzy swe poglądy kształtują wyłącznie w oparciu o tzw. „źródła pośrednie” (np. środki masowego przekazu, szkoła, opowiadania wojenne ludzi starszych) prezentują większą powściągliwość i znacznie wyższy stopień uprzedzeń.

Podsumowując stwierdzić można, że wśród ludności kaszubskiej następuje stopniowy, wyrazisty proces przełamywania uprzedzeń w stosunku do Niemców. Dokonuje się on pod wpływem wymiany pokoleniowej oraz rozwoju wzajemnych kontaktów (zarówno indywidualnych, jak i organizacyjnych). Ostatnie wydarzenia — zniesienie wiz dla Polaków przez państwo niemieckie oraz deklaracja władz polskich, iż „droga do Europy prowadzi przez Niemcy” — prawdopodobnie proces ten przyspieszą. ■

SZKIC Z DZIEJÓW ŻYDÓW GDAŃSKICH

Grzegorz Berendt

Samuel Echt, autor książki „Die Geschichte der Juden in Danzig” poświęconej historii Żydów w Gdańsku, wiąże początki ich obecności nad Motławą z XI wiekiem. Biorąc pod uwagę fakt penetracji Polski centralnej i południowej przez kupców żydowskich i więzi handlowe łączące te obszary z Pomorzem Gdańskim przyjmuje, że mogli oni docierać również do ujścia Wisły. Nie zachowały się jednak dokumenty mówiące o Żydach gdańskich z okresu od XI do XV wieku. O ich sytuacji prawnej dowiadujemy się w sposób pośredni. W dokumencie lokującym Gdańsk na prawie niemieckim, wystawionym przez księcia pomorskiego Świętopelka II w 1224 roku, określono warunki nabywania praw miejskich. Wszyscy nie-chrześcijanie zostali pozbawieni możliwości osiedlania się w Gdańsku. Kupcy niemieccy starali się w ten sposób pozbyć żydowskich konkurentów.

Dyskryminacja Żydów nie zniknęła ani po zajęciu Pomorza Gdańskiego przez Krzyżaków w 1308 roku, ani po inkorporacji tego obszaru do Polski w wyniku wojny trzynastoletniej i postanowień II pokoju toruńskiego z 1466 roku. Zazdrośni mieszczaństwo gdańscy uzyskali wtedy od króla Kazimierza Jagiellończyka

szereg przywilejów gwarantujących im monopol na prowadzenie handlu w mieście. Wyjątkiem był okres targów dominikańskich, kiedy to Żydzi mieli prawo przebywania i handlowania w Gdańsku.

Istniejące ograniczenia zmuszały ludność żydowską do osiedlania się w dobrach biskupów kujawskich i opatów pelplińskich, które graniczyły z gruntami należącymi do miasta. Z czasem w jego bezpośrednim sąsiedztwie powstały trzy żydowskie gminy wyznaniowe. Dokumenty dostarczają informacji na temat gminy w Starych Szkotach, gminy Weinberg, która przestała istnieć w XIX wieku, a która zrzeszała Żydów z terenu dzisiejszych dzielnic Chelm i Siedlce, oraz gminy z siedzibą w Jaśkowej Dolinie we Wrzeszczu. W roku 1782 połączyły się one w jedną organizację rabinacką. W wyniku pierwszego rozbioru Polski weszły w skład państwa pruskiego. W ten sposób od Gdańska oddzielił Żydów z przedmieść już nie tylko uprzywilejowany status miasta, ale i przynależność państwowa.

Stan ten trwał aż do roku 1793, kiedy to również Gdańsk włączono w skład państwa pruskiego. Fakt ten tylko w niewielkim stopniu zmienił formalną sytuację Żydów, bowiem w akcie kapitulacyjnym

miasta, podpisanym przez dowódcę wkraczających do miasta oddziałów pruskich, znalazła się klauzula zakazująca ludności wyznania mojżeszowego nabywania ziemi i prowadzenia działalności gospodarczej w obrębie miasta. Krokiem naprzód było uzyskanie prawa do zamieszkiwania na jego obszarze. Żydzi zaczęli z niego korzystać i w krótkim czasie powstały dwie gminy, jedna przy dzisiejszej ulicy Szerokiej i druga w okolicach skrzyżowania ulic Szopy i Elbląskiej.

W pierwszej połowie XIX wieku w Gdańsku i na jego przedmieściach było już pięć gmin żydowskich, których liczebność oscylowała w granicach 2,5 do 3 tysięcy członków. Wahania były spowodowane migracjami wynikającymi z pogarszania się gospodarczej pozycji Gdańska i ciągłego braku równouprawnienia Żydów z innymi mieszkańcami. Po wielu latach sporów i przetargów gminy gdańskie powołały wspólny zarząd administracyjny, który działał na zasadach określonych w zarządzeniu władz pruskich z 1847 roku. Zewnętrznym wyrazem zjednoczenia gmin była wybudowana wspólnymi siłami wielka synagoga, która stała na terenie dzisiejszego parkingu za Domem Harcerza w śródmieściu Gdańska. Jej budowę zakończono w roku 1887.

Na przełomie XIX i XX wieku dominującą rolę w życiu żydowskiej społeczności odgrywali Żydzi zasymilowani, wrośli w niemieckie otoczenie, od którego praktycznie odróżniali się tylko wyznaniem. Opowiadał się po stronie ruchów reformatorskich i liberalno-demokratycznych. Tak zwanych Żydów wschodnich, tzn. pochodzących z terenów cesarstwa rosyjskiego, było na początku wieku XX niewielu. Tworzyli małą kolonię, zamieszkując głównie na ulicach Elbląskiej i Łąkowej. Zajmowali się przede wszystkim pośrednictwem w handlu zbożem i drewnem sprowadzanym z Rosji i z Polski. W tej dziedzinie gospodarki gdańskiej zajmowali bardzo ważne miejsce aż do drugiej połowy lat trzydziestych. Jedną z największych firm żydowskich zajmujących się handlem zbożem założył Simon Anker.

Kolejnym przełomowym wydarzeniem w dziejach Żydów gdańskim było utworzenie Wolnego Miasta Gdańska. Suwerenność nowego organizmu prawnoterytorialnego ograniczała kontrola Ligi Narodów — gwarantki ustroju Wolnego Miasta, którą w Gdańsku reprezentował Wysoki Komisarz Ligi Narodów, i prawa odrodzonego państwa polskiego, których zakres określono w dwustronnych umowach polsko-gdańskich.

Organem ustawodawczym Wolnego Miasta była Izba Ludowa — Volkstag, natomiast pracę władzy wykonawczej koordynował jej najwyższy organ — Senat WM. Wymienione instytucje funkcjonowały na podstawie konstytucji gwarantowanej przez Ligę Narodów. Dla mniejszości narodowych i wyznaniowych podstawowe znaczenie miał artykuł 73 konstytucji, zawierający zasadę równouprawnienia wszystkich obywateli WM, bez względu na narodowość, pochodzenie i wyznanie. To ustalenie oraz kilka innych z niego wynikających gwarantowały formalnie Żydom — obywatelom gdańskim równoprawny udział we wszystkich dziedzinach życia publicznego, wolność sumienia i zrzeszania się. Sytuację Żydów — obywateli polskich regulowały umowy polsko-gdańskie z lat 1920, 1921, 1933. Kontrola ich przestrzegania należała do Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku.

W latach dwudziestych znacznie zwiększyła się liczebność społeczności żydowskiej w Wolnym Mieście. Zasilili ją zarówno Żydzi niemieccy z terenu byłego zaboru pruskiego, jak i Żydzi z Polski i z Rosji. Część z nich, szczególnie ludzi interesu, sprowadziła do Gdańska nadzieja pomnożenia swojego majątku związana z powrotem miasta i portu do roli głównego pośrednika w morskim handlu Polski. Byli oni szczególnie cenni dla gdańskiej gminy synagogalnej, która nie należała do zbyt zamożnych. Wsparcie finansowe było jej potrzebne tym bardziej, że przyjęła na swoje barki pomoc żydowskim emigrantom opuszczającym Europę wschodnią. Przewinęło się ich przez Gdańsk w pierwszej połowie lat dwudziestych około 60 tys. Część emigrantów, którym nie starczyło środków na dalszą podróż lub którzy postanowili spróbować szczęścia na miejscu, pozostała. W wyniku tego procesu liczebność gminy gdańskiej wzrosła do 11 223 osób w 1930 roku. Poza tym były jeszcze gminy w Sopocie, Nowym Dworze Gdańskim i w Nowym Sta-wie. W Gdańsku były trzy synagogi. Główna przy ul. Reitbahn, dziś Bogusławskiego, była świątynią Żydów reformowanych, w synagodze przy ulicy Szopy modlili się ortodoksi, a w zbudowanej w 1927 roku świątyni we Wrzeszczu Żydzi konserwatywni. Miały one wspólną administrację, natomiast zachowywały autonomię w sprawach obrządku. Wybieralny zarząd miał prawo do ściągania podatków od członków gminy. Z opłat tych pokrywano bieżące wydatki. Poza tym zarząd reprezentował Żydów i w razie konieczności występował w ich obronie do władz.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego istniało na terenie Wolnego Miasta ponad sześćdziesiąt żydowskich organizacji o różnym charakterze, w tym 7 gmin i stowarzyszeń religijnych, 15 organizacji zajmujących się dobroczynnością i samopomocą, 10 pracujących w dziedzinie kultury, 9 zawodowych, które powstały głównie w okresie usuwania Żydów z publicznych miejsc pracy po dojściu hitlerowców do władzy. Liczna grupa stowarzyszeń światopoglądowych dzieliła się w zasadzie na instytucje powołane przez niemieckich Żydów liberalnych i syjonistów przybyłych po 1919 roku. Niektóre były efemerydami, inne funkcjonowały nawet po kilkadziesiąt lat. W Wolnym Mieście działały również filie żydowskich organizacji z Niemiec. Do nich zaliczał się „Bund der ehemaligen jüdischen Frontsoldaten, Ort Danzig”. Organizacje syjonistyczne „Aguda”, „Mizrachi” i inne miały charakter międzynarodowy. Młodzież trenowała w klubie „Bar Kochba”, który miał własną przystań wioślarską nad Motławą. Działalnością sportową zajmował się również Żydowski Związek Sportowy, mający swoją halę treningową przy ulicy Jana z Kolna. W latach trzydziestych, aby uchronić dzieci i młodzież przed szykanami, których ofiarą padały w szkołach senackich, stworzono żydowskie przedszkole, szkołę powszechną i gimnazjum prywatne kierowane przez Ruth Rosenbaum. Część młodzieży żydowskiej kontynuowała naukę w szkołach polskich, np. w Gimnazjum Macierzy Szkolnej. Społeczność żydowska miała swoje organy prasowe. Najdłużej, bo aż do 1939 roku ukazywał się „Jüdisches Gemeindeblatt”.

Niemieckie organizacje nacjonalistyczne kierowały swoje wystąpienia przeciwko Żydom na długo przed dojściem do władzy w Gdańsku narodowych socjalistów. Zarzucano im konszachty z Polską i sympatie



Synagoga we Wrzeszczu z 1927 r. Obecnie siedziba szkoły muzycznej

Fot. Jacek Walicki

prokomunistyczne. Uogólnienia tego typu nasilały się zwłaszcza w okresie trudności gospodarczych, np. w pierwszej połowie lat dwudziestych. W tym okresie ataki skupiały się przede wszystkim na Żydach przybyłych ze wschodu i południa. Poza tym nie miały charakteru akcji systematycznej i konsekwentnie prowadzonej. Sytuacja zmieniła się w roku 1930. Z polecenia Adolfa Hitlera przybył do Wolnego Miasta Albert Forster. Został on szefem gdańskiego okręgu NSDAP. Pod jego kierownictwem miejscowi hitlerowcy przystąpili do walki o władzę. Ostatecznie dzięki sukcesowi w wyborach do Volkstagu w maju 1933 roku mogli obsadzić swoimi ludźmi główne urzędy Wolnego Miasta. Od tej pory byli w Gdańsku dwa ośrodki realizujące wytyczne A. Hitlera. Jednym z nich był senat i jego prezydenci należący do NSDAP, a drugim kwatery Alberta Forstera. Różnica między nimi sprowadzała się zasadniczo do działania różnymi metodami. Senat do 1938 roku dbał o zachowanie pozorów respektowania konstytucji WM Gdańska, natomiast bojówkarze Forstera działali niczym gangsterzy. Wprawdzie w latach 1933–1937 koncentrowali się na niszczeniu niemieckich partii opozycyjnych, ale nie zapominali o Żydach, których wskazywali jako jednych z głównych sprawców nieszczęść narodu niemieckiego. Na murach pojawiały się napisy „Precz z Żydami”, „Żydzi są naszym nieszczęściem”. Od czasu do czasu przez miasto przejeżdżały kawalkady ciężarówek pełne nazistów wykrzykujących hasła antysemickie. Bojówkarze napadali na pojedynczych Żydów lub małe ich grupy. Przed sklepami żydowskimi ustawiano pikiety wzywające Niemców do bojkotu gospodarczego a nawet towarzyskiego

Żydów. Równolegle rugowano Żydów z posad w instytucjach publicznych WM. Doprowadzono do zamknięcia pism „Danziger Rundschau” i „Danziger Echo”, których redaktorzy krytykowali tolerowanie przez władze akcji antysemickich. Redaktorów naczelnych, Teodora Loevy i Icchaka Landaua, zmuszono do emigracji. Nie oni jedni wyjechali. Do końca 1937 opuściło Gdańsk około trzech tysięcy Żydów.

Większość jednak trwała, mając nadzieję na poprawę sytuacji. Było to coraz trudniejsze, a w końcu stało się niemożliwe. Polityka narodowych socjalistów radykalizowała się. Przystawali przywiązywać wagę do ustaleń konstytucji gdańskiej i umów międzynarodowych. Począwszy od października 1937 roku hitlerowcy przystąpili do wzmożonej akcji antyżydowskiej. Jednym z pierwszych jej elementów był pogrom, do którego doszło w ostatniej dekadzie października. Zintensyfikowano bojkot gospodarczy. Przez cały rok 1938 ukazywały się kolejne rozporządzenia senackie dyskryminujące Żydów. W końcu, w listopadzie tegoż roku doszło do kolejnego pogromu, nazywanego „gdańską nocą krystalową” od dużej ilości potłuczonego szkła pochodzącego ze zniszczonej własności żydowskiej. Między innymi zdemolowano synagogi w Sopocie i we Wrzeszczu. Policja praktycznie nie reagowała. Senat zamiast karać winnych kontynuował wydawanie antyżydowskich dekretów. Od 21 listopada 1938 roku w Wolnym Mieście zaczęły obowiązywać ustawy norymberskie o ochronie krwi i czci niemieckiej.

Te wydarzenia i praktycznie pozbawienie Żydów możliwości utrzymania się skłoniły zarząd gminy synagogałnej do wzmożenia przygotowań do likwidacji instytucji żydowskich w Wolnym Mieście i zorganizowania masowej emigracji. Chodziło tu przede wszystkim o Żydów ubogich i tych, którzy nie mogli lub nie chcieli emigrować do Polski czy innych krajów. Dla nich zorganizowano między marcem 1939 a sierpniem 1940 roku siedem transportów. W ich ramach opuściło teren Wolnego Miasta około 1200 osób, z których większość znalazła się w Palestynie. Z ponad siedmiuset osób pozostałych w Gdańsku ponad pięćset deportowano do Polski lub do Teresina w Czechach. Około dwustu, przede wszystkim ludzie starzy i chorzy, zmarło do czerwca 1943 roku. Wojnę przetrwało w Gdańsku około dwadzieścia osób pochodzenia żydowskiego lub związanych trwale według hitlerowskich teorii rasowych z narodem żydowskim. Końca wojny doczekali w domu przy ulicy Owsianej. Został on zniszczony w marcu 1945 roku.

Nieliczna grupa ocalałych Żydów oraz ci, którym udało się przeżyć w Polsce i powrócić do miasta, odtworzyła gminę. Przejęła ona budynek jedynej ocalałej synagogi we Wrzeszczu. Przestał on jednak w pewnym momencie pełnić funkcję ośrodka kultu religijnego. Okoliczności, w których do tego doszło, jak również czas nie są mi znane. Po roku 1956 prężnie działał żydowski klub młodzieżowy przy ulicy Aldony we Wrzeszczu. Kres jego istnieniu przyniosła kampania antysemicka roku 1968. W jej wyniku opuściła Gdańsk spora liczba Żydów zamieszkałych tu po wojnie. Jediną instytucją żydowską istniejącą po roku 1968 był Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego — oddział gdański. Nie działał on jednak zbyt prężnie. Stosunek władz sprawił, że przez ponad dwadzieścia lat w Trójmieście nie istniało zorganizowane środowisko żydowskie.

Znaki obecności

GDAŃSKIE PAMIĄTKI PO ŻYDACH

Jarosław Sellin

Historia zna wiele kultur, o których nie świadczą już żywi ludzie lecz milczące kamienie. Podchodzi się do nich na ogół z pieczołowitością, rozumiejąc, że ich obecność jest konieczna dla zrozumienia nie tylko przeszłości, ale i dnia dzisiejszego. Jak niewiele byśmy wiedzieli o naszej cywilizacji i kulturze, gdyby przestały istnieć egipskie piramidy, greckie stadiony czy rzymskie świątynie...

Kultura Żydów polskich jest już także martwa. Przez wiele ostatnich lat zrobiono wiele, by przestały istnieć pozostałości po niej ślady. Hitlerowcy spalili synagogi i porozbijali cmentarze, bezmyślność i wandalizm czasów powojennych dopełniły reszty. Okazało się jednak, że nie tak łatwo zetrzeć z powierzchni materię tworzoną przez tysiąc lat.

Dziś w Polsce istnieje jeszcze około 500 cmentarzy żydowskich lub ich pozostałości. Jeśli nie zostały dotknięte ręką barbarzyńcy, trwają w postaci niezmienniej od stuleci. To je wyróżnia od cmentarzy chrześcijańskich. Dla Żydów cmentarz jest miejscem, w którym nie wolno niczego porządkować, pielegnować, przenosić. Stąd ich niesłychany koloryt z powykryzwanymi macewami (plytami nagrobnymi) zarośniętymi chaszczami. Ale dlatego też tylko na tych cmentarzach można odkryć nagrobki nawet z XVI wieku (Kraków, Lublin), stojące w pierwotnych miejscach.

W Gdańsku pozostały ślady po dwóch cmentarzach żydowskich. Cmentarz gminy Stare Szkoty — Chelm (a później całej gminy gdańskiej) założono najprawdopodobniej w latach dwudziestych XVII w. Mieści się on na wzgórzu przy drodze łączącej oba przedmieścia (dzisiejsza ul. Stoczniovców). Na planach miasta zaznaczony był już w XVIII w. jako „Judenberg” (Żydowska Góra). Jest najstarszym i największym cmentarzem żydowskim na Pomorzu.

Cmentarz ten dwukrotnie ulegał zniszczeniom. Pierwszy raz w 1807 roku. Wzgórze cmentarne, znakomicie nadające się do prowadzenia ostrzału artyleryjskiego Gdańska, wykorzystali wówczas wojska napoleońskie, próbujące zmusić do kapitulacji pruski garnizon. Po oblężeniu gmina żydowska musiała wydać 2 tysiące talarów na prace readaptacyjne. Drugi

raz w latach hitleryzmu i właściwie jego niszczenie trwa do dnia dzisiejszego. Jako miejsce pochówku zamknięto go w 1956 roku. Cmentarz nie jest zabezpieczony, nagrobki powoli znikają. Na szczęście od pewnego czasu interesuje się nim gdański Ośrodek Dokumentacji Zabytków.

Cmentarz dzieli się wyraźnie na dwie części. Starszą stanowi północny stok wzgórza. W tym właśnie miejscu odnalazłem nagrobki pochodzące z XVIII w. Nie wiadomo, ile ich ocalało, gdyż wiele może być już dziś zarośniętych poszyciem. Osobiście zidentyfikowałem dziewięć. Jest to tym bardziej cenne odkrycie, gdy pamięta się, iż na wielu wielkich cmentarzach Polski centralnej i południowej najstarsze nagrobki pochodzą z początków wieku XIX. W Gdańsku, jak dotąd wiadomo, najstarszy fragment macewy pochodzi z 1711 roku, najstarsza zaś płyta ocalała w całości z roku 1730 (nagrobek „wielkiego mędrca Izaaka Baharaha”). XVIII-wieczne nagrobki żydowskie z Gdańska wymagają zabezpieczenia, chroni je choćby tylko nasze ustawodawstwo, biorące pod szczególną opiekę zabytki pochodzące sprzed 1800 roku.

W drugiej części cmentarza, na szczycie wzgórza, odnaleźć można płyty XIX-wieczne. Interesujące jest to, że w Gdańsku dość wcześnie pojawiły się inskrypcje dwujęzyczne (hebrajsko-niemieckie), bądź wyłącznie niemieckie. Pierwszy z odkrytych napisów niemieckich na nagrobku Magnusa Cohna pochodzi z 1841 roku. Wskazuje to na dość wczesną niemiecką asymilację kulturową Żydów gdańskich, o wiele wcześniejszą niż polskich Żydów warszawskich, łódzkich czy lwowskich (napisy polskie na cmentarzach żydowskich pojawiają się częściej dopiero przy końcu XIX w.).

Na cmentarzu gdańskim istnieje jeszcze jeden interesujący obiekt, choć silnie zdewastowany. Zbudowany z piaskowca, prostokątny, obramowany czterema kolumnami w narożach, z resztkami ścian bocznych i półkoliście zamkniętymi oknami i wejściem. Najprawdopodobniej jest to ohel — szczególny rodzaj nagrobka stawiany nad miejscem pochówku osoby zasłużonej (na ogół rabina lub uczonego w Piśmie). „Ohel” oznacza namiot.

Cmentarz gdański jest dość znany mieszkańcom, gdyż od 1988 roku ponownie oznacza się jego użytkowanie na planach miasta. Natomiast zupełnie zapomniany jest cmentarz we Wrzeszczu. Założony został w XVIII w. przez odrębną tutejszą gminę żydowską. Miejsce wybrano cudowne — w lasku morenowym niedaleko Jaśkowej Doliny. Dziś najłatwiej do niego dojść od Doliny Królewskiej, idąc od końca ul. Traugutta oboko dworku Studzienka z XVIII w. Cmentarz ulokowany jest w kotłince. Nie odnajdzie się tutaj nagrobków z XVIII w., ponieważ cmentarz został całkowicie zniszczony w 1813 roku, tym razem zrobili to Rosjanie, którzy stacjonowali we Wrzeszczu oblegając wojska Napoleona w Gdańsku. Używano go jeszcze w XIX w., ale coraz niechętniej, gdyż w pobliżu powstawały popularne miejsca spacerowe mieszkańców Wrzeszcza. W dodatku Żydzi nie mogli nawet dysponować kluczem do jego bramy wejściowej, ponieważ znajdował się pod opieką leśniczego zarządzającego kompleksem leśnym Jaśkowej Doliny.

Dziś pozostało tu kilka kamiennych obramowań nagrobków z XIX w. i kilkanaście porozrzuconych po stoku kotlinki płyt nagrobnych i ich fragmentów.

Być może jest ich więcej pod grubą warstwą liści. Cmentarz był tarasowaty, co widać i dzisiaj, a nagrobki musiały stać napisami w kierunku wschodnim (dla Żydów europejskich wschód to kierunek gdzie leży Jerozolima).

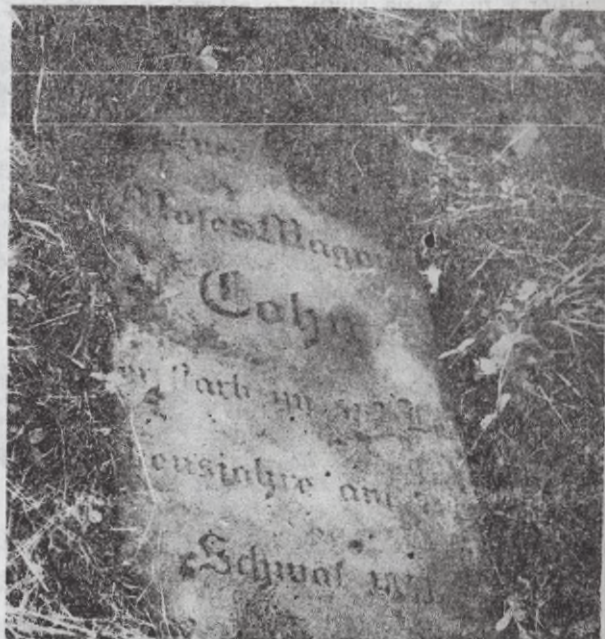
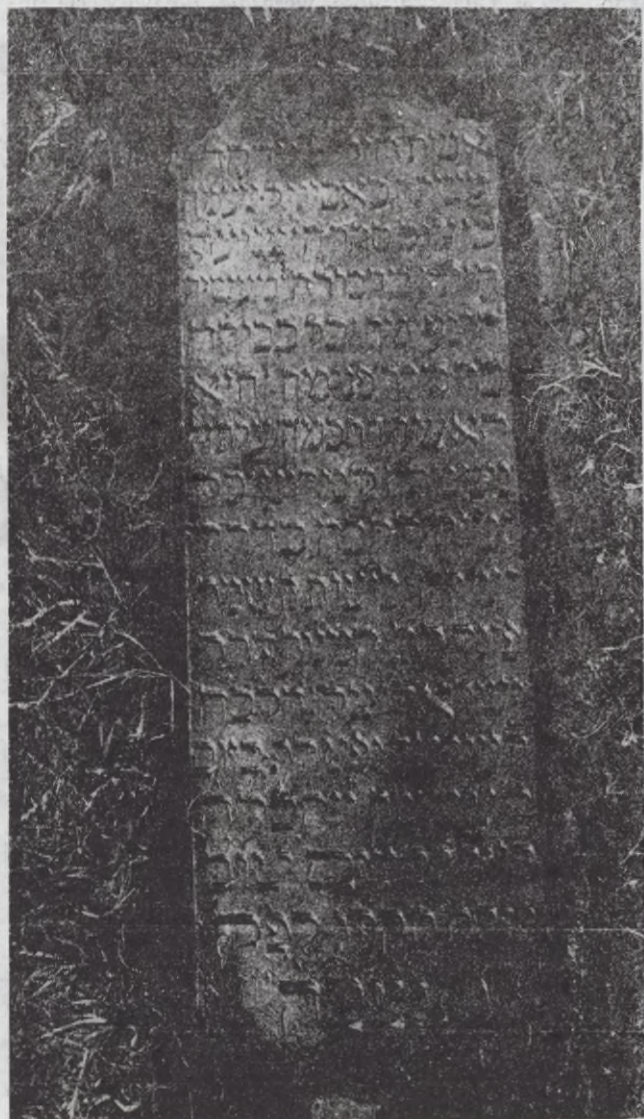
We Wrzeszczu stoi też synagoga. Zbudowana została w 1927 roku, przy dzisiejszej ulicy Partyzantów. Jest bardzo charakterystyczna, z „mauretańskimi” oknami, dużą salą modlitw (dziś przedzieloną wpół piętrem) i przybudówkami administracyjnymi. Od strony podwórza na szczycie odnaleźć można tablice Mojżeszowe, charakterystyczny motyw zdobniczy bóżnic. Ładnie odnowiony budynek służy dziś średniej szkole muzycznej. Brakuje tablicy, która informowałaby uczniów i mieszkańców Wrzeszcza o pierwotnym przeznaczeniu tego budynku.

Przy ulicy Ogarnej 27/28 stoi ładna neogotycka kamienica o bogatej ceramicznej dekoracji. Zbudowana została w 1872 roku i należała do gminy żydowskiej. Nie wiemy nic o jej przeznaczeniu. Istnieje domniemanie, że mieściła się tu szkoła żydowska. Funkcjonalnie budynek ten rzeczywiście mógł spełniać takie zadanie.

Na koniec dodam, że w Gdańsku istniał jeszcze je-

den cmentarz żydowski pod wzgórzem Grodzisko — do 1840 r.) i dwie synagogi (wielka, za dzisiejszym Domem Harcerza i ortodoksyjna przy ul. Szopy — do 1939 r.). Dziś nie ma po nich śladu.

W jaki sposób można dziś zabezpieczyć nagrobki z cmentarzy? Ich przeniesienie jest niezgodne z żydowskimi zasadami, które należy uszanować. Potrzebny tu jest kompromis. Nie można dopuścić do tego, by XVIII-wieczne zabytki niszczały pod ciosami butelek rozbijanych w czasie pijackich libacji lub służyły jako siedliska dla amatorów ognisk i pieczonych kielbasek. A tak dzieje się na cmentarzu żydowskim w Gdańsku. Nie ma dla nich innej szansy przetrwania, jak w muzeach czy lapidariach. Można je np. wmurować w ściany wewnętrzne bylejakiej synagogi, niezależnie od jej dzisiejszego użytkowania. Tak zrobili np. Węgrzy w synagogach Budapesztu i Sopron, opisując je i informując, skąd pochodzą. Jest też polski precedens — hebrajskie macewy umieszczono w skansenie Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu, gdzie są pod opieką i mogą przetrwać. Rozwiązani może być wiele, ale decyzja musi być podjęta szybko, by nie zginęły najcenniejsze znaki obecności Żydów w Gdańsku.



Macewa z inskrypcją hebrajską z 1772 r. i macewa z inskrypcją dwujęzyczną (hebrajsko-niemiecką) z 1841 r. oraz ohel

Fot. Jacek Walicki

W KRĘGU HANZEATYCKICH MÓRZ

Andrzej Piskozub

Niedawno miały miejsce obchody towarzyszące millenium Polski, a oto tuż przed nami jest jubileusz millenium Gdańska. Dziś już nie ma wątpliwości co do tego, że Polska organizowała się na długo przed tym, zanim wydarzenia związane z chrystianizacją kraju wyłoniły ją na widownię dziejów powszechnych. W IX wieku rozpoczął się, a w ciągu X wieku był kontynuowany, proces powstawania piastowskiej, pogańskiej jeszcze Polski.

Inaczej w przypadku Gdańska. Powstał on na krótko przed tym, gdy pod datą 997 ujawnił jego istnienie łaciński biograf misyjnej wyprawy św. Wojciecha nad Bałtyk. Ową *Gyddanyze* był próbą fonetycznego oddania w łacinie nazwy, którą odczytać można jedynie jako *Gdansk*. Przez tysiąc lat ta słowiańska nazwa miasta trwa nie zmieniona; *Danzig* to jedynie jej przekreślona postać, wynikająca z próby wymówienia przez Niemców tak obcej ich mowie nazwy.

Miał Gdańsk swego portowego konkurenta w istniejącym na przeciwnym, wschodnim krańcu szerokiej wiślanej delty Truso, sławnym z relacji Wulfstana, z jego wyprawy bałtyckiej dokonanej około 880 roku. Wiele debatowano nad lokalizacją tego portu, nim coraz powszechniej widzi się w Truso poprzednika dzisiejszego Elbląga.

Nie było jednak tutaj dziejowej ciągłości: Truso przestało istnieć na długo przed nadaniem przez Krzyżaków w 1242 roku praw miejskich założonemu przez nich Elblągowi. Gdańsk miał już wtedy za sobą ćwierć tysiąclecia historycznych dziejów.

Mało znane są dzieje Elbląga jako portu morskiego. Rozślawia je herb miasta z 1242 roku, który najwcześniej w świecie przedstawia statek morski wyposażony w ster rufowy. Usprawnienie to, nieodzowne na drodze powstawania statku zdolnego do żeglowania po oceanach, było wówczas świeżym wynalazkiem, dokonany gdzieś na europejskiej północy, „w kręgu hanzeatyckich mórz”.

Porzekadło z wieków przedrozbiorowych: „Elbląg mocny, Gdańsk bogaty” wydaje się dobrze oddawać sytuację obu miast. W ówczesnych Prusach Królewskich był Elbląg miastem na tyle znaczącym, aby go

wymieniać w zestawieniu z Gdańskiem i Toruniem. Elbląg był jednak tylko „mocny”, podczas gdy Gdańsk — „bogaty”. A w tym określeniu kryły się zyski z handlu morskiego. W „złotym wieku Gdańska”, poprzedzającym potop szwedzki, stawiały one Gdańsk w doborowym gronie najbogatszych wówczas miast świata — w towarzystwie równie ekskluzywnym, jak obecna siódemka najbogatszych państw globu.

W tysiącletnich dziejach Gdańska szczególną cezurę dziejową stanowi ich półmetek — rok 1466, rok podpisania pokoju toruńskiego, przyznającego Polsce prowincję Prus Królewskich. Obejmowała ona wszystko, co Polsce wcześniej zabrał Zakon Krzyżacki: ziemie chełmińską i michałowską oraz Pomorze Gdańskie. Obok nich w granicach Prus Królewskich znalazła się krzyżacka stolica — Malbork, Elbląg z jego portem morskim oraz rozległy trójkąt biskupstwa warmińskiego. Dla Gdańska, jak i wszystkich pozostałych obszarów Prus Królewskich pokój toruński oznaczał zwrotny punkt ich dziejów.

W szczególności dzieje Gdańska przed pokojem toruńskim i po nim — to dwie zupełnie różne karty historii. Te wcześniejsze to okres, w którym Gdańsk daje się poznać jako wyróżniający się w Europie ośrodek kultury materialnej, lecz niczym specjalnym nie błyszczący w sferze kultury duchowej. Druga połowa dziejów Gdańska, po powrocie miasta z krzyżackiej niewoli do Polski, nie umniejsza pozycji Gdańska w sferze kultury materialnej — przeciwnie, w „złotym wieku Gdańska” podnosi tę pozycję do szczytu. Równocześnie Gdańsk staje się ważnym europejskim ośrodkiem kultury duchowej. Stąd pochodzą europejskie znakomitości — uczeni i artyści, rozślawiający imię Gdańska w świecie. Był ich zastęp. Tylko wyborem z ich grona jest „wielka piątka”: Cluverius (1580—1622), Heweliusz (1611—1687), Fahrenheit (1686—1736), Chodowiecki (1716—1801) i Schopenhauer (1788—1860).

Przyjrzyjmy się najpierw tej wcześniejszej połowie dziejów Gdańska, kiedy miasto rozwijało się w wymiarze materialnym, w duchowym pozostając je-

szcze karłem. Awans gospodarczy Gdańska wieków średnich wiąże się wyraźnie z rozwojem hanzeatyckiego handlu. W ówczesnej Europie istniały dwa morskie światy: północny i południowy. Południowy obejmował Europę śródziemnomorską. Ciągłe bliska jest nam nazwa Lewantu — choćby z naszej lewantyńskiej linii okrętowej. Wywodzi się z włoskiego i oznacza wznoszące się słońce, czyli wschodnią stronę świata. U nas zapomniana, we włoskim wciąż żywa, jest nazwa Ponentu, dla przeciwległej strony zachodzącego słońca. Takimi były obie części średniowiecznego śródziemnomorza: Lewant z królującą na tym obszarze Wenecją i Ponent z podobnie tam dominującą Genuą. Z tyłu, za Lewantem znajdował się Pont — basen czarnomorski — odwieczne zaplecze surowców świata śródziemnomorskiego.

Główny dział wodny kontynentu stanowi oś symetryczną, rozgraniczającą systemy wodne Europy spływające na południe, w stronę owego obszaru śródziemnomorskiego, od kierujących się w stronę przeciwną — północną. Świat morski Europy w wiekach średnich tworzyły owe dwa wybrzeża: śródziemnomorskie i północne. Trzy baseny wybrzeża północnego są symetrycznymi odpowiednikami tych z południa. Naprzeciw Lewantu znajduje się basen Morza Północnego, będący zachodnim skrzydłem obszaru hanzeatyckiego. Jego zapleczem surowcowym jest basen Bałtyku — odpowiednik Pontu. Tutaj znajduje się drugie, wschodnie skrzydło obszaru hanzeatyckiego. Peryferiami tego świata są atlantyckie wybrzeża Europy położone naprzeciw Ponentu. Ich dziejowa godzina wybije z wielkimi odkryciami geograficznymi, zacznie się w „jesieni średniowiecza”, kiedy w XIV i XV wieku wzdłuż nich przenikać będzie żegluga morska z południa, wówczas już łącząca się z żeglugą obszaru hanzeatyckiego w jeden system żeglugi europejskiej.

Zanim złączenie takie nastąpiło, a zatem w XII i XIII wieku, niebezpieczny, uciążliwy i kosztowny wtedy transport lądowy wiązał te przeciwległe wybrzeża i ich izolowane obszary żeglugowe. Był to czynnik scalający. Na śródlądziu francuskim związany był z targami szampańskimi, które kwitły tu w XII i XIII wieku; stracił wiele na znaczeniu od XIV wieku, zastąpiony przez żeglugę wokół Europy. Podobny pomost lądowy tworzyło Cesarstwo Niemieckie, rozciągnięte od wybrzeży Morza Północnego po Wenecję nad Adriatykiem. Najdłużej pomost taki utrzymał się jednak na ziemiach polskich.

Główny nurt handlu wschodniego podążał w XIV i XV wieku przez pomost czarnomorsko-bałtycki. Nie jest przypadkiem, że Polska za Kazimierza Wielkiego przybrała taki wydłużony kształt terytorialny, rozciągnięty wzdłuż tego międzymorskiego pomostu od Waięza na północnym zachodzie, po Kamieniec Podolski na południowym wschodzie. Nie miała wprawdzie wtedy dostępu do morza, lecz tylko terytorium Mołdawii dzieliło ją od wybrzeży czarnomorskich, a Pomorze Zachodnie — od wybrzeży bałtyckich. I nie jest przypadkiem ówczesny rozkwit miast polskich. Handel tamtejszy kierował się ku Europie zachodniej niejako bokiem, omijając ziemie państwa zakonnego. Dla Gdańska prawie cały okres tej koniunktury handlowej stanowiły czasy panowania krzyżackiego. Owe półtora wieku krzyżackiego władania Gdańskiem i ujściem Wisły odcinały ten obszar od handlowego pomostu czarnomorsko-bałtyckiego.

Nie był to jednak dla Gdańska czas marazmu gospodarczego. Wśród miast hanzeatyckich umacniał on coraz bardziej swą pozycję, stając się z czasem jednym z głównych ogniw handlu hanzeatyckiego. Stare przysłowie hanzeatyckie określające z czego słyną najznacześniejsze miasta członkowskie wymienia Kraków od sprowadzanej tutaj z Węgier miedzi, Szczecin — od ryb, a Gdańsk — od spławianego Wisłą zboża. Już w czasach powrotu Gdańska do Polski, w XV wieku, ukształtował się podział Hanzy na cztery tzw. kwartaly. Trzy z nich były na zachodzie: nadreński z Kolonią na czele, saski z Brunzwikiem, i wendyjski z Lubeką. Ten ostatni obejmował porty północnomorskie i bałtyckie położone na zachód od państwa zakonnego. Kwartal pruski-inflancki, obejmujący pozostałe porty bałtyckie Hanzy, miał swój centralny ośrodek w Gdańsku.

Nie tylko Hanza, także państwo zakonne przyczyniło się do rozwoju materialnej pozycji Gdańska. Polacy wychowywani od początku XX wieku na „Krzyżakach” Sienkiewicza, traktować zwykli tę książkę jako wierny obraz państwa zakonnego, podczas gdy była to w zamierzeniu pisarza propaganda „agitka” antypruska. Przypadające w tym roku 800-lecie założenia w Palestynie zakonu rycerskiego Najświętszej Marii Panny jest okazją dla rewizji tego stereotypu na rzecz oceny bardziej wyważającej cienie, ale też i blaski państwa zakonnego. Do tych ostatnich należy rozmach inwestycyjny, nie znany ówczesnej feudalnej Europie. Dość wskazać na główną siedzibę zakonu w Malborku, stanowiącą największy zamek Europy. Ale podobnie pochodzący z tamtych czasów Żuraw gdański czy Wielki Młyn nad Radunią nie miały równych sobie odpowiedników gdzie indziej w Europie. Pod krzyżackim władaniem Gdańsk rozrósł się do skali dużego gotyckiego miasta portowego hanzeatyckiej Europy.

Powrót do Polski nie tylko nie wyhamował rozrostu Gdańska w sferze kultury materialnej, lecz przeciwnie, wzmógł znacznie pozycję gospodarczą Gdańska do apogeum, jakim był dla jego obrotów portowych okres wojny trzydziestoletniej (1618—1648). Bałtyk był wówczas zapleczem dla towarów służących budowie morskiej potęgi państw uczestniczących w oceanicznej ekspansji okresu wielkich odkryć geograficznych. Portugalia, Hiszpania, Francja, ale najbardziej Holandia i Anglia podstawy swej potęgi zawdzięczały dostawom z basenu Bałtyku, w tym głównie z ziem Rzeczypospolitej, zboża oraz surowców niezbędnych w budownictwie okrętowym: drewna, smoły, lnu i konopi.

W czasie, gdy Holandia była najsilniejszą potęgą morską, trzy czwarte, a nawet pięć szóstych jej kapitałów było zaangażowanych w handel bałtyckim. Największą giełdą świata w pierwszej połowie XVII wieku była giełda amsterdamska. W tym czasie 25 procent jej obrotów dotyczyło handlu z Gdańskiem. Podobne znaczenie miał wówczas handel bałtycki dla Anglii. Nie ma przesady w oświadczeniu Olivera Cromwella, złożonym w parlamencie brytyjskim podczas wojny z Holandią w 1659 roku: „Jeżeli Holendrzy odetną nas od Bałtyku i uczynią siebie jego panami, co się stanie z naszym handlem? Gdzie znajdziemy materiały do utrzymania naszej żeglugi?” (H. Zins, „Anglia a Bałtyk w drugiej połowie XVI wieku”, Wrocław 1967).

Wisła była w tym czasie największą w świecie wodną drogą śródlądową — oczywiście, jeżeli miernikiem tego uczynimy rozmiary przewozów. Nie były to ilości imponujące, jeśli porównać je z dzisiejszymi przewozami największych rzek świata. Pamiętać jednak należy, że rozmiary przewozów Wisłą z pierwszej połowy XVII wieku osiągnął Ren dopiero dwa stulecia później; a Ren to obecnie rzeka o największych przewozach w Europie. Strumień złota, jaki w tamtych czasach wpływał do portów i państw nadbałtyckich, przypominał sytuację, jaka po II wojnie światowej stała się udziałem rejonu Zatoki Perskiej, po odkryciu tam największych w świecie zasobów ropy naftowej.

Gdańsk tej złotej epoki jego dziejów to również potęgą w sferze kultury duchowej Europy. A tę rozpatrywać trzeba w podziale wyznaniowym cywilizacji zachodniej, dokonany w następstwie reformacji i kontrreformacji. Angielski filozof dziejów wskazał na geografii ówczesnych zmian: „Dlatego nie jest zwykłym przypadkiem, że linia podziału religijnego po reformacji odtwarza tak ściśle linię graniczną dawnego imperium rzymskiego. Z jednej strony kraje germańskie, znajdujące się na zewnątrz imperium — Skandynawia i północne Niemcy — tworzą silny blok krajów luteranckich, z drugiej zaś świat łaciński jako całość pozostał wierny Rzymowi, a tak postąpiły też w znacznej mierze prowincje germańskie objęte granicami imperium — mianowicie Flandria, Bawaria i Austria”. (Ch. Dawson, „Postęp i religia”, Warszawa 1958).

Tenże autor zwraca uwagę na dwa znamienne wyjątki od tej reguły: „Może wydawać się jakąś nieprawdopodobnością, że dwa leżące na peryferiach kraje zachodniej kultury, Irlandia i Polska, mogły być wybitnie katolickie. Obydwa te narody znalazły jednak w katolicyzmie beczennego sprzymierzeńca przeciw siłom, które zagrażały narodowym tradycjom”.

Rozeszły się wówczas kulturowe drogi Gdańska i Polski. Gdańsk znalazł się w strefie kontynentu ogarniętej reformacją — tak jak Skandynawia po przeciwnej stronie Bałtyku, jak nad Morzem Północnym główni partnerzy handlowi Gdańska — Holandia i Anglia i jak większość krain niemieckich. Z nimi Gdańsk będzie odtąd najbardziej związany w sferach kultury duchowej. Dlatego największe synowie Gdańska przejściowo, dla studiów, czy też na stałe dla kariery, w tamtych krajach przebywali: Cluverius i Fahrenheit w Holandii, Heweliusz w Holandii i w Anglii, Chodowiecki i Schopenhauer w Niemczech.

Równocześnie kultura duchowa Polski kieruje się w przeciwną stronę. „Polska leży nad Morzem Śródziemnym” — zatytułował Jan Parandowski swój esej o morzu w kulturach świata. W tej przenośni nie ma przesady. Wierna katolicyzmowi Polska w łacińskim rejonie Europy dostrzegała swych najbliższych partnerów. Tam właśnie — na studia do Włoch, do Francji, a także do Austrii i do Bawarii kierowały się kolejne pokolenia polskiej młodzieży, tam wyjeżdżali artyści i zwykli podróżnicy.

Mapa zlewisk mórz europejskich pokazuje, że dzisiejsza Polska, w swych granicach nawiązujących do czasów piastowskich, jest ponownie krajem jednordnie bałtyckim. W zlewisku Bałtyku znajduje się 99 procent terytorium państwa polskiego. Bronisław Miazgowski stworzył paradoksalne powiedzenie: „O dostęp morza do Polski”; pragnął w nim wyrazić

myśl, że wprawdzie Polska posiada rozległy dostęp do morza, ale morze wciąż nie posiada równie szerokiego dostępu do mentalności sporej części społeczeństwa polskiego.

Trawestując tamto powiedzenie można by apelować „O powrót Polski do Gdańska”. Gdańsk bowiem powrócił do Polski, ale nie było to równoznaczne z automatycznym przestawieniem się Polski na silne powiązania z „kręgiem hanzeatyckich mórz”. Powiązania te jednak obecnie są coraz silniejsze w reorganizującej się Europie. Coraz bliższymi są Polsce kraje bałtyckie ze Skandynawią na czele, kraje północnomorskie z Anglią i Holandią, a także zachodni, niemiecki sąsiad Polski. Zarówno gospodarcze, jak kulturowe związki z tymi państwami wskazują, że położenie ziem polskich w zlewisku Bałtyku przynosi konsekwencje geopolityczne.

Jednym z wymiarów tych przekształceń w sferze kultury duchowej jest geografia uniwersytetów w tym zlewisku. Przed 1970 rokiem znajdowało się na tym obszarze 30 takich uczelni, a ich lokalizacja po połowie znajdowała się w miastach nadmorskich oraz w głębi bałtyckiego zaplecza. Z 15 uniwersytetów położonych z dala od Bałtyku większość stanowiły uczelnie polskie: bo też wszystkie co do jednego z dziewięciu ówczesnych uniwersytetów Polski miało taką śródkontynentalną lokalizację. Poprawę tego stanu rzeczy przyniosły dopiero lokalizacje najmłodszych uniwersytetów polskich w miastach nadbałtyckich: w 1970 roku w Gdańsku i w 1985 w Szczecinie.

Budowa Polski morskiej, wizja Polski bałtyckiej, jest logicznym następstwem patrzenia na te sprawy „z gdańskiej perspektywy”, a ściślej: z perspektywy nadmorskiej, wychodzącej z bałtyckiego pobrzeża Polski. W spojrzeniu tym jednak trzeba brać pod uwagę konsekwencje śródkontynentalnego położenia naszego morza, oddalonego od otwartego oceanu. Pięć wieków temu takie śródkontynentalne położenie niekorzystnie oddziaływało na sytuację obszaru śródziemnomorskiego: stracił on wówczas swą przewagę w żegludze i handlu morskim na korzyść nadatlantyckiej części Europy.

To samo trzeba dostrzegać przy ocenie perspektyw Bałtyku i portów nadbałtyckich. Są to wciśnięte w kontynent, peryferyjne obszary morskie. Przypominają porty północnoamerykańskie, położone nad Wielkimi Jeziorami, w środku kontynentu. Że nie ma w tym przesady, świadczy taki wymowny przykład. Znajdujące się głęboko w kontynencie amerykańskim, nad jeziorem Michigan, Chicago wiąże z Antwerpią — przez Wielkie Jeziora i Drogę Morską Św. Wawrzyńca — szlak żeglugowy dłuższy o 528 mil morskich od tego, jaki łączy Antwerpię z nadatlantyckim Baltimore. Odwróćmy kierunek tych powiązań: szlak morski z Baltimore do Gdańska jest o 527 mil morskich dłuższy od łączącego Baltimore z Antwerpią. Wniosek? Gdańsk jest w Europie portem równie śródkontynentalnym, jak Chicago w Ameryce!

Południowobałtyckie „mare nostrum” nie stanowi skrzyżowania węzłowych dróg światowej żeglugi, lecz jej peryferyjne, śródkontynentalne odgałęzienie. Stawia to rozsądne granice możliwościom morskiej ekspansji Polski, miarkujące nie zawsze realne, często dyktowane entuzjazmem nie mającym pokrycia w faktach, przesadne programy rozwojowe, wyznaczane w przeszłości Polsce morskiej. ■

DUŃSKIE OLŚNIENIA

Stanisław Janke



Fot. Stefan Figlarowicz



Fundacja nosi nazwę „Uniwersytet Ludowy im. Józefa Wybickiego w Sikorzynie” i jest w trakcie organizacji. Jej zadaniem będzie odrestaurowanie zabytkowego dworku w Sikorzynie i stworzenie tam kaszubskiego ośrodka kultury, nauki i oświaty, jako miejsca spotkań ludzi z różnych środowisk regionu, Polski i krajów nadbałtyckich. Jak głosi projekt fundacji, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie jest właścicielem obiektu wraz z przylegającym terenem i będzie administratorem ośrodka. W skład założycieli fundacji wchodzi instytucje i stowarzyszenia oraz osoby prywatne. Odrestaurowaniem dworku, w którym urodził się ojciec Józefa Wybickiego, oraz fundacją zainteresowali się także Duńczycy, a konkretnie Klub Ekologiczny przy SFOF, czyli Socjalistycznym Stowarzyszeniu Edukacji Powszechnej, z którym współpracę nawiązał dr Andrzej Baranowski, szef Komisji Ekologicznej Zarządu Głównego Zrzeszenia. W marcu bieżącego roku 15 osób z Polski otrzymało zaproszenie na rekonesans po Danii. Duńczycy zaprosili przedstawicieli Oddziału Gdańskiego Polskiego Klubu Ekologicznego, Politechniki Gdańskiej, Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wieżycy oraz Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, a wśród nich piszącego te słowa. W jednym z punktów programu przewidziano rozmowy na temat ośrodka w Sikorzynie.

Na duńską wanogę wyruszyliśmy 14 kwietnia promem ze Świnoujścia. Następnego dnia rano dotarliśmy do portu promowego w Kopenhadze. Od przyjazdu aż do końca podróży opiekował się nami Leif Hermann, jeden z liderów SFOF, do niedawna jeszcze członek duńskiego parlamentu z ramienia socjalistów. Za miesiąc, po półrocznym urlopie opłacanym przez parlament, wraca do pracy nauczycielskiej w szkole dla wychowawców przedszkolnych. W poniedziałkowy poranek zaprowadził nas, sennymi jeszcze uliczkami starej Kopenhagi, do siedziby NOAH, masowej organizacji ekologicznej, której nazwa jest duńskim tłumaczeniem biblijnego imienia Noe.

Organizacja powstała w 1969 roku i dziś skupia około 30 grup lokalnych, zajmujących się różnymi zagadnieniami poprawy naturalnego środowiska człowieka. NOAH jest organizacją bez zarządu i nie prowadzi ewidencji swoich członków. Może w niej działać każdy, kto ma na to ochotę. Przeważnie jednak należą do niej ludzie młodzi, studenci, absolwenci wyższych uczelni i bezrobotni. Grupy lokalne mogą składać się nawet z trzech osób i mają dużą swobodę działania. Każda z nich co dwa miesiące wydaje własny informator, dzieląc się z innymi grupami swoimi doświadczeniami, przemysleniami i inicjatywami. Ponadto przedstawiciele owych grup spotykają się dwa razy w ciągu roku, a organizacja jako całość publikuje miesięcznik „NOAH Bladet”.

Kim Christiansen, jeden z działaczy NOAH, z wykształcenia inżynier chemik, specjalista od tzw. czystej technologii, powiedział nam: — Gdy dziesięć lat temu przedstawialiśmy zagrożenia ekologiczne kraju i skrytykowaliśmy rząd, że przeznaczą zbyt niskie środki na ochronę środowiska, mówiono, że przesadzamy. Dziś władze przyznają nam rację.

NOAH organizuje różne akcje propagandowe, dotyczące nie tylko globalnych problemów ekologicznych,

jak zanieczyszczenie wód gruntowych czy używanie środków chemicznych do produkcji żywności, ale również zajmuje się np. uświadamianiem matek, jakie korzyści niesie karmienie piersią, nakłaniania ludzi do segregowania śmieci i umieszczania w specjalnych pojemnikach (osobno papier, osobno szkło, odpady organiczne oraz chemiczne), występuje przeciwko budowie autostrad. Przed paru laty organizacja ta wspomniała polskie stowarzyszenia ekologiczne w akcji protestacyjnej przeciwko budowie Elektrowni Jądrowej w Żarnowcu, za co jej serdecznie podziękowaliśmy.

NOAH jest jedną z 40 (!) organizacji ekologicznych w Danii i tak jak pozostałe współpracuje z Ministerstwem Środowiska, które powstało w 1970 roku. Ministerstwo mieści się w olbrzymim gmachu przy Slotsholmsgade. Jeszcze pierwszego dnia udaliśmy się tam na spotkanie z Leo Bjørnskovem, pełniącym funkcję tzw. stałego sekretarza państwowego. Jest drugą osobą w ministerstwie i ma szansę pracować na tym stanowisku aż do emerytury, niezależnie od zmieniających się ministrów. W sumie ministerstwo zatrudnia około 2,5 tys. osób, zarówno w departamentach i podległych instytucjach, jak i w środowiskach lokalnych. W strukturze ministerstwa znajdują się departamenty zajmujące się ochroną środowiska, planowaniem przestrzennym i lasami oraz odnową przyrody, a także instytut badań środowiska i inspekcja zasobów geologicznych. Roczny budżet ministerstwa wynosi 2 miliardy koron. Od Leo Bjørnskova dowiedzieliśmy się, że kilka dni wcześniej duński parlament przyznał 100 milionów koron na pomoc w ochronie środowiska krajom Europy wschodniej. Pieniądze te mają być głównie przeznaczone na badania, oświatę i inwestycje ekologiczne. W ministerstwie dowiedzieliśmy się też, że największym problemem Danii, słynącej z dobrego i wydajnego rolnictwa, są właśnie rolnicy. Nie dość, że trują środowisko pestycydami i azotami, to jeszcze produkują nadmiar żywności. Są naciskani zarówno przez organizacje ekologiczne, jak i EWG, by produkowali mniej, ale zdrowiej.

W Kopenhadze późnym popołudniem mieliśmy jeszcze jedno spotkanie. Tym razem w magistracie z Charlotte Ammundsen, panią burmistrz zajmującą się sprawami ekologicznymi duńskiej stolicy. W sumie Kopenhagą zarządza siedmiu burmistrzów specjalizujących się w różnych dziedzinach funkcjonowania miasta. Oczyszczaniem Kopenhagi, zbieraniem opakowań, materiałów wtórnych i odpadów żywnościowych zajmują się specjalistyczne firmy, przeważnie prywatne. Jak podała pani burmistrz, miasto odzyskuje m.in. 60 proc. papieru, a w ostatnim roku mieszkańcy zużyli 10 proc. mniej energii elektrycznej i 3 proc. mniej wody. Ostatnio rozpoczęto szeroką kampanię na rzecz oszczędności wody, jako że kureczą się jej dotychczasowe zasoby; w Kopenhadze 95 proc. wody pobiera się z pokładów podziemnych. Jak należy wodę oszczędzać można już zobaczyć w toalecie magistratu. Pisuary splukiwane są tylko w czasie ich używania, a to za sprawą zainstalowanych obok fotokomórek. Zauważyliśmy również, że naczyni nie zmywa się tutaj pod bieżącą wodą, a jedynie w niewielkiej jej ilości z dodatkiem plynu, którego nie trzeba splukiwać, albowiem nie zawiera związków toksycznych.

W czasie spacerów po Kopenhadze trudno nie zauważyć bogatych wystaw sklepowych, zadbanych skwerów pełnych zieleni i kwiatów (w połowie kwietnia!) czy też przestronnych i urządzonych ze smakiem wnętrz obiektów użyteczności publicznej. Chciałoby się powiedzieć — nawet najmniejszy drobiazg jest tutaj dla człowieka, a nie przeciwko niemu. Tu nie spotyka się klamek w oknach czy u drzwi, którymi można sobie pokaleczyć ręce. Klamki mają krągłe obrzeża i są dopasowane do kształtu dłoni. Ponadto wszystkie miejsca publiczne są tak zaprojektowane, by mogli z nich korzystać bez trudu ludzie ułomni. Charakterystyczny znak symbolizujący wózek inwalidzki spotyka się niemal na każdym kroku. W turystycznym schronisku młodzieżowym, na przedmieściach Kopenhagi, gdzie spędziliśmy pierwszą noc, większość pomieszczeń na parterze przeznaczono właśnie dla inwalidów. Podobnych schronisk jest w całej Danii ponad 500. Pokrzywdzeni przez los młodzi ludzie nie muszą egzystować tylko w czterech ścianach pokoju. Mogą podróżować i zwiedzać różne zakątki kraju jak inni obywatele.

Następne dwa dni gościliśmy w miasteczku Svendborg, na wyspie Fionia w środkowej Danii. Głównym celem naszego pobytu w tej miejscowości było poznanie Uniwersytetu Ludowego, założonego w 1972 roku. Szkoła ta nawiązuje do dzieła Mikołaja Grundtviga, twórcy duńskich uniwersytetów ludowych w XIX wieku, ale wykładowcy wyraźnie też sympatyzują z poglądami Karola Marksa (przy nas nie ośmielili się wymienić tego nazwiska). W szkole mówiono nam, że do 1990 roku placówkę tę nazywano „Czerwonym Uniwersytecie”, natomiast z różnych rozmów z mieszkańcami miasteczka wywnioskowaliśmy, że nazwa ta nadal jest w użyciu. W szkole nie ma egzaminów i stopni, a nauka trwa od pół roku do dwóch lat. Obecnie siedmiu wykładowców prowadzi zajęcia z 70 młodymi ludźmi obojga płci. Ci młodzi ludzie mają przeciętnie powyżej dwudziestu lat i są bezrobotni. W Danii takich szkół jest około 100 i młodzież może w nich nie tylko pogłębić swoją wiedzę w różnych dziedzinach, ale też wyleczyć się ze stresów, jakie niesie bezrobocie. Udział w zajęciach pozwala im myśleć, że ich życie nie jest zupełnie bezowocne. Władze, zarówno centralna jak i lokalna, dofinansowują te szkoły, natomiast uczniowie pokrywają jedynie część kosztów zakwaterowania i nauki.

W uniwersytecie w Svendborgu prowadzi się zajęcia w takich oto dziedzinach: taniec, fotografia, teatr, dziennikarstwo, muzyka rockowa oraz „Sovjet”, czyli poznawanie Związku Radzieckiego. Od uczniów wymaga się w zasadzie tylko „uczęszczania na zajęcia”. Każdy z nich ma prawo wyboru interesującej go dziedziny, a gdy dojdzie do przekonania, że „to jednak nie to”, może ją zmienić. Odwiedzając poszczególne sale wykładowe przekonaliśmy się, że w czasie zajęć panuje duża swoboda. Koleżeńskie i partnerskie stosunki między słuchaczami a wykładowcami nie wykluczają jednak wzajemnego poszanowania. Grzeczność w wydaniu młodych Duńczyków chciałoby się widzieć także wśród naszej młodzieży.

W czasie dwudniowego pobytu w Svendborgu mieliśmy okazję nieco przyrzeć się temu wyspiarskiemu

i nadmorskiemu miasteczku. Krajobraz tej miejscowości całkowicie jest pozbawiony wieżowców i blokowisk. Domy i kamienice, pokryte przeważnie czerwoną dachówką, otoczone są zielenią i kwiatami. Niemal w każdym oknie spotyka się drobne przedmioty artystyczne, które — jak się dowiedzieliśmy — stanowią swoisty łącznik między domownikami a przechodniami. Firanki w oknach, przeważnie usytuowanych tuż przy ziemi, należą do rzadkości. Mieszkańcy tych domów mają więc bliski kontakt z otaczającą ich przyrodą i ludźmi na zewnątrz. Warto też odnotować, że miejscowość ta, wielkości Pucka, ma cztery muzea: historii miasta, pieców, folklorystyczne i zoologiczne, a także dwa teatry oraz letni kabinety.

Kolejne dwa dni spędziliśmy w okolicach niewielkiej miejscowości Ydby, w zachodniej części kraju, na Jutlandii. Najpierw odwiedziliśmy tam centrum badawcze tzw. energii odnawialnej. W ośrodku tym opracowuje się technologię produkcji biogazu, pracuje nad wykorzystaniem energii słonecznej, projektuje różne typy wiatraków. W czasie naszej podróży nie spotkaliśmy krajobrazu, który byłby pozbawiony tych charakterystycznych obiektów na wysokich kolumnach z trzysiamiennymi skrzydłami. W niektórych okolicach widzieliśmy setki bielących się skrzydeł na tle odradzającej się wiosennej przyrody. Taki widok robi niesamowite wrażenie. W okolicach Ydby wykorzystuje się aż 50 proc. energii elektrycznej pochodzącej z wiatraków. W ośrodku zaprojektowano wiatrak, który zostanie wzniesiony w Swarzewie. Jest to dar rządu duńskiego dla Polski. Piotr Figiel, jedyny Polak przebywający w ośrodku na stypendium naukowym, zapowiedział, że będzie nadzorował na miejscu budowę tego wiatraka.

W Folkecenter, jak tutaj mówi się o tym ośrodku, zwiedziliśmy nie tylko pracownię, gdzie powstają projekty różnych urządzeń ekologicznych, ale także warsztaty, w których produkuje się ich prototypy. Mogliśmy więc zajrzeć w „serca” wiatrakom, zobaczyć różne rodzaje kolektorów słonecznych, bardzo powszechnych już w całej Danii oraz niezwykle obiekt, jakim jest tak zwana zielona oczyszczalnia ścieków. Pod kopułami dwóch wielkich namiotów foliowych hodzi się różne gatunki roślin wodnych, które wchłaniają nieczystości i związki toksyczne zawarte w ściekach. Rośliny, znane również w Polsce, umieszczone są w kanałach, w których płynie brudna woda z Folkecenter. Po przepłynięciu przez wszystkie kanały zielonej oczyszczalni na końcu staje się kryształicznie czysta i może być po raz wtóry użyta do spożycia. Odważyłem napić się tej oczyszczonej wody. Była smakowita!

W niewielkiej wsi Villerslev odwiedziliśmy farmę ekologiczną prowadzoną przez dwóch gospodarzy. Zarówno ich zagroda jak i te, które spotkaliśmy w czasie naszej podróży, były nie tylko solennie posprzątane, ale i otoczone uporządkowaną zielenią. Gospodarze prowadzący rolnictwo ekologiczne w ogóle nie stosują nawozów sztucznych i produkują nawet więcej żywności niż inni. Co więcej, za wyprodukowane na farmie mięso i mleko uzyskują od 10 do 20 proc. wyższe ceny. Rolnicy z Villerslev na 55 hektarach ziemi hodują 50 krów, a karmią je paszą spo-

rzadzoną z własnych produktów roślinnych. W przeciwieństwie do wielu innych farmerów o swojej przyszłości mówią z optymizmem, bo zapotrzebowanie na zdrową żywność, mimo wyższej ceny, wciąż wzrasta.

Z Villerslev udaliśmy się do farmy w pobliżu Ydby, gdzie rocznie hoduje się 2 tys. świń. Z zewnątrz chlewnia w ogóle nie przypomina gospodarskiego obiektu. Jej mury pokryte są czerwonym klinkierem, a okna mają przyciemnione szyby. Do środka nas nie wpuszczono, jako że świnie hoduje się w bardzo sterylnych warunkach i ludzkie bakterie mogłyby być dla nich zabójcze. Duńczycy jednak nie chcieli pochwalić się czystymi i dobrze wykarmionymi świniami, lecz zaprosili nas po to, byśmy obejrzeliby urządzenia do produkcji biogazu. Wytwarza się go tutaj ze świńskich odchodów i w takich ilościach, że jako źródło energii ogrzewa całą farmę. Nadmiar biogazu gospodarz pragnie wykorzystać do produkcji prądu elektrycznego. Urządzenia biogazowe, zaprojektowane przez Folkecenter, kosztowały właściciela farmy 100 tys. dolarów, jednakże suma ta zwróci się po czterech, pięciu latach użytkowania instalacji.

W czasie zwiedzania owej „biogas-plant” powiedziano nam, że w Danii pracuje już sporo takich instalacji, w tym głównie „żyjących” się odpadami miejskimi oraz z zakładów przemysłu spożywczego. Technologia produkcji tych instalacji zainteresował się polski „Promor”, a w okolicach Elbląga trwają już prace nad montażem takiego urządzenia. Gnojowica zużyta do produkcji biogazu może być wykorzystana potem jako naturalny nawóz o ponoć znakomitej jakości. Wielu ludzi, którzy po raz pierwszy stykają się z biogazem, chce wiedzieć, jak to „pachnie”. Surowy produkt dość nieprzyjemnie, ale gdy się spala, nie czuć żadnego zapachu.

Wieczorem piątego dnia naszego pobytu w Królestwie Danii udaliśmy się na wyspę Tunø, liczącą 75 stałych mieszkańców. Wyspę można obejść w ciągu kilku godzin i podziwiać widok morza znad wysokich klifów. Znajduje się na niej kościół protestancki z wieżą pełniącą również funkcję latarni morskiej oraz czynne są poczta, sklep, kawiarnia, a także szkoła, do której uczęszcza kilku uczniów, jak tutaj żartują, głównie dzieci nauczyciela. Stali mieszkańcy Tunø to przeważnie ludzie w podeszłym wieku zajmujący się rolnictwem. Jeszcze w latach trzydziestych mieszkało tutaj 300 osób. Wszystko wskazuje na to, że w przyszłości zagrody gospodarskie będą pełnić rolę sezonowych siedlisk dla mieszkańców. Jedno z gospodarstw zwane po duńsku Blåkjærgaard, czyli Błękitną Farmą, wykupili społecznicy z SFOF i przeznaczili na swoje centrum konferencyjne. Centrum to było ostatnim miejscem naszej podróży po Danii; spędziliśmy tam trzy dni, głównie na rozmowach o przyszłości ośrodka w Sikorzynie.

Duńskie plany wobec tego dworku są imponujące. Zdaniem działaczy SFOF powinien być zarówno ośrodkiem kaszubskiej kultury, nauki i oświaty, jak i też centrum ekologicznym, swoistą wzorcownią ochrony środowiska. Byłby więc nie tylko miejscem spotkań, seminariów czy konferencji, ale również wystaw i kształcenia ekologicznego. Sam obiekt, aczkolwiek wiernie odrestaurowany, ma być wyposażony w przedmioty i urządzenia — także sanitarne i wentyla-

cyjne — odpowiadające najnowszym standardom. Jeżeli nie znajdzie się odpowiednich materiałów budowlanych w Polsce, mówiono, to trzeba będzie sprowadzić je z Danii. Oprócz dworku Duńczycy chcą również zagospodarować jedną z najbliższych zagród i wyposażać ją w takie urządzenia, jak wiatrak, stacja produkcji biogazu, kolektor słoneczny czy zielona oczyszczalnia ścieków. Pragną też, by właściciel tej zagrody odszedł od tradycyjnego rolnictwa i zaczął prowadzić gospodarstwo biodynamiczne, a ponadto udostępnił je zwiedzającym i dzielił się z nimi swoimi doświadczeniami. Podobnie jak Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie widzą także potrzebę wybudowania obok dworku zaplecza hotelowego. Obliczyli już, że łącznie trzeba będzie zainwestować w to przedsięwzięcie około 3,5 milionów koron duńskich. Klub Ekologiczny SFOF nie dysponuje taką sumą pieniędzy, lecz wystąpi o nią do rządu duńskiego. Działacze klubu są już po wstępnych rozmowach z rządem i uważają, że z uzyskaniem tej sumy nie będzie problemów.

W czasie rozmów na wyspie Tunø ustaliliśmy, że odpowiedzialnymi za przedsięwzięcie będą: ze strony duńskiej — Błękitna Farma oraz Uniwersytet Ludowy w Svendborgu, natomiast z naszej — Fundacja „Uniwersytet Ludowy im. Józefa Wybickiego w Sikorzynie”. Z chwilą likwidacji fundacji wszystkie obiekty przejdą na własność Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Na Tunø dowiedzieliśmy się również, że na terenie gminy Stężyca, do której właśnie należy Sikorzyno, chce ponadto inwestować duńska Fundacja „Słońce”. Fundacja ta, założona przez prywatnego przedsiębiorcę, ma zamiar wykupić lub wydzierżawić na terenie gminy kilkadziesiąt hektarów ziemi i wybudować farmę ekologiczną. Przez pięć lat gospodarstwo to prowadziliby Duńczycy, zatrudniając miejscowych ludzi. Po tym okresie natomiast chcą przekazać tę farmę jednemu z naszych rolników, który powinien oczywiście kontynuować tę gospodarkę biodynamiczną i produkować tylko zdrową żywność. Parę dni po naszym powrocie z Danii w Stężycy zjawił się przedstawiciel Fundacji „Słońce” i przeprowadził wstępne rozmowy z władzami gminy na temat tego przedsięwzięcia. Sprawa jest na dobrej drodze.

Chociaż w Polsce coraz więcej mówi się o ochronie środowiska i podejmuje poważne przedsięwzięcia w tym zakresie, to jednak w świadomości społecznej ekologia zajmuje daleką pozycję. W Danii natomiast jest to już nie tylko sprawa rządu, parlamentu czy różnych organizacji społecznych, ale coraz częściej zwyczajnych obywateli. Do najbardziej powszechnych znaków ekologicznego myślenia należą przydomowe ogrody i moda na rowery. Trudno zobaczyć dom jednorodzinny bez zadbanego ogrodu i ulicę bez rowerzysty. Widok elegancko ubranej dziewczyny jadącej na rowerze nie jest niczym niezwykłym.

Faktem jest, że najwięcej zaangażowania w sprawy ochrony środowiska wykazują ludzie o poglądach lewicujących. Nie jest to jednak specyfika Danii, ale zjawisko, które występuje we wszystkich krajach zachodnich.

To co jeszcze dziś wydaje się nam bzikiem czy szaleństwem, jeżeli chodzi o nadmierne zainteresowanie ochroną przyrody, środowiskiem, najpóźniej jutro musi się stać normalną sprawą nas wszystkich. W przeciwnym razie słowa „nigdy do zgliszczy” z kaszubskiego hymnu zabrzmiały jak pieśń pogrzebową. ■

KAM Z TUNO

Jan Zbrzyca

Jedén z karna mojých drěszków wciġ nawtórzô: nie rozmieję ze baro něch wanožników, chtěrný teskněm ociěm wzěrają na cězě stróně ě wszětko robią żebě kqsk dětków uszpórowac ě przě jacį lěžnoscě do jinszěch krajów boděj na pōrę dniów jadą. A těj rozpowiōdaja, plestaja jak tam bělo piękno abo lěcho. Swojogo krajuszka przecę nie znaja. Przewtōrżóm drěchowi, że mō prōwdę. Těj sej wanożę po Kaszěbach, ciede owěde mojě szlachě znac je na dalszěch polańsciěch stegnach.

Równak biwō, że ě mnie cos zacignie w cězě strōnē. Takō lěžnota potkała mnie w lōńszi zěmk. Z grěpą swojōńcōw pojechōł żem w krōj Děnow. Dzełi naji dōka stalatōw od tego cządu, ciedě łączba miǳe Danami ě Pomorzanami běła pokrzesnō ě żewō, choc nie zawdē przejōcělskō. Normańsci wojarżę na swojěch lotnēch czōlnach zapuszcziwěle sę jaż na pomorsci strād. Szukēlē tu wszelejaciěch skōrbcōw ě snōżěch dzeusōw. Naszi sę zuchtěrnje barnilē ě tēj nierōż dobiwēlē na Danach, bo w robieniu mieczami ě paczēnami mogli jisc z kōždēm na miōnci. Cěż z tego, szczecē jima nie bělo piśonē, nalōżł sę mocōrż, chtěrn ě jednej ręce trzymōł kropidło, a w drědziěj szablēcę. Nēm mocōrżę bēl dzěrsziěj biskup Absalōn, tēn sōm, co machtněj krōlewsciěj władze budowōł widzały zōmk Axelborg w Kopenhadze. Ten sōm, co narabczēł na swięty mōł Pomorcōw na Arkonie ě obalēł poklōnną sztaturę boga Swantewida. Odnąđ Pomorskō weszła w cząđ smroczēnku.

W kraju Děnow pełno jesz dzisō je znankōw prōce Absalōna. Ciěj berowōł żem przez duńsci krajuszk migale mnie w oczach malinci koscōłci z cegłē ě kaminia, na romańską modłę zrichtowanē. Na darmōka szukac w nich romańscięgo, to je rzymscięgo ducha. Skandynawsciē ludē całą urzmą draw pobieżałē za Lutrēm ě do dzisō sedzją w protestancziěj wierze. Ta wiara dała lědzóm sēlē mocōrżōw. Przerobiēła jich na purytanōw, chtěrn ě przějimalē za bēlny dětk, co glosēli koscelni pasturze: „Codniowō prōca je ortēm modlētūwē. Żlē jes sinēm bożēm, pomōż sobie sōm”.

Nie dzěwota tēdē, że nie lēno w lōńsciěch czasach, ale ě dzis westrzōd rozmajitěch wōrtnotōw na pierwszēm szplachu Děnowie posadzēlē niżbę, obszczędnosc, bēlną prōcę, zaradnosc, dzyrscięgo ducha, cērżplēwotē ě żēcziwū sērce. W tēm sę taci tajēmnota jejich dokōzōw! Wiele mogli bēsmē sę nauczcē od tēch naji nordowēch sāsadow. Osoblēwē żlē jidze o ogrōdzkē ě strzeżenie nēnci nōtērē. Bokada tego, co Stwōrca powołōł do rozwicy je gwesną, całowną wial-

gotą, od chtěrněj zanōlēgo żecē na naji planēcē. Mnie sę widzi, że mē tego jesz jawerno nie rozmiejēmē. Děnowie rozmieją to bēlno. Oni wiedzją, że kalēcznō zēmia, gđe roda parłeczēła sę przez stalata z kultu-
rą, kalēczy samego człowieka. Tēmu tēj tak baro otwarti są na ekologię, chtěrna zajimō starszěch ě młodszěch lēdzi na urzędach, a nade wszětko młōdēch biōtkarży.

Nōjwōźniejszō zgrōwa zwierō sę w tēm, żebē załōżec dławę przed niebezpieciēm cywilizacji urba-
nistycznej i przēmysłowēj. Tu maja swoje zdrzōdło rozmajitē ruchē ě nowotnē poměszlēcniē ze zōkręza technici ě organizacji. Muszi odecknāc swiāda, że stwōr nie moze pustoszcē dzela Stwōrcē. Zēmia nie moze stōwac sę grobem niezrēchowōnēch gatēnkōw. Nie stanie sę żēlē wiciej mǳe taciēch, co pudą stęgną karna „Noah” ze Svendborga, chtěrnē pieczētēje sę simbole biblijnej Arci Noego. Nōlężniciē tego partu są udbē, że tak jak Noe ciedēs retōł przed topizną zwierzē ě dzisō retac nōlēgo faunę ě florę przed za-
żartosq cywilizacji. Co technika ugardlēła, to technika moze zbēlnic. Jō, prōwdac, le nie każdō technika.

W krōlestwie Dēńsciēm wiele lēdzi copie sę do stō-
rēch, baro archaicznēch technikōw ě ortōw, żebē zwē-
nēgowac energię. W piērwszēj rēdze nazōdka sęgo sę do moce wjatwē (a od morza dmuchō jak diachlē). W niechtěrnēch mōlach dēnscięgo lādowiszczā aż biōło od windmilōw — wiatrowēch elektriczkw z aluminio-
wēmi skrzēdlami. Pomōgają jima elektriczciē słuńco-
we, zagwożdżonē na dachach ě na zēmi, chtěrnē chwita-
ją parminie stōnuszka w apartną sōdzę. Nōjwōrt-
niejszē je to, co kōrbią sobie ě sāsadow (nōm tēj):
żlē chcēme jēsż przedērchac na naji planece, muszeb-
no je barzej rēchowac sę z nōtērą ě zastosowac sę do jēj nōkōzōw, jak to robilē naji dōwni ojckowie!
Na przēmiarę w mojēm zōborsciēm Rōlbiku. Zrobiēto mnie sę tēskeno rōż za tą moją starą wsą jak żēm w Jutlandēji uzdrzōł istamętnē mrowiē chēcżōw ze stōmowēmi dakami. Jak bēm zdrzōł na lōńsci Rōlbik, hewo całēchny murowōny.

Z jutlandzciēch strōnōw przētrekōł jem do dōm...
apartny kam, należōny na strādze ostrowa Tuno. Za-
stēdły je w nim sztōłt zwierzā, chērēn swōj zdrok
ě munie scierowōł w niebieską wiżawę, jakbē sę jiscēt
na namienieniē, zgotowanē nēnce rodze przez lēdzi.
Przez taciēch lēdzi, co zabōczēlē, że sami są partēm
nōtērē.

NASZA ZIEMIA

Ewa Kordzińska

„Znak, którym obdarzony zostaje świat, sprawia, że należy on już do człowieka, do obrazu jego egzystencji (...) Każdy jednak znak poetycki zrodził się w jakimś środowisku, choćby dlatego, że zawiera zawsze kreację podmiotu wobec otoczenia”. Ten, nieco może przewrotny cytat ze wstępu Jana Drzeżdżona do antologii poezji kaszubskiej „Modra struna” w nieoczekiwany sposób może stanowić swoiste motto imprezy, jaką z okazji święta Matki Ziemi zorganizowała w Krokowej Gminna Samorządowa Inicjatywa Kulturalno-Oświatowa.

Pomysł całego przedsięwzięcia obejmował zorganizowanie dwu ponadlokalnych konkursów o wspólnym tytule „Jedna ziemia, jeden księżyc, ten sam tlen”, oraz spotkanie osób zainteresowanych działaniami proekologicznymi, dla których pretekstem do dyskusji miało być wystąpienie zaproszonego J. Drzeżdżona oraz film „Jesteśmy częścią Wszechświata” zrealizowany w ramach „Inicjatywy” przez Macieja Ciepluchę.

I tak po nagrodzeniu części z kilkuset prac plastycznych oraz literackich, które nadesłano na oba konkursy, uczestnicy spotkania mieli okazję wysłuchania trzech fragmentów prozy, w tym jednego w języku kaszubskim, autora cytowanego wyżej wstępu oraz jego arcykawej wypowiedzi na temat relacji zachodzących między środowiskiem naturalnym oraz ludzkim, a także wynikającymi z tejże relacji konsekwencjami. Zdaniem Drzeżdżona świat zawdzięcza swój wygląd obecny nie tyle ludzkości jako takiej, ale roli, czy może raczej bezwoli poszczególnych lokalnych społeczności. Te zaś swoją bezwładność, również proekologiczną, zawdzięczają usytuowaniu cywilizacyjnemu, w jakim się znalazły — z jednej strony oraz swoistej inercji czy wręcz działaniom negatywnym znacznej części inteligencji — ze strony drugiej. Niemalą rolę w powyższym procesie odgrywa również postępujący zanik małooczyźnianej świadomości, regionalnej tożsamości i brak poczucia związku między człowiekiem a światem go otaczającym. I oto godzimy się w szczególny sposób żyć „w Polsce, czyli nigdzie”. Nierzadko wstydziłyśmy się wręcz tego, że pochodzimy z konkretnych Sobieńcyc, Tyłowa czy Świecina nie myśląc o tym, że to te miejsca właśnie dzięki naszym przodkom przekazała nam we władanie historia, tradycja i społeczna tożsamość.

Dyskusja, jaka się wywiązała po owym wystąpieniu, potwierdziła jakby istotę refleksji oraz wątpliwości zamkniętych w powyższej wypowiedzi. Padały zdania o potrzebie odbudowy i rozbudowy nadwątlonych relacji zachodzących między mieszkańcami lokalnych środowisk a tymiż środowiskami właśnie. Szeroko komentowano i podkreślano znaczenie pojęcia „małej ojczyzny”. Ziemia najbliższa i region, którego jest częścią, stanowi bez wątpienia wartość dla lokalnych społeczności najważniejszą, nawet jeśli owo poczucie tożsamości egzystuje jedynie w zakresie bliżej nie określonej podświadomości. „Znak, którym obdarzony zostaje świat, sprawia, że należy on już do człowieka, do obrazu jego egzystencji”. Tym zna-

kiem jest nie tylko zapis poetycki. Tym znakiem jest również nazwa naszej wsi, rodziny ją zamieszkujące, ich dzieje, mowa, przekonania. Tym znakiem jest zapamiętany obraz łąki za wsią, wizerunek krzyża co stoi przy drodze, zapach świeżo zaoranego pola i pot towarzyszący zbieraniu ziemniaków. Tym znakiem jesteśmy my — mieszkańcy tej ziemi. My również kształtujemy jego znaczenie. Wypełniamy je treścią poprzez poczucie tożsamości, dzięki kultywowaniu mowy ojców, wskutek uzyskiwania takich a nie innych efektów naszego codziennego trudu. Budując naszą małą ojczyznę budujemy świat. W piękny i metaforyczny sposób ukazał to film Ciepłuchy, film, który przedstawiając nie nazwane a przecież charakterystyczne dla tej ziemi fragmenty lokalnej rzeczywistości, ujęty w swoistą sekwencję Paradis-Inferno-Exodus uświadamia odbiorcy fakt przemożnej roli naturalnego środowiska nad cywilizacyjnym występkiem, podsuwając jednocześnie propozycje współżycia z tym, co choć małe, przecież najbliższe, nasze, moje. Moje, czyli takie, za które powinienem się czuć odpowiedzialny.

„Każdy (...) znak poetycki zrodził się w jakimś środowisku, choćby dlatego, że zawiera zawsze kreację podmiotu wobec otoczenia”. Każdy znak zrodził się w jakimś konkretnym środowisku, a my, mieszkańcy owych środowisk czyniąc — zgodnie z ewangelicznym przesłaniem — sobie tę ziemię poddaną, tworzymy, kreujemy znaczenia owego znaku, przez co stwarzamy również na nowo samych siebie. To ważne czuć się częścią swej ziemi, być za nią odpowiedzialnym, stanowić jej obrońcę i twórcę. Być.

Być — takie małe słowo, a znaczy tak wiele. Wszystko. Jak świat. Jak jedna ziemia, jeden księżyc, ten sam tlen. Jak nasza ziemia. Moja.

PRZYPOMINAMY

○

PRENUMERACIE!

Prenumerata na II półrocze w kraju wynosi 24 000 zł (18 000 + 6000 wysyłka), za granicę 69 000 zł (18 000 + 51 000 wysyłka). Podwyżkę prenumeraty zagranicznej wymusiła na nas poczta. Prosimy o uzupełnienie brakującej kwoty za prenumeratę tych z Państwa, którzy dokonali już wpłaty na II półrocze.

Red.

NA POMORZU 170 LAT TEMU

Andrzej Kotecki

W literaturze podróżniczej z początków XIX wieku niewiele jest relacji dotyczących ziemi pomorskiej. Tym bardziej relacji, których autorami są Polacy. Drukowany tu tekst ukazał się nie tylko że w polskim czasopiśmie, ale i jego autorem jest Polak, i to postać znana. Oto bowiem w Warszawie wychodziło czasopismo pod tytułem „Dziennik Podróży Lądowych i Morskich”, później noszące tytuł „Kolumb. Pamiętnik Podróży Lądowych i Morskich”. „Dziennik” był miesięcznikiem, ukazywał się w przeciągu całego roku 1827, w następnym roku redakcja zmieniła zarówno tytuł na „Kolumba...”, jak również częstotliwość ukazowania się pisma. Od stycznia 1828 roku stało się ono dwutygodnikiem. Pod tym tytułem pismo ukazywało się nieprzerwanie przez rok 1828 i 1829.

Czasopismo w całości poświęcone było relacjom z podróży odbywanych lądem i morzem. Prócz własnych relacji zamieszczano też przedruki z czasopism geograficznych Francji, Anglii, Prus i Rosji. Były to materiały dwojakiego rodzaju. Jedne pisane przez Polaków o ziemiach polskich i o innych krajach. Drugie to teksty w Polsce pisane przez obcokrajowców. Charakter tych artykułów był różnorodny. Jednak większość z nich jest obiektywnym obrazem prezentowanych problemów polskich.

W numerze 28 „Kolumba” z 1829 r. (t. V s. 169—189) ukazał się pierwszy z trzech artykułów o ziemiach pomorskich, napisany i opublikowany w formie listów pod wspólnym tytułem „Przejażdżka w Prussach Polskich”.

Pierwszy z nich jako miejsce nadania podaje Sopot. List ten jest opisem pierwszego etapu podróży, której trasa prowadzi z Wielkopolski przez Kujawy, Powiśle do Gdańska. W tej części znajdujemy liczne informacje związane z takimi miejscowościami, jak Sopot czy Gniezno. Sporo miejsca autor poświęca Gnieznu i jego zabytkom, szczególnie katedrze. Po tym dość obszernym opisie autor przystępuje do relacji wrażeń z podróży do Bydgoszczy i dalej wzdłuż biegu Wisły do Gdańska. List kończy się na opisie dojazdu do Gdańska.

W kolejnym, 29 numerze „Kolumba” (t. V, s. 225—245) jest list „Z Oliwy”. Zasadniczą jego treścią jest opis klasztoru cystersów w Oliwie. W dalszej części znajduje się informacja o Sopocie — znanym już wówczas jako nadmorskie uzdrowisko (autor stara się też wyjaśnić nazwę tej miejscowości), o Kolibkach (Kolebkach) oraz o podróży morskiej autora na Hel. List kończy się opisem Gdańska.

Trzeci list, opublikowany w numerze 30 „Kolumba” (t. V, s. 316—327), jest relacją z podróży z Gdańska do Królewca. Podróż ta przebiegała po tak zwanym trakcie Schnellposte. Trakt ten wiodł z Gdańska przez Tczew, Malbork, Elbląg i dalej do Królewca.

Kilka słów o autorze listów. Nazwisko pojawiło się tylko raz, pod trzecim, ostatnim listem. Okazało się, iż autorem całego cyklu jest **Tadeusz Krępowiecki** (pod trzecim listem widnieje podpis — T. Krępowiecki). Działacz niepodległościowy, szczególnie aktywny w okresie powstania listopadowego, zaś po jego upadku członek lewicowego odłamu emigracji — Gromady Ludu Polskiego, Zjednoczenia Emigracji Polskiej i w końcu Stowarzyszenia Demokracji Polskiej XIX w.

Relacje są tak interesujące, że publikujemy je niemal w całości, zachowując tylko fragmenty opisujące szczegółowo wystrój katedry gnieźnieńskiej wraz z jej historią, kościoła mariackiego w Gdańsku, a także objaśniające historię zakonu krzyżackiego. Zachowujemy oryginalną pisownię i składnię, poprawiając dla lepszego czytania interpunkcję. W oryginalnej wersji tekstu przypisy oznaczono gwiazdkami, tu cyframi.

Oddajmy teraz głos autorowi i jego relacji.

Z Soboty (Zoppot) o półtorej mili od Gdańska

Abym wszelkim z twojej strony zapobiegł zarzutom i usprawiedliwionym być, jeśli oczekiwaniu twemu niezupełnie odpowiedziałem, muszę ci naprzód wyznać, że obowiązek jakiś na mnie włożył, nie był tak łatwy, jakim mi go zrazu szczerą chęć moja i chciwość badania zabytków ojczystych wystawiały. W opisie tym przejażdżki mojej po kraju, co niegdyś polskiemu holdował berłu, nie spodziewaj się szczegółów tak dokładnie zebranych i wyjaśnionych, tak zwięźle powiązanych, iżby ci mistrzowski przedstawiały obraz; cel bowiem główny podróży, albo przejażdżki, poratowanie zdrowia przy brzegach morskich, nie dozwalał do badań ściślejszych potrzebnego czasu. Nie mniemam jednak, iżby to, co mi się postrzec dało, równie jak uwagi jakie rozmaite miejsca i przedmioty nastęrczały, miały być obojętne dla ciebie, któremu najmilsze jest to wszystko, co ubiegłe ojczyzny naszej przypomina czasy.

Miejscem, od którego przejażdżkę z towarzyszem podróży mej, a zatem i opis jej rozpoczynam, jest Winna Góra, wieś niegdyś własnością Jana Henryka Dąbrowskiego, a dziś jego rodziny pobytom będąca. W kościele murowanym na wzgórzu spoczywają szanowne zwłoki tego obywatela, żołnierza i nauk przyjaciel. Kościół ten wystawiony przez X. Czartoryskiego, biskupa poznańskiego, który przemieszkował w Winnej Górze, w tem samym stoi miejscu, gdzie niegdyś istniał drewniany jeszcze w r. 1347 przez X. Szymonowicza, biskupa poznańskiego, wzniesiony. Jedną z osobliwości tego miejsca są winnice, zasadzone od południowej strony Winnej Góry, dające wyborne wino stołowe¹. Tylekrotne przykłady udawania się na naszej ziemi tego płodu, ślady uprawy winna w wielu miejscach południowych, a nawet i północnych prowincji polskich dostrzegane, powinny być dość silnym bodźcem i zachęceniem dla rolników do zaprowadzenia tej korzystnej przemysłu rolniczego gałęzi, tem bardziej iż, jak wyrachowanie i doświadczenie przekonywa, nakłady na to nie tylko straconymi być nie mogą, ale nadto znaczne stosunkowo przynoszą korzyści.

Zbliżając się do Gniezna, na próżno szukaliśmy śladów magających nam dawniejsze przypomnieć epoki. Ta rodu Lechitów kolebka prócz imienia nie prawie nie zachowała, co by badawczą zająć mogła ciekawość. Ale sama w tem miejscu obecność obudziła zwrotne ku przeszłości uczucia. Umysł na skrzydłach myśli bujając w dawne przenosił się wieki, lecz chciwem prowadząc wzrokiem dla stęsknionej duszy żadnego życia, żadnej nie zyskałem pamiętki; cóż mi po owym rzedzie kamienic, nie są to owe, co przeszłość widziały, nowość ich lube zaciera marzenia, a najpyszniejszy pałac tyle by swoją nie ujął mnie wspaniałością, ile mur na pół zwalony lubo gruzy obalonej twierdzy. Miła jest kraina marzeń: człowiek w niej swoją powiększa istotę, z ciasnych granic ciała uniesiony, okiem niezmierzoności sięgając, przestaje być zmysłów więźniem; przeszłość przed siebie sprowadza, przestrzeń w jednym zamyka obrębie. Cóż więcej duszę ze stanu jej nicości wyprowadza, co



Brama Chełmska

więcej podaje jej żywiołów jeśli nie przeszłości wspomnienie? Tę przeszłość kurz wieków na zasypiane sprowadza mury, przez nic śmiertelny okiem duszy do ich posad zagląda, a szukając ich przeznaczenia, wiek od wieku oddziela i czem dzisiaj jest, widzi.

To miasto więcej liczyło pożarów niż wieków. Ostatni pożar w roku 1817, w dniu 17 maja, trzy części miasta zniszczył. Na miejscu drewnianych domów stały murowane; rynek, ulica do niego przylegająca i ulica zamieszkała przez Żydów z porządnymi składają się domów, reszta miasta z domków. — Wjeżdża się do niego obok bagna, dawniej Świętem jeziorem zwanego, które przez wyrzucanie w nie nieczystości do bagnistego dziś stanu przywiedzione zostało. Ulica prowadząca do rynku jest wzgórzysta; ślad wzgórza, na którym było miasto, przez czas zagał. Była to góra Lecha, na której stał zamek przez pierwszych książąt polskich zamieszkiwany. Tu z góry Lecha widać dom kanonikalny zdający się czasy dawniejsze zapamiętywać; w południowej jego ścianie jest marmurowy kamień, na którym trzy róże, a pod tym herbem napis w łacińskim języku: „Roku zbawienia 1613, miesiąca kwietnia upłynionego, a drugiego od pożaru, staraniem i kosztem obojga prawa Doktora Tomasza Josickiego kanonika i oficjała gnieźnieńskiego z fundamentów wzniesiony”. Poniżej herb: trzy rzeki i litery: J.K.S.T.D.C.G.P.M. które oznaczają: Jan Kasztelan Kanonik metropolitalny gnieźnieński i napis: „wreszcie po drugim pożarze, który i kościoła wyższego nie oszczędził, roku pańskiego 1700 d. 25 sierpnia kosztem niemalym znowu odbudowany”. Stąd jeszcze widzieć się dają ruiny pałacu arcybiskupiego przy brzegu jeziora Jelonek.

Kościół gnieźnieński roku 965 na jednym z siedmiu

pagórków najwznioślejszym, Górą Lecha zwanym, wystawiony, poświęcony jest Matce Boskiej i ma tytuł Świętego kościoła gnieźnieńskiego.

Z całej starożytności swojej nie zachował on nic więcej oprócz drzwi miedzianych: od spodu jest płaskorzeźba wyobrażająca puchar, w który pieniądze wkładają, wyżej zaś widać orła strzegącego ciała świętego męczennika. Darował je kościołowi Bolesław Chrobry². (...)

Na próżno bym ciekawość twoją rozdrażniał, gdybym o miastach, przez które przejeżdżaliśmy, chciał co mówić. Miasta te są kupą mniejszej lub większej ilości domów, gdzie ubogi mieszkaniec zaledwo o swoim wiedzący istnieniu: tam się rodzi, tam żyje, tam umiera. Gdziekolwiek są jeszcze nazwiska miejsc, które należą do dziejów; i cóż więcej powiedzieć o Mławach, wiosce pod Inowrocławiem, o Gonsawie, o Nakle i innych. Kanał od Bydgoszczy do Noteci, nad którą leży Nakło, ułatwia spław statków Wisłą płynących do Warty, stąd zaś do Odry, a następnie do Elby. Tym sposobem spław Wisłą z Hamburgiem ma związek. Kanał ten ze szluzami ciągnie się na 4 mile.

Jadąc ku Bydgoszczy trafia się miasto Łabiszyn, które pamiętnem będzie w dziejach Polski śmiercią jednego z jej wrogów. Przed kilku laty spalone, dziś się odnawia, zdaje się, że z dwóch części jest złożone, jedna zamieszkała przez ewangelików, gdyż w środku rynku jest porządną Luteranów kościół.

Brzegi Wisły od Bydgoszczy są bardzo piaszczyste, lecz gdzie nie ma piasku najurodzajniejsze widać Żuławy (Niederungen). Pastwiska są tam tak piękne, bujność paszy tak wielka, iż nie dziw, że gospodarze wielkie posagi swoim dają córkom. Ogrody te z urodzajnym drzewem rozciągają się do Wisły, a każdego mienie porządnie jest ogrodzone i topolami obsadzone. Aby Wisła wylewem swoim gruntem nie szkodziła, wzniósł dobroczynnym dawniejszego rządu reka wał ogromny, który widok rzeki zupełnie zasłania. Po tym wale można chodzić i jeździć, a widok z niego na Wisłę, na przeciwne brzegi, gdzie się miasto Chełm odkrywa, przyjemne czyni wrażenie. Wał ten kończy się wjeżdżając do Świecia. To miasto obwiedzione jest murem, daje się w niem widzieć krzyżacki kościół, a ogromny bastion, który góruje nad miastem, przypomina postać miasta średnich wieków i przenosił myśl ku czasom, gdzie nie było silnego między ludami węzła, ale nieufność i bojaźń, gdzie zamiast traktatów trzeba było mury wznosić, aby się od ustawicznych i niespodzianych zasłaniać napaści. Kiedy już wyobrażenia polityczne myśl naszą zajęły, nie od rzeczy będzie wspomnieć co dotyczy miasta tego. W czasie ostatnich wojen z Krzyżakami zostawało ono w rękę Polaków, którzy pod wodzą dwóch mężnych braci wytrzymywali napady Krzyżaków. Wiadomy jest sposób wojowania tych panów: gwałty, rozlew krwi niewinnej, zemsta, chciwość, były ich piętnem i do wojen pobudką. Nie dosyć mieli na zwojowaniu bałwochwalczego ludu Prusaków, chciało im się Pomorza, ziemi Dobrzyńskiej, Michałowskiej, którą, gdyby posiadli, zapragnęliby Mazowsza, Wielkopolski, i gdyby nie męstwo przodków naszych, może by te okolice dziś ziemczone były. W czasie tedy oblężenia, chcąc miasto do poddania przymusić, niewinnych i bezbronnych wieśniaków łapali i tych nad brzegiem Wisły wprost warowni wieszali. Nie dosyć na tem, lecz, pod pozorem umowy, zaprosili dowód-

ców polskich, i, mając ich w rękę, zamordowali. Ile zajmują uwagę mury właśnie jakby świeże, tyle miasto, gdy się do niego wjeżdża, nieprzyjemny przedstawia widok. Jest to zbiór domów ciasnych, murem pruskim budowanych³. W niem traci się pamięć murów starożytnych, kościoła dawnego i znika z oczu ogromny bastion. Nie mogliśmy wyjechać z miasta nie wiedząc, co by miał znaczyć. Poszliśmy więc brzegiem Wisły, który tu jest znacznie wysoki, ścieżką wykładaną gruzami. Tych dostarcza warownia, o której mówić będziemy. W końcu miasta ujrzeliśmy ten bastion. Przed nim, nieco z boku, stoi dom dzierżawcy dóbr Świecia, właśnie w tem miejscu, gdzie niegdyś było czoło warowni. Stajnie jego znajdują się na jej gruzach po jednej stronie. Gruzy te widocznie pokazują, że cztery były bastiony: z tych dwa zupełnie zawalone i wśród gruzów widać otwory, trzeci od strony północno-zachodniej w połowie jeszcze stoi, a czwarty, który jak się zdaje w objętości był z nich największy, w całości się dochował. Zamek ten jest nad Wisłą z prawej strony jego płynącą. Z lewej płynie rzeka, Czarną Wodą nazwana, i wpada do Wisły, okrążając fortecę, która tym sposobem znajdowała się na półwyspie. Na przeciwnym brzegu Czarnej Wody widać okopy, stawiane zapewne w celu uderzenia stamtąd na fortecę, i tutaj to bez wątpienia oblężeni widzieć musieli nieszczęśliwe ofiary przez przeniewierczych Krzyżaków mordowane. Jest jeszcze przekop oddzielający fortecę od miasta, na którym był most zwodzony. Nad tym przekopem stoi wspomniana baszta. W znacznej od gruzów odległości są drzwiczki, za pomocą drabiny doszedłszy do nich, weszliśmy w ciemnicę, czyli rodzaj przysionku, a na koniec do samej baszty, która światło z góry odbiera, będąc jakby walcem wydrążonym. Trochę słomy oznaczało, że w potrzebie zamykają tu złapanego na gorącym uczynku winowajcę. Dziedziniec zamieszkania dzierżawcy jest cały gruzami zasłany. Pomiędzy ocaloną basztą a drugą zachowaną do połowy, ciągnie się mur, czyli raczej dwie ściany bez dachu. Grubość tych murów, jako też i bastionów, blisko trzy łokcie wynosi. Widać, że gdy się dach jeszcze znajdował nad tym salonem, służył komuś za mieszkanie, gdyż wewnątrz ściany są bielone, gdzie zaś wapno odpada, pokazują się dawniejsze malowania, napisy, herby i godła. Między herbami spostrzegłem gryfa siedzącego. Jest to herb książąt pomorskich; ten bowiem zamek sięga dwunastego wieku i miał być przez Świętopelka założony. Posadzka salonu do połowy jest zawalona gruzami, które zawałyły i dół fortecy. Przeciskając się pomiędzy niemi, dojść można do podziemnych otworów. Wszystko tam ma postać przerazającą.

Nowe (Nouenburg), Gniew (Mewe), Tczew (Dirschau), niczem na wzmiankę zasługiwać nie mogą. Jeszcze dziś jakiś ślad w zwalonych murach tych miast postrześć można. Jakże przyjemnem będzie dla ciebie przypomnienie to nasze, iż w całym ciągu podróży, aż do Gdańska, a nawet ku zachodniej jego stronie, uważaliśmy język polski górujący nad niemieckim. W Tczewie na przykład, gdyśmy do zgromadzonych na rynku ludzi po niemiecku przemówili, pytając się jaka byłaby droga po drugiej stronie Wisły z Marjenburga do Marjenwerder⁴, ci odpowiedzieli po polsku, że nieco jest piasku z Malborka do Kwidzyna⁵.

Mieszkający lud w tych stronach składa się z Polaków, Kaszubów i Niemców. Ci ostatni w najlepszym są bycie; spomiędzy nich wielu należy do zgromadzenia Braci Morawskich, czyli Hernhutów; kobiety ich rozpoznać można po czarnym na głowie ubraniu.

O milę od Gdańska postrzec już można, że do wielkiego zbliżamy się miasta. W kształcie ulic ciągnące się przedmieścia są po większej części przez przemysłową ludność zamieszkane. Nim się wjedzie do miasta, ukazują się szańce, tak dawniejsze jak i nowe. Pochłonęły one miliony, gdy tymczasem Gdańsk z położenia swego nad morzem nieważnym jest punktem wojskowym dla wojny kontynentalnej: duma Napoleona zagrzebała tam skarby, które na dobro społeczeństwa obrócone by być mogły. Widok wewnętrzny Gdańska zapowiada starożytność. Domy, ściśnięte jak żołnierze w szeregach, wąskie jak kamienice na Starem mieście w Warszawie, ulice ciasne, dla idących nawet pieszo niedogodne, przed każdym domem wystawa zabierająca dwa razy więcej miejsca niż trotuary w innych miastach, a na domiar nieprzyjemności ulica jedna do drugiej tak podobna, że będącemu dziesięć razy w Gdańsku jeszcze jest trudno znaleźć się w każdym miejscu. Oto jest Gdańsk⁶. I w rzeczy samej Gdańsk dla kupca tylko może być znośny, dla innych mało ma żywiołu: ani uczony, ani światowy człowiek nie znajdzie tu powabów dla siebie. Żadne gmachy nie zajmują jego uwagi, a nawet i giełda kupiecka, która w tak handlowym mieście wysileń przepychu kupieckiego przedmiotem by być powinna, nie ma tu tej okazałości, jakiej się podróżny mógł spodziewać.

Lut 2

Z Oliwy

Wyjeżdżając z Gdańska ku północo-wschodowi z jednej strony widzisz morze, z drugiej pasmo pagórków dosyć wyniosłych, u spodu których piękne wiejskie domy z ogrodami zamożnych kupców gdańskich. Jest to droga do Neustadt i Koslin. Minąwszy aleję z drzew, które za okopami się ciągną, wjeżdża się, że tak powiem, do alei z domów. Jest to przedmieście Gdańska, Langfur zwane. Nieustanny ruch ożywia to miejsce: przez nie bowiem jechać trzeba do Oliwy. Soboty, Kolebki, zwyczajnych miejsc rozrywki Gdańszczanów. Rząd też niemały ma udział w korzyściach z tego przejazdu, płaci się bowiem 8 groszy na milę od jednego konia, chociaż drogi pruskie nie są najwysmienitsze i nie mogą iść w porównanie z polskimi żwirowami. Tą jadąc drogą, o milę od Gdańska, przybywamy do wsi zwanej Oliwą.

Chcąc mieć w całej widowni tą przyjemną okolicę, wstąpiliśmy na górę Karsberg. Jest ona objęta w ogrodzie, a droga do jej wierzchołka w okolo idąca jest przyjemną przechadzką; na szczycie odbywają się rozmaite zabawy. Stamtąd oko błdzi swobodnie po okolicach tej urozmaiconej krainy: widzi wysokie wieże Gdańska, port, morze, wzgórze, a pod sobą w położeniu krętym i lekko spadzistem dolinę Przyjacielską i dolinę Szwabską, zasypane murowanymi domami, tworzącymi wieś Oliwę. Wieś ta dotyka drogi i ciągnie się aż do morza, lubo droga na parę tysięcy kroków oddalona jest od niego.

Wśród tych zabudowań, jak ojciec wszystkich, wznosi się klasztor Oliwy. Budowa jego obszerna lecz

skromna obejmuje kościół, mieszkanie dla xięży i pałac opata z ogrodem.

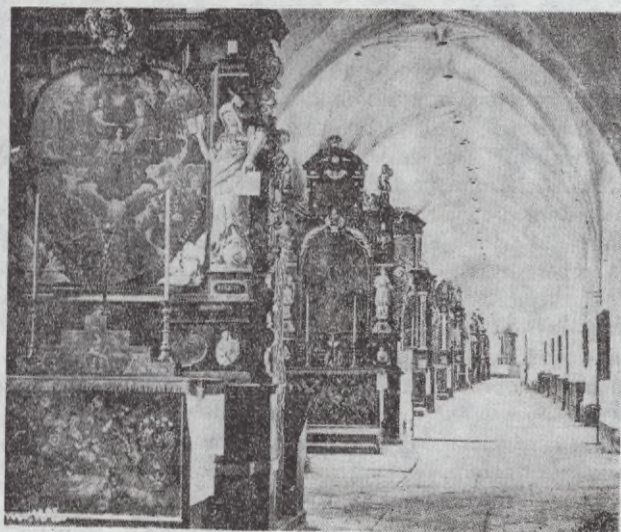
Słodko nam było znaleźć w tem miejscu zakrytiana Ostrowskiego, Polaka. Syn jego jest xiędzem w klasztorze. Widząc żwawego i czerstwego ojca, spodziewaliśmy się, że syn jest jeszcze młody. Młodą wprawdzie miał postać i trzeźwość, gdyśmy go ujrzeli, ale nam powiedział, że już lat sześćdziesiąt kilka liczy, a włos jego siwy kazał dać wiarę słowom. Wewnętrzny skład kościoła, podobnie jak zewnętrzny, jest skromny: po bokach są kaplice i ołtarze, przed wielkim ołtarzem stoi trumna z czarnego marmuru na podstawie wykuta, ozdobnego kształtu. Jest to pomnik dobroczyńców kościoła tego. Pod nią, jak mówią, spoczywają zwłoki xięcia pomorskiego Subisława, założyciela tego klasztoru. Na ścianach, przed tymże ołtarzem, w naturalnej wielkości odmalowani założyciele i dobroczyńcy kościoła: i tak, po lewej stronie a prawej od ołtarza, jest Subisław z podpisem: „III. Princeps dux Pomeranorum Subislaus senior per R. D. abbatem Colbacensem baptisatur et hanc Olivam Cistercien ordinis Monachis ex dicto Cobacen monrio assumtis fundat. A. MCLXX”. Dalej „Samborus-Mistvinus Suan. topolcus-Mistvinus ultimus”. Subisław uważany za założyciela, za dobroczyńców zaś Przemysław II, Wacław, Łokietek, Waldemar margrabia brandenburski, mistrz krzyżacki Winricus Kniprode, Kazimierz III i Zygmunt III. Rzecz osobliwsza, że mistrz krzyżacki znalazł się między dobroczyńcami kościoła oliwskiego. Zwykle ci panowie byli nieprzyjaciółami tego, cokolwiek nie ich było.

W refektarzu większym jest poczet wyobrażeń opatów tego klasztoru. Najpierwszym był Dytmur Kolbaceński, który w r. 1170 Subisława xięcia pomorskiego do wiary chrześcijańskiej skłonił. Ten zaraz założył zakon Cystersów w Oliwie, których opatem pierwszym był tenże Dytmur Kolbaceński. Między nimi jest kilkunastu Polaków, z których Dąbrowski był nawet zaszczycony paluszem. Dawid Konarski zgromadził te obrazy, o których wspominałem, oraz inne, przedstawiające spalenie kościoła przez pogan, wymordowanie xięży; jego kosztem także zrobiona jest trumna, o której nadmienilem. Dawid Konarski był z rządu 41 opatem, z kanonika krakowskiego i warmińskiego obrany 1589 r., umarł w 1616 r. dnia 17 maja. Za staraniem Zygmunta III dostał infułę i od tą wszyscy opaci są infułatami. Dzisiejszym jest x. Hohenzollern, biskup warmiński.

Zdziwiła mnie trupia głowa wymalowana na obrazie wystawiającym opata Schleff, który r. 1549 był obrany. Powiedziano mi, iż on czynił tajemne kroki do zniesienia klasztoru i przejścia na luterską wiarę. Zamach się wydał i on miał zostać ścięty. (...)

Ogród nie jest okazały, w sposobie włoskim urządzony. Od pałacu idzie nadzwyczaj wysoki szpaler, podobnej wysokości drzewa nigdy widzieć nie można u nas. Szpaler ten jest wyciągnięty w stronę morza. Kiedy kto stanie przed pałacem, oko doznaje pięknego złudzenia: zdaje się bowiem, jak gdyby szpaler w morze zachodził, a przesuwające się okręty na tej szczupłej widowni wydają się jak postacie w czarnoxięzkiej latarni.

Kościół ten doznał nieszczęśliwych kolei, wystawiony będąc na łup pogan i Krzyżaków. Gdańszczanie nawet raz go zniszczyli. Roku 1224, 27 września, uprowadzeni bracia przez pogan Prusaków, Pomozanami zwanych, pomordowani zostali.



Wnętrze Katedry Oliwskiej

Ci sami Pomoianie roku 1234 mszcząc się na Świętopelku, który pomagając Krzyżakom zabił ich nad rzeką Sirguna (dziś Sorge), zniszczywszy kraj jego własny, gdy Gdańską dobyć nie mogli, wpadli do Oliwy, kapłanów wymordowali i klasztor spalili (...).

W czasie wojen, jakie potem tenże Świętopelk, zabójca Leszka Białego i przywłasciciel Pomeranii, wiódł z Krzyżakami r. 1246, ci wpadli do krajów jego i kościół w gruzy zamienili. Świętopelk go odbudował i dlatego pomiędzy założycielami jest umieszczony.

Władysław Łokietek, zwyciężywszy Krzyżaków, powiększył jego dochody. Ale po wzniesieniu się znowu Krzyżaków odebrane były. Kazimierz III zawarłszy pokój z nimi wrócił kościołowi przywileje i dobra.

Stefan Batory, na wstępie swego panowania, upokorzywszy Gdańszczan był w Oliwie i rozkazał nowy zupełnie wystawić kościół. Znikły ślady dawnego, a ów, który dziś oglądamy, dziełem jest tego dzielnego i walecznego króla.

Kąpiele morskie w Sobocie

Posuwając się drogą ku Neustadt, mając po lewej wzgórze wyniosłe, po prawej morze, o pół mili od Oliwy, przyjeżdżamy do wsi, brzegu morza dotykającej, zwanej Sobota. Niemcy przerobili to nazwisko na Zopot. Ze pierwotne było Sobota, dowodem jest przeznaczenie tego miejsca. W każdą bowiem sobotę Gdańszczanie na zabawę zwykli do tej wsi przybywać. O pół mili stąd jest znowu wieś Kolebka, której Niemcy dali zakończenie na c.

Wieś ta własnością rodziny Przebendowskich będąca, zamieszkała jest przez rybaków, którzy po każdym wzburzeniu morza wypływają na czółnach swoich, przywożąc ogromne mnóstwo ryb, flądami zwanych. Do tego tylko połowu przemysł się ich jedynie rozciąga. Mieszkańcy są zabytkiem dawnych Prusaków, czyli Kaszubów, których język równie dla Słowian jak i Niemców nie jest zrozumiały. Znajdują się wszakże między nimi niektórzy, co albo niemieckim, albo polskim mówią językiem.

Gdzieniedzie są tu dosyć porządne domy, pomieszkania letnie gdańskich obywateli lub dla widoku zysków stawiane budynki. Tu bowiem zje-

dżają dla brania morskich kąpiei. Wszakże uskarżać się trzeba na brak wygodnych pomieszek i na zbyteczną ich drogosc. Zda się, że to miejsce od niedawnego dopiero czasu służy do morskich kąpiei, inaczej byłyby tu ślady przedsięwzięć i zabiegów oraz większa o wygodę i zdrowie kąpiących się staranność.

Niedaleko morza stoi dom porządny dla gości. W nim zbiera się gdańska publiczność w niedziele i co sobota na tańce i inne zabawy. Tu coraz biegnie pokrzepić się ten, co zimną opuściwszy kąpiel, zdętwiałe chce orzeźwić członki. Nad samym prawie morzem są łazienki do ciepłych morskich kąpiei. Po lewej stronie od tych łazienek kąpią się mężczyźni, po prawej kobiety. Przestrzeń kilku tysięcy kroków oddziela obie płci przed siebie. Dwa kije wsadzone opodal od siebie na morze utrzymują sznur, który służy do zachowania równowagi ciała w czasie kąpania. Daremnie budki ponad morzem stojące służy za schronienie po wyjściu z morza, w nich są ławeczki i zwierciadła, ale jeden tylko znajduje się człowiek przeznaczony do pomocy dla wszystkich. Otóż jest to, co się zowie, kąpielą morską w Gdańsku.

Widok morza, dla mieszkańca ze stałego lądu, ma coś wielkiego, coś uroczystego. Ta masa ruchomego żywiołu zdaje się ku sobie wabić oko, porywać z sobą myśl całą, całą, że tak powiem, duszę człowieka. Oko umysłu przebiegając przez nurty mokre i aż do łoża ich spoczynku sięgające, do oka wyobraźni nowe istoty, tworzy czasem własnego natchnienia, inny zupełnie świat odnosi.

Jednakże wyznać potrzeba, że morze pod Gdańskiem i oko wyobraźni zawodzi. Ów obnażony z białego piasku składający się krzywy język ziemi, od miasta Pucyg poczynający się, przecina przestrzeń wód morskich i oku granicę z tej strony morza naczyna; tworzy on odnogę Pucyg.

Nie wiem, czyli kąpiele w takim morzu mogą być bardzo skuteczne. Woda przy brzegu odmienna jest od wody głębszego morza, zieloność jej i słoność nie są wcale te same, jakie w dalszej od brzegu odległości znalazłem. Ściek bowiem wód słodkich z zamieszkanej wsi oraz z blisko leżących dość wyniosłych wzgórków, musi koniecznie osłabić siłę i dzielność morskiej wody przy tym brzegu. Przydajmy ostrość klimatu i słabość działających promieni niskiego słońca, a przekonamy się, że daleka jest skuteczność północnego i zamkniętego morza od wód południowych i wód otwartych, gdzie przyływ i odpływ periodyczny morza, w ciągłym wodę utrzymując ruchu, nie miesza jej z brudnym ściekiem z gór i zamieszkałych okolic spływającym. Odpływu i przyływu, jak wiadomo, nie ma w Bałtyckim morzu.

Znajdowałem się w Gdańsku w r. 1827, w miesiącu sierpniu. Dni tak były chłodne, że trudno było obejść się bez płaszcza. Woda morska trzy razy odmieniała temperaturę, a najwyższa w południe rzadko kiedy 13 do 14 stopni dochodziła, wieczorem zaś i rano było 8 do 9 stopni ciepła. Jeśli więc nie było wzburzonego morza, trudno było w wodzie wytrzymać. Lecz znowu, gdy morze było w poruszeniu, niosło jakiś gatunek czarnego chrustu, który w znacznej nagromadzonej ilości, wygodnemu przeszkadzał zanurzeniu.

Trzeba było pójść dalej, walcząc z zagniewanym żywiołem. Jest to prawdziwa rozkosz widzieć nadchodzący bałwan, który z pędem i szumem kąpiącego się zalewa, gwałtownie nim miotając. Ten rodzaj elek-

tryzowania, to wstrząśnienie gwałtowne, nie dawało czuć zimna, ale owszem jakąś gorącość obudzało w ciele. Szum tłukącego się o brzegi morza, ryczenie wałów, widok majestatyczny ich pędu, ma coś porównującego i człowiek ze wszystkiego obnażony, zdaje się czuć jakąś wewnętrzną dumę, kiedy mierząc się z ogromnością gniewnego żywiołu, śmie go na swój obracać użytek i jego opierać się groźbom.

Skoro morze było spokojne ukazywały się na jego powierzchni pływające pająki morskie. Ciało ich z białej galarety, kiedy zwierzątko było w wodzie rozciągnięte tworzyło zupełnie koło, którego średnica sześć cali dochodziła, w środku miało foremna postać na kształt kwiatu i tworzyło niejako węzeł czerwony, od którego, z takiego materiału, szedł sznurerek kończący się na obwodzie ciała. Wyrzucony na piasek skupiał się, a zyskując na grubości, tracił rozciągliwość. Wówczas średnica jego obwodu półtora cala wynosiła, a ów czerwony kwiatek stawał się małym punkcikiem. Znać, że całe życie jego w tym się zamyka węzle. Wzięty do domu i w morskiej utrzymywany w wodzie, żył dni kilka, po których wyścieńczone, opadał na dół i znikał.

Znajdowały się w porcie gdańskim dwa statki parowe. Z tych jeden stary zwany *Victory*⁷ przeznaczony na Wisłę, drugi nowy i ozdobniejszy, pod nazwiskiem *Xiązę Xawery*, do Petersburga miał być odesłany. Kocioł umieszczony w samym środku na dnie statku, dostarcza pary na siłę sześćdziesięciu koni. Para porusza cylinder, a ten ma związek z kołami żelaznymi, które są w prostym kierunku po obu stronach okrętu umieszczone i zasłonięte deskami, aby poruszana woda nie spadała na pokład. Ze środka pokładu wznosi się zamiast wielkiego masztu ogromny komin żelazny, który kłęby dymu wyrzucające w powietrze, nadaje szczególniejszą postać tej poruszającej się maszynie.

Po obu stronach okrętu są obszerne pokoje, do których po schodach się schodzi. Na około przytwierdzone ławy suknem wybite, w środku jest stół obszerny. Na pokładzie od przodu znajduje się izdebka. Z tyłu dla sternika pokład obszerny wzniesiony, do którego po schodkach przechodzi się z wielkiego pokładu.



Hel

Reprodukcja zdjęć: Alfons Klejna

D. 24. sierpnia wypłynąwszy z portu gdańskiego (*Fahrwasser*), okręt stanął blisko brzegu Soboty. Byliśmy już uwiadomieni, że ma podróż odprawić do Heli. Za danym z działu wystrzałem popłynęliśmy na białych ku okrętowi. Już na nim znajdowało się wielu bardzo mieszkańców Gdańska, których liczbę powiększyło towarzystwo z Soboty. Ruszył statek przy odgłosie wojskowej muzyki, która w całej odzywała się podróży. Płynął siłą dwudziestu koni i przestrzeń czterech mil polskich we dwóch odbył godzinach. Zarzucono kotwicę, zbliżyły się rybackie statki i wysiedliśmy na ląd w Heli.

Jest to wieś leżąca na samym końcu tego piaskowego półwyspu, który odnogę *Pucyg* tworzy. Tworzy się z jednej ulicy, utworzonej przez dwa rzędy murowanych domków, na ich końcu jest kościół. Mieszkańcy są Kaszuby, trudniący się połowem ryb, które do brzegów stałego lądu przywożą. Piasek tak jest tu ruchomy, że z przykrością idzie się po nim, ustępując bowiem pod nogami utrudnia ruch człowieka. Gdziekolwiek rosną sosny i mchu się cokolwiek znajduje, tu podług podania mieszkańców błakają się dzikie o czterech rogach owce. Ponad brzegiem wznosi się wieża, grubość jej muru jest na dwa łokcie, na dole mieszka z rodziną dozorca latarni morskiej. Sto siedemdziesiąt schodów prowadzi do niej. Jest ona ruchoma, obraca się w około; sześć kagańców pali się przed sześcioma z mosiądzu polerowanego zwierciadłami. Wszakże nie wszystkie bywają zapalone. Z brzegów bowiem stałego lądu ciągle nie widać światła, lecz to po 36 sekundach się pokazuje, a światło przez 12 widać. Z tej rachuby wnosić można, że dwa tylko kagańce zapalone bywają. Latarnie otaczają okna, w około których znajduje się galeria. Tę napelniło towarzystwo okrętowe. Niemcy, którzy zwykli od przyjętych wrażeń entuzjazmu doznawać, wprowadzając tam muzykę, zaśpiewali „Boże zachowaj króla”.

Opuściwszy to miejsce uszykowało się towarzystwo, muzyka szła przodem, przygrywając marsz wojskowy i w takim porządku przebywszy wieś udano się do brzegu. Okręt ruszył, powstał wiatr dość silny, nie utrudniał jednak pędu okrętowego.

O dwie mile od Heli znajduje się druga wieś rybacka *Heisternest* (*Jastarnia* — A.K.), przez samych Polaków zamieszкана. (Cdn.)

¹ Sprzedaż płodu tego w gronach była dosyć korzystna, chociaż najpiękniejsze nieraz po sto jagód dające, sprzedawano tylko po 2 grosze.

² *Naruszewicz* w tomie II historii, twierdzi, że drzwi te z *Kijowa* pochodzą.

³ Znana jest budowa tak zwanych pruskich domów: belki na krzyż, cegły, a niekiedy sama glina między nimi — to są ściany.

⁴ Używając niemieckich nazwisk.

⁵ Tak po polsku te miasta nazywają.

⁶ O podróży jego odbytej na wschodzie umieściliśmy wiadomość w nrze 20 pisma naszego.

⁷ Ten sam, który dotąd pod *Pragą* na *Wiśle* zostaje.



Ks. Kazimierz Raepke

ALBUM RODZINNY

Mama z bratem Antonim i rodzicami. Ta mała dziewczynka trzymająca lalkę, to właśnie moja Mama — Monika. W domu wolano na nią pieszczotliwie „Bieliszek”, z racji blond włosów.

Babcia Franciszka Raepke, żona Adolfa. Zmarła w Kartuzach w 1975 roku, mając prawie 100 lat.

Ojciec Franciszek, w polskim mundurze.

Jedyne zdjęcie dziadka Adolfa Raepke, ze szpitala w Chojnicach (?). Stoi w tylnym rzędzie, drugi na prawo od stojącej w środku siostry szpitalnej.



Reprodukcje zdjęć: Alfons Klejna

OPOWIEŚĆ O POTOMKU RODU
Z KUROPATWĄ W HERBIE

Pochodzę z Kartuz i od wielu pokoleń jestem związany z tym zakątkiem ziemi pomorskiej, zwanym przez mnichów kartuskich Rajem Maryi. Przedzierając się przez historię swoich przodków, odnalazłem mojego protoplastę — Ferdynanda Raepke, potomka wyróżniającej się kiedyś szlachty kaszubskiej w lęborskim, sięgającej początkami XVI wieku. Ród Repków zamieszkiwał kiedyś Maszewo, Słajszewo i część wioski Komoszewo. Prezentował się herbem podobnym do Leliwy: wszystkie były z motywami księżycy i gwiazd, ale Repków był z kuropatwą.

Ci, którzy zamieszkali w Kartuzach, nie pamiętali zapewne już o swoim rodowodzie. A jedynym śladem ich szlacheckiej przeszłości było nazwisko. Pisało się różnie: Rapkene, Rāpke, Rōpke, Raepke, Repke. Jak wyjaśnił mi prof. Edward Breza, znawca problemu, zapisy te wskazują na etymologiczne nazwisko Rzepka. Dziś na Kaszubach Repa i Repiński. Zapis mojego nazwiska zawdzięcza Ferdynandowi, urodzonemu w Kartuzach w 1821 roku, z rodziców wyznania ewangelicko-augsburskiego. Nie wiem, czy to była jedyna rodzina o tym nazwisku należąca do gminy ewangelickiej z siedzibą w Przyjaźni. W gminie katolickiej w Kartuzach natomiast odnotowano w 1844 roku tylko jedną rodzinę. Była to mieszkanka Kartuz, Ewa Repke, z czwórką dzieci o imionach Ewa, Jan, Adolf i Berta.

Nie wiem, jak wyglądał mój pradziad, bo żył w czasach poprzedzających narodziny fotografii. Jako Kaszuba mógł być raczej człowiekiem milczącym, niezbyt skłonny do wyrażania swych myśli czy radości. Ale z całą pewnością nie zabrakło mu upartości w dążeniu do raz obranego celu, jakim była konwersja. Przeszedł do gminy katolickiej w 1846 roku, mając lat 25. Było to, jak sądzę, nie tylko najważniejsze wydarzenie w jego życiu, ale równocześnie niekwestionowane świadectwo jego autentycznej wiary i odwagi. Ksiądz Antoni Sobotta, który przyjął go do Kościoła rzymskokatolickiego zapisał, że z zamiarem konwersji nosił się już od dłuższego czasu.

Ferdynand miał dwa lata, gdy władze pruskie rozwiązały Kartuzję Kaszubską i w to miejsce założyły Dom Emerytalny dla księży. Mieszkańcy Kartuz należeli do parafii w Goręczynie. Część jednak chodziła na nabożeństwa do kościoła klasztornego, korzystając z posługi duchownej księży emerytów. Tak było do 1841 roku, do przeniesienia Domu Emerytów do Zarnartego. I wtedy starania o przekazanie kościoła poklasztornego gminie katolickiej weszły w fazę decydującą, zwłaszcza po przekazaniu byłego refektarza klasztornego ewangelikom w październiku 1842 roku. Mieszkańcy Kartuz i okolicznych wsi wszczęli zamieszki wyznaniowe, przeszkadzając celowo w nabożeństwach ewangelickich. Co o tym sądził Ferdynand, nosząc się z zamiarem wstąpienia do Kościoła katolickiego? Skoro jednak przyjął konwersję, był raczej jednomyślny z dążeniami katolików, walczących o swoje prawa. Konflikt ten wnet został zażegnany i już w grudniu 1842 roku mieszkańcy Kartuz mogli uczestniczyć w uroczystej pasterce, którą odprawił młody ks. Antoni Sobotta. Zresztą Ferdynand był drugim konwertytą. Pierwszym był Fryderyk Baecker, przyjęty do gminy katolickiej w sierpniu 1843 roku. A że w pamięci prokownian te wydarzenia związane z dążeniem do samodzielności gminy katolickiej połączono z rokiem 1830, wynika raczej z pobudek patriotycznych niż historycznych. Prokowo zostało wła-

czzone do parafii kartuskiej dopiero w 1922 roku.

Jak wynika ze świadectw tamtych czasów mieszkańcy Kartuz żyli w nędzy, w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. Ksiądz biskup Sedlag, ówczesny ordynariusz diecezji, w piśmie skierowanym do władz pruskich podkreślał, że notoryczna nędza gminy katolickiej nie pozwala na utrzymanie samodzielnego duszpasterza czy zabezpieczenie budynków kościelnych, a nawet samego kościoła. Z tej to przyczyny za zgodą biskupa i władz regencyjnych w 1847 roku zdecydowano się na rozbiórkę kościoła Św. Katarzyny, aby ze sprzedanych materiałów rozbiórkowych utworzyć fundusz na urządzenie w kościele organów, chrzcielnicy i ambony. Nie brak szacunku dla zabytków byłej kartuzji dyktował takie rozwiązanie, ale nędza i głód. Podobny los spotkał zresztą wszystkie eremy, z wyjątkiem eremu P, zachowanego do dziś.

Ani Ferdynand, ani jego rodzice nie mieli własnego domu. Plan Kartuz z planem budynków i zabudowań z 1850 roku posiada spis właścicieli poszczególnych domów. Na próżno jednak szukalibyśmy wśród nich rodziny Repków. Mieszkali w najtańszych domach, przeważnie w suterrenach przy ulicy Gdańskiej czy Jeziornej. Przy ulicy Wejherowskiej, obok gmachu sądu powiatowego, stało więzienie. To tu przez długie lata spełniał obowiązki dozorca Ferdynand i tu przypuszczalnie mieszkał z rodziną. Zapewne w celu zwiększenia zarobków wyuczył się na czeladnika ciesielskiego. Był człowiekiem biednym i prostym, pozostał zawsze uczciwy, pracowity i oszczędny, jego szlachetność budziła respekt i szacunek.

Jako mieszkaniak Kartuz miał okazję pożegnać w 1850 roku ostatniego mnicha Kartuzji Kaszubskiej, o. Kazimierza Nitscha. Pochowano go po wschodniej stronie kościoła, przy krzyżu na cmentarzu zakonnym, zgodnie z regułą. Ciało ubrano w habit, przysnurowano do deski, twarz przykryto białym całunem i tak złożono do grobu. Mógł również przyjrzeć się królowi, któremu służył i był jego urzędnikiem, gdy Fryderyk Wilhelm IV odwiedził Kartuzy 6 sierpnia 1851 roku. Może wiedział o ogłoszonej przez króla amnestii politycznej w 1848 roku, dzięki której Florian Ceynowa uzyskał wolność.

Już razem ze swoją żoną Anną z domu Formela z Kartuz zapisał się w 1858 roku do konfraterni trzeźwościowej pod patronatem Najświętszej Maryi Panny. Każdy członek tej sodalicii zobowiązywał się do abstynencji od używania wódki, gorzałki, araku i rumu. Świętem patronalnym było święto Oczyszczenia NMP — 2 lutego.

Ferdynand miał czworo dzieci. Z imienia jest znany tylko Jan, urodzony w Kartuzach 5 stycznia 1857 roku. Przypuszczalnie drugi syn miał na imię Antoni.

Kiedy w listopadzie 1861 roku powstała w Kartuzach parafia p.w. Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej, Ferdynand miał już 40 lat. Pierwszym administratorem parafii był ks. Józef Grünholz. Rok później przychodzi pierwszy proboszcz ks. Jan Lugart, który w 1882 roku błogosławił małżeństwo syna Ferdynanda Jana z Pauliną z domu Wiczek, pochodzącą z Rabacina w parafii Ugoszcz. Był to pamiętny rok, w którym władze świeckie uroczystie obchodziły 500-lecie fundacji Kartuzji Kaszubskiej. Z tych czasów w parku zachował się kamienny obelisk z napisem „1382 Carthaus 1882”. Nie sądzę, aby ślub zawarto z okazji tego jubileuszu, skoro wnuk

Ferdynanda, Adolf, urodził się już 19 stycznia 1882 roku. Adolf właśnie był moim dziadkiem. Potem w rodzinie Jana przyszły jeszcze na świat dzieci: Wiktor, Bernard, Małgorzata, Anna, Helena i Paweł.

Drugim synem Ferdynanda, jak przypuszczam na podstawie zachowanego materiału w Archiwum Parafialnym, był prawdopodobnie Antoni, mistrz ciesielski z Kartuz. Jego nazwisko w spisie ławek kościelnych figuruje obok wdowy Anny Raepke. Na parapiecie okienka w dachu kościoła od strony południowo-wschodniej, w dolnym rzędzie, zachował się do dziś jego wyryty znak ciesielski „A Raepke 1881”. Kandydował też w 1890 roku na kościelnego i zakrystianina.

Jan Raepke mieszkał, jak miemam, najpierw w Burchactwie, potem przeniósł się do Kartuz, gdzie zamieszkał przy ulicy Gdańskiej. Adolf, jego syn, mieszkał w Kartuzach w suterenie domu przy ulicy Sambora. Potem przeniósł się wraz z rodziną do innego domu przy tej samej ulicy. Miał jedenaścioro dzieci, z których dwoje zmarło przedwcześnie. Wychował Paulinę, Leokadię, Jana, Brunona, Franciszka (mego ojca), Annę, Władysława, Pawła oraz Małgo-

Mój ojciec urodził się 1 czerwca 1910 roku w Kartuzach. Był malarzem pokojowym. 7 lipca 1935 roku zawarł związek małżeński z Moniką z domu Kwizdińską. Pochodziła z Szemuda, urodziła się 11 maja 1913 roku z ojca Jana i matki Marianny z domu Toporke. Byłem ich jedynym synem.

Kiedy kolejny dzień maja budził się do życia, zmarł Ferdynand Raepke. W tym dniu — 20 maja 1885 roku — zegar, odliczając czas jego ziemskiego życia, stanął o godzinie 7.30. Dla niego rozpoczęła się wieczność, do której przygotowywał się przez całe swoje biedne, ale szlachetne życie, zwłaszcza po przyjęciu konwersji.

Zmarł w wieku 64 lat. Jego syn Jan zmarł także w Kartuzach w wieku 64 lat. Adolf natomiast zmarł w Chojnicach, w szpitalu, lecząc się na płuca, w wieku 40 lat (25.10.1926). Mój ojciec Franciszek zginął bez wieści na przedpolach Charkowa, podczas kolejnej ofensywy wojsk niemieckich w sierpniu 1943 roku. Miał 33 lata.

Zanim Ferdynanda pochowano w Kartuzach na starym cmentarzu, wniesiono go do kościoła, który jakże pięknie wyglądał po odnowieniu go przez ks. proboszcza Lugarda. Prawie w niczym nie przypominał swoim wyglądem wnętrza kościoła, kiedy tu rozpoczął swoją pracę ks. Antoni Sobotta, wikariusz lokalny, a które pamiętał Ferdynand jako konwertyta, gdy przy ołtarzu głównym przyjęty został do Kościoła katolickiego. W tym kościele, gdzie karcił się Chlebem życia, gdzie zawarł związek małżeński i chrzcili swoje dzieci, gdzie brał udział w uroczystościach rodzinnych i kościelnych, gdzie słuchał kazań, w tym kościele w końcu pożegnał się z rodziną, aby spotykać się z tymi, którzy przyjdą po nim, jako jego potomkowie.

Kiedy w lutym 1959 roku przyjąłem święcenia kapłańskie z rąk księdza biskupa Kazimierza Józefa Kowalskiego w tym właśnie kościele poklasztornym, moja droga życia skrzyżowała się z drogą mojego pradziadka Ferdynanda, przy tym samym ołtarzu, przy którym podjęliśmy służbę Bogu w sposób uroczysty i szczególny. Takie drogi nie mają początku ani końca. Na nich odbywają się ludzkie spotkania, które są przechodzeniem z domu w dom. ■

GMINA KOCZAŁA

i GMINA KOLBUDY

Marek Łałoszek

Koczała została zaliczona do grupy gmin warstwy II, jako położona częściowo na obszarze dialektów kaszubskich. Administracyjnie usytuowana jest w województwie śluskim, na terytorium, które przed wojną nie należało do państwa polskiego; geograficznie w części zachodnio-południowej Kaszub. Jest to jedna z gmin najdalej obecnie, obok Miastka, wysunięta na zachód Kaszub. Natomiast Kolbudy położone są poza obszarem dialektów kaszubskich, należą, obok charakteryzowanych już wcześniej Człuchowa i Gniewina, do warstwy IV — a zatem do miejscowości, które wytypowane zostały do badań kontrolnych jako te, które leżą w bezpośrednim sąsiedztwie kaszubszczyzny, w tym przypadku na wschód od niej, bliżej części północnej. Przed wojną Kolbudy wchodziły w obręb Wolnego Miasta Gdańska, obecnie leżą w pobliżu granic administracyjnych Gdańska.

W gminie Koczała odesłano tylko 30 proc. ankiet (podobnie mało jak w czerskim). W gminie Kolbudy 44 proc., czyli w granicach normy.

Pomorzanie starej i świeżej daty

Gmina Koczała to tzw. „ziemie nowe”, zasiedlane po wojnie w ramach wymiany ludności. Badanie rodowodu rodziców ankietowanych pokazuje, z jakich terytoriów przybyli. Generalnie migrantów można podzielić na dwie grupy: osadników z innych części Polski oraz osoby z innych części regionu pomorskiego — z trzech interesujących nas województw: gdańskiego, śluskiego, bydgoskiego. Wśród osadników, obok pionierów (używając ówczesnej zabarwionej ideologicznie terminologii), czyli osób zabarwiających w nieznane, aby „zdobyć te ziemie” dla siebie i dla Polski zarazem, znalazła się także zbiorowość, która przybyła tu nie z własnej woli, lecz w ramach za-

siedlenia w wyniku akcji „W”. Te fakty znajdowały uzewnętrznienie zwłaszcza w wypowiedziach osób pełniących funkcje urzędowe w gminie, natomiast nie odzwierciedliły się w wypowiedziach ankietowanych. Być może to prawda, iż starsi „Ukraińcy” (i autochtoni) nie mówią nawet po polsku, stąd wynika takie zniekształcenie, teoretycznie jest to możliwe. Także przypadki identyfikacji rosyjskiej, z którą zetknąłem się, mogą stanowić zakamuflowaną lub nieświadomą formę zastępczą deklaracji narodowościowej. Określając bliżej pod względem pochodzenia tę niejednorodną zbiorowość przybyszów można powiedzieć tylko tyle, że legitymują się oni przeważnie miejscem urodzenia w rzeszowskim, białostockim lub na Kresach Wschodnich, rzadziej w Polsce centralnej.

Do autochtonów zaliczamy zarówno osoby urodzone w części kaszubskiej województwa bydgoskiego (n. Ostrowite), jak też w gminach i miejscowościach na tzw. Ziemiach Odzyskanych — w Miastku, Koczale czy Wierzchucinie. Ta ostatnia podgrupa w gminie Koczała obejmuje 2/3 badanych autochtonów. Należy też odnotować, że wśród Pomorzan z urodzenia nie było identyfikacji z powoływaniem się na pochodzenie niemieckie rodziców. Natomiast z rozmów w gminie dowiadywałem się, że Niemcy (z ówczesnej RFN) chętnie zawierają małżeństwa z autochtonami, co mogłoby świadczyć o pewnych jednak wpływach niemieckich.

W gminie Koczała (podobnie jak w człuchowskim) przeważały nieznacznie osoby pochodzenia niepomorskiego — 57 proc. Nie ma więc jakiegś zasadniczej dysproporcji między ludnością napływową a rodzimą, na niekorzyść tej drugiej, a tym bardziej nie wystąpiło tu zjawisko tzw. zasiedlenia na „surowym korzeniu”, to jest w sytuacji całkowitego braku autochtonów (Z. Dulczewski, „Przemiany społeczne na Ziemiach Zachodnich”, Poznań 1967).

W gminie Kolbudy pomorska proveniencja rodziców badanych jest bardziej zdecydowana — 2/3 wszystkich osób. Także ich wędrówka bierze początek z innej niż w Koczale części regionu. Najwięcej osób wywodzi się z gminy Kartusy, następnie w mniejszym stopniu z wejherowskiego oraz kilku jeszcze gmin województwa gdańskiego: Lini, Kościerzyny i Dziemian, a spoza gmin kaszubskich z Nowej Karczmy i Przywidza. Mamy tu też nierzadko rodowód miejscowy — kolbudzki, a zwłaszcza gdański. Wśród przybyszów z innych regionów najliczniejszą grupę stanowią kresowiaci (ok. 1/4) z Lwowa, Wilna i Borysławia, nieco wyraźniej też zaznaczyli swoją obecność osadnicy z kieleckiego; do pojedynczych natomiast należą przypadki migracji z ciechanowskiego, toruńskiego czy olsztyńskiego.

W pokoleniu badanych w Koczale i w Kolbudach przybysze z innych regionów stanowią już niewielki margines (14–15 proc.). W gminie Koczała zdecydowana większość mieszkańców urodziła się w obszarze dialektów kaszubskich, w trzech pobliskich gminach: Miastku, Przechlewie i Lipnicy, w Kolbudach zaś przeważają gdańszczanie. Zarówno w Koczale jak i w Kolbudach uderza niewielki odsetek mieszkańców urodzonych w obu gminach.

W obu gminach zdecydowanie dominują już osoby urodzone na Pomorzu. W gminie Koczała poprzednie pokolenie często legitymowało się pochodzeniem niepomorskim. Procesowi autochtonizacji uległa dopiero obecna generacja. Natomiast w gminie Kolbudy za-

siedziałością dwupokoleniową legitymuje się większość mieszkańców, część z nich pochodzi z tych terenów Pomorza, które chociaż znajdują się w bezpośredniej bliskości obszaru dialektów kaszubskich, to jednak formalnie do niego nie należą.

Niska obecność Kaszubów na południowym zachodzie

W gminie Koczała nie ma w ogóle osób, które identyfikują się jako Kaszubi, a tym bardziej spełniałyby warunki zaliczenia do grupy etnicznej w świetle syndromu kaszubskiego. Okazało się, że tylko 14 proc. ankietowanych pochodzi z rodzin kaszubskich, znamiennie jest przy tym, że 1/5 wszystkich mieszkańców gminy deklarujących się jako pół-Kaszubi legitymuje się jednak rodowodem czysto kaszubskim. Ponadto, wcale nie ma odsetek osób — aż 40 proc. — rozumie mowę kaszubską, choć posługuje się nią rzadko. Uwzględniając te fakty nasuwa się przypuszczenie, iż wpływy kaszubskie dawniej były tu silniejsze, a obecnie kurczą się, czego świadectwem może być zanikanie posługiwania się językiem kaszubskim w pokoleniu dzieci — 80 proc. nie zna go w ogóle.

Dominująca zbiorowość nie-Kaszubów — 80 proc. — na ogół określa bliżej swoją przynależność regionalną. Uderza zjawisko, zaobserwowane już w człuchowskim, deklarowania przez tę grupę związków z Pomorzem — 50 proc., wśród pozostałych wyodrębniła się wyraźnie kategoria „Polaków” i Rosjan (przypuszczalnie Ukraińców). Pomorzanie „świeżej” daty mają więc potrzebę wyraźniejszej identyfikacji regionalnej niż Pomorzanie zasiedziali, np. w województwie bydgoskim.

Gmina Koczała i omawiane już Czarna Dąbrówka oraz Cewice należą do tej samej kategorii gmin — zdecydowanie większa część ich terytorium leży poza obszarem dialektów kaszubskich — a mimo to gminy te różnią się znacznie odsetkami zamieszkujących je Kaszubów — w Czarniej Dąbrówce Kaszubi stanowią 80 proc., w Cewicach 64 proc. Wydaje się, że można to tłumaczyć czynnikiem zasiedziałości etnicznej i uwarunkowaniami kulturowymi. Gminy Czarna Dąbrówka i Cewice usytuowane są między Bytowem a Lęborkiem — terytorium tradycyjnie kaszubskim. Natomiast Koczała leży w jakimś sensie na peryferiach kaszubszczyzny, gdzie ekspansja żywiołu kaszubskiego była już znacznie słabsza.

Kolbudy — między Kaszubami a Gdańskiem

Kaszubi i pół-Kaszubi stanowią łącznie około 42 proc. mieszkańców gminy, przy czym przeważają ci ostatni (25 proc.). Jeśli jednak zważyć, że 1/3 pół-Kaszubów pochodzi z rodzin czysto kaszubskich, to proporcje te wyrównują się. Można tak przyjąć tym bardziej, że w świetle innych jeszcze kryteriów obiektywnych odsetek Kaszubów wzrasta kosztem pół-Kaszubów (25 proc. i 19 proc.) Ogólnie biorąc 31 proc. osób pochodzi z rodzin kaszubskich lub z dominantą kaszubską, 50 proc. z rodzin niekaszubskich, resztę stanowią osoby o rodowodzie mieszanym.

W poprzednim pokoleniu utrzymywały się więc jeszcze bariery kulturowe w zawieraniu małżeństw, choć mogły temu sprzyjać różne okoliczności życiowe. Natomiast w pokoleniu obecnym nie ma w ogóle czystych małżeństw kaszubskich, wszystkie zarejestro-

wane w badaniach mają charakter wyłącznie mieszany.

Tylko 1/2 nie-Kaszubów określiła bliżej swoją przynależność regionalną. Większość zadeklarowała się jako gdańszczanie. Jak się zdaje w rachubę wchodzić dwie różne okoliczności w przypadku takich auto-identyfikacji. Dla jednych ważny jest fakt z przeszłości, że Kolbudy wchodziły w obręb „Wielkiego Gdańska”, inni zaś to po prostu gdańszczanie, którzy tu się wybudowali i zamieszkali.

Porównanie Kolbud z Gniewinem, gminą o tym samym statusie terytorialnym (na użytek badań), sugeruje, że w Kolbudach wpływy kaszubskie są wyraźnie mniejsze. Należy też odnotować brak identyfikacji kociewskich. Gmina znajduje się w zasięgu oddziaływania Gdańska i to może mieć wpływ na identyfikację mieszkańców Kolbud i ich aspiracje.

Język kaszubski w bliskim sąsiedztwie Gdańska

Blisko 1/4 mieszkańców gminy Kolbudy nie tylko zna język kaszubski, ale także posługuje się nim we wzajemnych kontaktach, w tym 16 proc. ankietowanych zadeklarowało, że używa go stale lub często. Zasięg wpływu języka kaszubskiego poza północno-wschodnie krańce kaszubszczyzny można więc uznać za stosunkowo duży, skoro tylko 1/3 osób nie rozumie mowy kaszubskiej w ogóle. Pozostali wykazują się rozumieniem języka kaszubskiego w różnym stopniu, pozostając tym samym w kręgu jego oddziaływania. Także znajomość czytania jest widoczna — deklaruje ją 32 proc. badanych. W pokoleniu dzieci występuje zjawisko odchodzenia od języka kaszubskiego. Tylko 10 proc. dzieci zna go i używa często, aż 70 proc. nie zna w ogóle; są wśród nich także osoby z rodzin pół-kaszubskich.

Badani o ludności kaszubskiej

86 proc. mieszkańców gminy Koczała i 75 proc. gminy Kolbudy wypowiedziało się na temat ludności kaszubskiej i problemów poruszanych w ankiecie.

A oto wypowiedzi mieszkańców gminy Koczała: „Nie przywiązuję większej wagi do tego, bo mieszkam w tym regionie, gdzie jest bardzo mało Kaszubów, a w młodym pokoleniu, które urodzone jest na Kaszubach i choć są z ojca i matki Kaszubami, zanika mowa kaszubska” (PK, nr 1038, M, 29 l., wyksz. niepełne średnie).

„Uważam, że Kaszubi to ludzie gościnni, są zżyci z sobą, tworzą grupki ludzi pomagających sobie nawzajem. Potrafią być również wredni i zarozumiali. Kobiety są pracowite, domatorki, dobrze gotują, dbają o rodzinę i dom” (P. nr 1041, K. 35 l., wyksz. średnie).

„O ankiecie nie mam wyrobionego zdania. Ludność kaszubska traktowana jest w naszym środowisku z pewną obojętnością. Nie wyróżnia się niczym szczególnym. Brak wyraźnych oznak kultywowania tradycji (zbyt mała liczebność, dużo ludności napływowej itd.), w moim odczuciu to przyczyna tego stanu rzeczy. W potocznej opinii Kaszubi traktowani są jako naród twardy, pracowity, zawzięty” (NK, nr 1043, M, wyksz. wyższe).

„Ludność kaszubska jest gościnna, serdeczna, niesie

pomoc innym, gdy zachodzi taka potrzeba. Problemy poruszone w ankiecie umożliwiają naukowcom szersze poznanie ludności kaszubskiej” (Rosjanka, nr 1039, K, 52 l., wyksz. podst.).

Przytaczamy z kolei wypowiedzi mieszkańców gminy Kolbudy:

„Ludzie pracowici, potrafiący się jednoczyć w trudnych sytuacjach kraju. W obecnej sytuacji starają się żyć odrębnie. Np. związki małżeńskie z nie-Kaszubami są źle widziane. Powód — nie wiem. Posiadają tzw. kompleks niższości. W rozmowach prywatnych uważają się za Kaszubów a nie za Polaków czy Niemców, chociaż znają te dwa języki. Dotyczy to ludzi starszych. Pracują w okolicach Kartuz, Żukowa, Przywidza, Kolbud, Starogardu, Pruszcza, Sobieszewa (w ciągu całego roku). Znając tak region pozwolę sobie na kilka uwag. Ludzie starsi z tzw. centrum, np. Kartuz szczytą się swoim pochodzeniem. Młodzi reagują negatywnie — wstydzą się, że są Kaszubami (oczywiście nie wszyscy). Dotyczy to np. ludności mieszkających bliżej Gdańska czy Bydgoszczy. Chcą „wymazać” swoje pochodzenie (np. w rozmowie publicznej). W domu natomiast następuje metamorfoza. Starają się o zachowanie tradycji, ale bez ludzi »obcych«. Stwierdzam, że nienawidzą Kocięwiaków (i odwrotnie) — starają się nie kontaktować ze sobą. Ludzie wykształceni swoje pochodzenie traktują obojętnie. Myślę, że jest to nacja, jakich w Polsce jest niewiele. Podobnie reagują ludzie na Śląsku. Starają się (Kaszubi) żyć swoim jakby życiem — nie mieszać się do spraw innych. Mój stosunek do tej nacji jest pozytywny. Niektóre ich cechy chciałbym sam posiadać, np. oszczędność, upór” (NK, nr 1278, M, 35 l., wyksz. średnie).

„Myślę, że ludność kaszubska jest bardzo z sobą związana, mają wspólne problemy i wspólnie je rozwiązują. Poza tym swój czas potrafią świetnie uzupełnić wykonując swoje prace, które są im potrzebne w życiu regionalnym. Bardzo podobają mi się kościoły, które są właśnie w kaszubskim stylu ozdobione. Byłam w Kielnie, Kartuzach, Chmielnie i jest to prześliczne. Co do tematów poruszanych w ankiecie uważam, że są słuszne i oryginalnie sformułowane, dlatego odpowiedzi moje są szczere. Piszę tak, jak to odczuwam. Uważam, że nic nie jest zmyślane, wszystko musi być autentyczne” ((NK, nr 1282, K, 28 l., wyksz. podst.).

„Według mnie ludność kaszubska jest bardzo gościnna i uczynna w pomocy dla drugiego człowieka. Problemy zaś ma każdy człowiek, bez względu na gwara, jaką się posługuje. Wydaje mi się, że jednym z problemów Kaszubów jest to, że są nielubiani” (K, nr 1292, K, ok. 25—30 l.).

Dwa wątki wydają mi się ciekawe. Jeden to wzajemne stosunki Kaszubów i Kocięwiaków; warto śledzić, czy będą na ten temat dalsze wypowiedzi przy okazji innych haseł w Alfabecie oraz jak obie te grupy będą postrzegane — w kategoriach uprzedzeń i stereotypów czy dialogu? Drugi wątek dotyczy opinii wydawałoby się sprzecznej. Na ogół z wypowiedzi o Kaszubach (zarówno ich samych, jak też nie-Kaszubów) wynika, że są gościnni i nastawieni prospołecznie, tzn. na niesienie pomocy innym, a jednocześnie nierzadko towarzyszy temu pogląd, że są nielubiani.

SZUKANIE DROGI

Jarosław Kordziński

Propagowanie idei małych ojczyzn jest jednym z głównych zagadnień, którymi należałoby się zająć na marginesie dyskusji o nowym systemie edukacji. Stąd też delegatura Kuratorium Oświaty i Wychowania w Pucku zorganizowała spotkanie dla osób zainteresowanych regionalizacją oraz problematyką wprowadzania języka kaszubskiego do szkół. W założeniu miało być to spotkanie poświęcone sposobom oraz metodom nauczania w ramach powyższych problemów. W rzeczywistości spotkanie zdominowały wypowiedzi nawiązujące do dyskusji, która od dłuższego czasu prowadzona jest na marginesie dyskusji toczonej w „Pomeranii” pod tytułem „Czy chcemy się uczyć po kaszubsku”? Ale po kolei.

Przede wszystkim uczestnicy spotkania wysłuchali interesującego referatu prof. Jerzego Tredera na temat kształtowania się literackiej odmiany kaszubskiej „rodnej mowy”. Słuchaczy, czego dała dowód późniejsza dyskusja, pobudziła do wystąpienia konkluzja wypowiedzi referenta, proponującego podjęcie działań na rzecz promowania we wszystkich rejonach Kaszub wspólnej odmiany języka kaszubskiego. Propozycja ta została potraktowana jako swoisty zamach na poszczególne odmiany kaszubskiej mowy. Co więcej padły argumenty, poparte przykładami, zarzucające zbyt polonizm mowy Kaszubów z terenów Kościerzyny czy Kartuz w przeciwieństwie do podkreślanej większej autentyczności i oryginalności mowy Kaszubów zamieszkujących chociażby tereny byłego powiatu puckiego.

Zagadnienie powyższe jest bardzo istotne zwłaszcza w kontekście propozycji (o których później) tworzenia jednolitych programów nauczania języka kaszubskiego w szkołach. Jak się bowiem okazuje, czego dowodem są liczne wypowiedzi różnych lokalnych społeczności, mieszkańcy — dajmy na to — Leśniewa czy Gnieźdźewa podważają niekiedy autentyczność pełnej kaszubskości mowy przedstawicieli — powiedzmy — Karsina czy Wiela. Prof. Treder odpowiadając na powyższe zarzuty stwierdził, iż wypowiedzi powyższe — wbrew pozorom — potwierdzają jego tezę. Odmiana ogólna dałaby bowiem wszystkim Kaszubom swoisty wspólny pomost językowy, który jednocześnie nie przeszkadzałby zachowaniu odmian języka charakterystycznych dla poszczególnych lokalnych społeczności.

Dalsza dyskusja dotyczyła skali, metod oraz zakresu wprowadzania zagadnień regionalnych do szkół. I tu również nie można mówić o jedności. Z jednej strony słuchaliśmy wypowiedzi zwolenników wprowadzania w możliwie szerokim zakresie języka kaszubskiego, z drugiej promowano raczej ograniczanie się do zagadnień typowo informacyjnych przy założeniu, iż pobudzenie zainteresowania wiedzą o ziemi i regionie w konsekwencji doprowadzi do potrzeby zapoznania się czy wręcz poznania, nauczania i porozumiewania się kaszubską mową rodzinną. Problem nie został

rozwiązany i jest to — jak można sądzić — kwestia z rzędu tych, których nie można załatwić od ręki. Przede wszystkim mamy do czynienia z bardzo zróżnicowanym środowiskiem. Gość spotkania, Witold Bobrowski — wypowiadający się swego czasu na łamach „Pomeranii” — oświadczył, iż w jego szkole zdecydowana większość rodziców odpowiedziała pozytywnie na pytanie, czy chcieliby, aby ich dzieci zostały objęte nauką języka kaszubskiego. Z kolei nauczycielka języka polskiego z Pucka, Danuta Torlińska, oświadczyła, iż zaledwie troje z jej uczniów twierdzi, że w ich rodzinach w ogóle mówi się po kaszubsku. Stąd pojawiła się koncepcja, by wśród tych uczniów wędrowkę ku kaszëbniźnie rozpocząć od szeroko pojętego szerzenia wiedzy o regionie, w trakcie którego — choćby wskutek użytkowania oryginalnych nazw własnych oraz dzięki bezpośredniemu kontaktowi z osobami biegle na co dzień posługującymi się językiem — tak czy inaczej dojdzie się do obcowania, a być może z czasem i zafascynowania oraz posługiwania się rodną mową.

Na marginesie powyższej dyskusji wielu nauczycieli podnosiło istotny problem braku konkretnych materiałów oraz gotowych wskazówek dotyczących treści, a także zakresu wiedzy możliwej do przekazania uczniom w ramach poszczególnych zajęć. Argument o możliwości opracowywania autorskich programów regionalnych nie został na ogół przyjęty zbyt pozytywnie. W większości wyrażano potrzebę opracowywania wspólnej propozycji dla wszystkich. Przy okazji potwierdzono raz jeszcze potrzebę zorganizowania ośrodka metodycznego (na bazie Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego czy Uniwersytetu Gdańskiego), który nie tylko mógłby przygotowywać konkretne propozycje, ale także służyć doradztwem nauczycielom potrzebującym pomocy.

Spotkanie, w którego ramach poruszono ponadto inne zagadnienia, odzwierciedliło w znacznym stopniu różnorodność poglądów i opcji, jakie można obserwować śledząc bardzo żywą ostatnio dyskusję na temat rozumienia problematyki regionów i regionalizacji w ogóle, a kwestii regionu kaszubskiego w szczególności. Zastanawiające, iż dwie uczestniczkę spotkania, deklarujące pełną akceptację oraz wręcz zauroczenie Kaszubami w pierwszych słowach swoich wypowiedzi bardzo mocno podkreślały, że nie są rdzennymi Kaszubkami. Co więcej, z wypowiedzi obu pań wynikało, iż obawiają się nieco, że pomimo ich woli pracy na rzecz kaszubskiej sprawy, są — czy mogą być — traktowane jako istoty obce, a w konsekwencji... zbędne. Jest to temat do zastanowienia. Może warto i nie-Kaszubom ułatwić, w ramach maksymalnie szerokiego promowania idei kaszubskiej małej ojczyzny, pełne zaistnienie na tej ziemi i w środowisku. Choćby dlatego, by za jakiś czas, jeśli nie oni sami, to przynajmniej ich dzieci mogły bez żadnych zastrzeżeń deklarować oraz podkreślać pełną przynależność do naszej kaszubskiej ziemi. ■

STOLEMY 1991



Fot. Edmund Kamiński

Karno stolemowców powiększyli w tym roku Stanisław Janke i zespół socjologów gdańskich pod przewodnictwem Marka Latosza.

Stanisław Janke, nasz kolega redakcyjny, swoimi dokonaniem literackimi (poezja, powieść „Łiskawica”, sztuki teatralne) wpisał się w historię literatury kaszubskiej. Z kolei zespół socjologów — Henryk Galus, Janusz Iskierski, Marek Latoszek, Olgierd Sochacki i Brunon Synak — stworzył „dzieło doprawdy imponujące” — monografię „Kaszuby”.

Podczas uroczystości wręczenia medali w Ratuszu Staromiejskim 5 kwietnia laureatów przywitał w imieniu Zarządu Głównego ZK-P wiceprezes Stanisław Pestka mówiąc, iż: „Kraślóczk ze Stolemową odłabą dostół się męstrom słowa — uczalęgo ę kuśsztownego”.

Dregō bēlobē nolēz pasowniejsze rzekniēc, jak to, chtērnie Homer nawtōrzōł: »są zēmie złotorodne ę słoworodne«. Naji kaszēbscie Juszczi nie rodzą złota. Przecę są bokadnē w kruszc słowa, chtērnie stwōrzō dzēl bēcigo, rozmajitēch lēdzciēch zachowaniōw. Jaciē poprōwdzē są tē codniowē postēpczi, karnowē zwēcie, udbē, calēchnō swiāda Kaszēbōw — od gzubōw wēsziēch z bibiōnci do starkōw? Terazny człowiek, wnetka rozprzeniosły w zōtorach żēwota, szēkō samēgo se, chce bēc na podobē tēsacōw jēmu blisziēch, a zarōzku chce, żēbē bēc apartnēm.

Uczali socjologowie nōjbēlniēj wiēdzą, że tożsamosc mō niejedno miōno ę niejedną skarń. Biwō, że je cwiardō nibē kam abo piechnō ciējbe sēchy piōsk. Colemanō ukōziwō sę na sztōłt zōdziērdzi, chtērnanō-

lęgō rozmachtac. Dokōzē tēj mēsternēj robotē możēmē nalēz w artiklaach, usōdzkach żēwigo słowa, w ksegach naji utwōrcōw. Nōjwōrtniējszē je wiēg to, że możēmē sę przēzdrzec sobie ę Kaszēbom w slēcēdle socjologii.

Słowo uczalē ę słowo kuśsztownē... Dwa skrzydła muszēbne do wēlecanigo na wēsocżēznę. Pōrē lēnij-kōw wiērszta Staszka Janke ę czējēmē cichniēc tājēmnotē:

W cēmny kulē swiata
pōli sę odziń
a mōli człowiek
podklōdō zeschli wiētwie
na sztērk skrē udajā gwioźdzē

Przepadniō czasu ę maniewidny mērgot lēdzciēch zgrōwōw. Szlachowanie prōcēmnosćōw je sēlā bēlnēj poezji. Jēsż rōz potwiērdzō sę prōwdā, że w dēszech taciēch utwōrcōw jak Staszek Janke, Edk Puzdrowsci, Krystyna Muza, Jan Drzeżdżon zōli sę odziń, chtērēn je tēj sōmēj nōtērē, co gwioźdzē. Tēmu tēż wkōł nōs je corōz wiēkszy szplach widnicē, ceplēznē ę bēlnotē”.

Sylwetki laureatów przedstawili Rafał Słomiński i Eugeniusz Pryczkowski. Medale wręczyła Justyna Treder, prezes „Pomorani”, a do grona stolemowców przyjął laureatów Jerzy Treder.

W części artystycznej wystąpił Zespół Pieśni i Tańca „Niezabudzi” ze Szkoły Podstawowej w Stężycy oraz Aleksandra Kucharska-Szefer, która śpiewała pieśni Jana Trepczyka przy akompaniamencie Witosławy Frankowskiej.

DZIEŁO DOPRAWDY IMPONUJĄCE

Rafał Słomiński

Badania nad Kaszubami zaowocowały w swej ponad stuletniej historii wieloma pracami. Bogaty jest ich dorobek, gdy idzie o językoznawstwo, etnografię czy historię. Natomiast od strony socjologii kaszubszczyzna pozostawała tematem mało zbadanym. Właściwie od bez mała stu lat, kiedy to Stefan Ramułt wydał swą „Statystykę ludności kaszubskiej”, brak nam było opracowania ściśle socjologicznego dotyczącego całości Kaszub. Zrodziło to konkretne zapotrzebowanie społeczne, szczególnie silnie artykułowane przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Brak takiego opracowania wynikał w głównej mierze z ograniczeń narzuconych polityką państwa. Narastający w latach 80. kryzys systemu władzy sprawił, iż pomijane dotąd milczeniem problemy społeczności lokalnych mogły wreszcie znaleźć swoje odbicie w opracowaniach naukowych. Pomysł opracowania socjologicznych problemów kaszubszczyzny narodził się w gronie osób należących do Komisji Socjologicznej GTN. Dzięki kontaktom prof. Marka Latoszką z prof. Kazimierzem Sową idea gdańszczan mogła zostać zrealizowana w ramach Centralnego Programu Badań Podstawowych, co pozwoliło przezwyciężyć szereg trudności, głównie finansowych i administracyjnych. Praca w ramach CPBP wiązała się jednakże z próbą narzucenia tematyki wiążącej się bardziej z problemami ekonomiczno-politycznymi niż zagadnieniami podstawowymi dla społeczności kaszubskiej. Docenić tu należy upór i konsekwencję autorów, którzy potrafili przeformułować swoją koncepcję pracy, która wynikała m.in. z zainteresowań badawczych problematyką kaszubską (tu trzeba dodać, iż autorzy działają w strukturach ZK-P). Niektórych autorów łączyły również wspólne problemy badawcze, np. badania nad Sierpniem 80.

Monografia składa się z 6 rozdziałów obejmujących zagadnienia istotne dla całej naszej społeczności. Pierwszy omawia status Kaszubów jako grupy etnicznej, w drugim przedstawiono wyniki badań liczebności i lokalizacji ludności kaszubskiej, trzeci traktuje o przekazie międzypokoleniowym, czwarty odpowiada na pytanie: „Jak sami Kaszubi określają swoją tożsamość”. Piąty rozdział to spojrzenie na tożsamość, więzi i język Kaszubów poprzez analizę społeczności regionu puckiego. Ostatni jest próbą charakterystyki mieszkańców jednej tylko miejscowości — Helu. Monografia powstała w oparciu o wyniki badań przeprowadzonych w latach 1986—89. W tym okresie laureaci przejechali całe Kaszuby, przeprowadzili wiele wywiadów i ankiet, z których wyłonił się klarowny obraz społeczności kaszubskiej. Co ważniejsze i cennie — społeczności kaszubskiej dzisiaj.

Nie miejsce tu na analizę całej pracy. Podam tylko podstawowe jej wartości. Najpierw więc twierdzenie, że Kaszubi, jako grupa etniczna, są najliczniejsi w Polsce (wynika z tego ogromny potencjał możliwości stojących przed naszą społecznością). Obok tego dostrzeżenie rysującej się przewagi autoidentyfikacji nad językowym wyróżnikiem etniczności. Auto-

rzy dostrzegają zagrożenia stojące przed Kaszubami. Zanik znajomości języka, przerwanie ciągłości przekazu tradycji międzypokoleniowej — to tylko niektóre z nich. Czas, w jakim przyszło autorom prowadzić badania i opracowywać wyniki, był okresem burzenia struktur centralistycznych i zainteresowania społecznościami lokalnymi. Tym większą zasługą autorów jest tworzenie dzieła, które nie tylko nie zdezaktualizuje się w nowej rzeczywistości kraju i regionu, ale dodatkowo stanowi opis społeczeństwa Kaszub w przededniu nowego etapu jego dziejów. Opis jednocześnie pozwalający określić stan obecny, jak i prognozować na przyszłość. Niech tę z konieczności bardzo pobieżną ocenę zakończy opinia wybitnego historyka (także „Stolemowca”) Gerarda Labudy, który stwierdził, że ta „książka jest dziełem doprawdy imponującym”. Myślę też, że ocenę tę potwierdzą opinie osób bardziej ode mnie kompetentnych.

Miejmy nadzieję, że badania zaowocują dalszymi pracami. Uzyskana bowiem w trakcie badań część materiałów nie wykorzystanych w monografii stać ma się, co planują autorzy, podstawą dalszych opracowań.

Naukowe zainteresowanie społecznością kaszubską laureatów nie było i nie jest chwilowe, znane jest choćby z łamów „Pomeranii”. Można by tylko życzyć sobie, aby zaowocowało kolejnym wspólnym tak udanym dziełem. Impulsem do ponownej, zespołowej pracy niech stanie się ta dzisiejsza uroczystość. Pozostając z tą nadzieją pragniemy życzyć wszystkiego najlepszego i jednocześnie raz jeszcze podziękować za ogromną pracę na rzecz kaszubszczyzny. Niechaj medal z wizerunkiem kaszubskiego olbrzyma będzie tego wyrazem.

BEZ KASZĘB NI MOŻE ŻĘC

Eugeniusz Pryczkowski

W 1976 roku ZK-P ogłosiło lëteracczi konkurs. Wstrzód laureatów nalôżł sę dwadzeslatny Stanisław Janke z Lëpusza kole Koscërzne. Rok późni „Pomeranji” drëkowa ju jego wiërtë, a jész późni — powiëstczë.

Te wiërtë o żëcym wsë, bogatôsą osoblëwich domôcëch rzeklënow i frazeologizmów, odmikalë baro rësną wëspółprôcë z cządnikë kaszëbszczim. Warô ona do dzys dnia. Od czasu pierwszich drëków w „Pomeranji” do dzys je ju wëdony cizlës jego ksążkôw: to je wiërtë dlô dzeczy „Żużônka jak mrzônka” (1984), poëzjowë zbôrniczczë „Ja niei jem motëlnikem” (1983) i „Kol kuńca wieku” (1990) i pierwszą po



Fot. Edmund Kamiński

Aleksandrze Majkowsczim kaszëbskô brawëda — „Łiskawica” (1989).

Jak wezdrza darga Stanisłowa Jankego — poetë, pisôrza publicistë, do kaszëbjiznë?

On sôm za przelom swôjôgo żëcégo uznôwô rôczbë na konkurs „Ludowe Talenty”. Wtenczas, jakno szesnôstolatny bëniel szlachowôł na bëlnôgo rzezbiôrza. Zëndzenië z żëwâ kaszëbiznâ, nië le zaklëtâ w domôcëch swiãtkach i obrôzkach na szkle, podkôrbiło go do przezdrzeniô ksążków lëpuszci biblioteczë. Z polecë wzał „Żëcë i przigodë Remusa” A. Majkowscziëgo. Kôzdi zagwësny, że nie je to nôlżészô lektura dlô pierszińca. Nen wibôr miôł tész swoje znaczenië dlô przinđnego autora „Łiskawicë”.

Stanisłôw Janke jakno gazëtnik docérô do rozmajitëch nôrtów regionu, odwiedziwô osoblëwë place, rozpowiôdô z lëdzama. Jego artiklë w „Gazëce Gduńszczy”, „Pomeranji” czë „Pielgrzimie” tikają dzysdniowë sprawë i problemë Kaszëb i Pomorzëgo. Pamiëtô tész wiedno o twôrcach naj kulturë. W slëdnym czasie „Arkun” wëdôł cykl reportaży Stanisłowa Jankego, Edmunda Szczesiaka „Kolce syberyjskiej rózy”.

Niloni ukôza së „Łiskawica”. Powiesc ta pokôzywô codniowë żëcë Kaszëbów. Czë mdze ona drżëniem kole jacziëgo nacznie së lepszi czas dlô kaszëbszczi lëteraturë?

Zagwës poetëcczi, pisarszczi i publicysticznij dobëtk latosëgo Laureata Medalu Stolema je bëlnym wkładë do ji lepszëgo rozkoscerzniô. Jak no on sôm przed czilenôsce latama dozdrzôł i przebôczil w zborniku „Kol kuńca wieku” — bez Kaszëb ni moze żëc. ■

Stanisław Janke

JESZ JEDEN DZÉN

Jesz jeden dzén trący pajiczënowâ noc
a ta zadrëzi letko
nëcącym puchem zaczarzi së
midze gwiondzama rozcygniëtô
gdze wid z czôrnâ dzurâ
potkô së na tajemnëch wrëjach

Jesz jedno snicë jak pijanô biëda
ze skrzydlów strący
zelonkawoszari pich mgławicë
na granicach czasë i wiecznoscë
zakrący së ze mnâ
w jasnosc przëndze

DALEK

Spik owele kładze
człowieka na szerokâ równiznë
z umarlim słońcem
jesmë w obrazach
żëjemë w nich
ale równak dalek od se
bez wolny wolë

DO BIŁŁÉGO RENA

Zemia wkôł słońca
a jô kol smiercë së krącë
nen tuńc drësze
je pozwóny żëcym
podskoczë w redosc
ze smëtëm së obrôcë
rôz dwa rôz dwa
poniedzôłk i znôwa niedzela
na piëknë dzewczë wezdrzë
do nieba jeden krok
macerzônka pôchnie jak noc
muzyka dziejów marsze graje
a mie jesz serce bije
rôz dwa tradiridilala

A RÓWNAK

A równak znôu reno
Znôu odecknienië
bëło snicë jak niebëcë
hewo jesz rôz
żëcë z mësłâ wzeszłô
z dzywnëgo kraju
nië z ti zemi

CZY CHCEMY SIĘ UCZYĆ PO KASZUBSKU?

Mieszkam w Łączyńskiej Hucie. Do szkoły chodzę w Borzestowie. W mojej wsi prawie wszyscy mówią po kaszubsku, w Borzestowie też. W szkole mówimy po kaszubsku jedynie na lekcjach pokazowych o Kaszubach. Co roku w szkole odbywa się jeszcze tylko konkurs „Wiedzy o Kaszubach”.

W naszej szkole nie ma nauczycieli, którzy by uczyli języka kaszubskiego. Gdyby była taka możliwość, na pewno uczyłabym się go. Wspólnie z koleżankami i kolegami chodziłabym na dodatkowe lekcje mowy kaszubskiej. Wokół mnie obracają się ludzie starsi, którzy posługują się językiem kaszubskim na co dzień i ja chciałabym ich rozumieć i rozmawiać z nimi w tym języku. A poza tym mieszkam na Kaszubach, więc powinienam język kaszubski znać.

Joanna Lewna
kl. IV

Dla mnie odpowiedź na główne pytanie ankiety jest oczywista — chcę, aby moje dziecko uczyło się języka kaszubskiego i sam żałuję, że takiej możliwości nie miałem. Myślę też, że podobne opinie są dominujące w kręgu Zrzeszenia. Problemy zaczynają się wraz z wyjściem poza ten krąg. Przede wszystkim pada pytanie — czy warto? I dla wielu ma ono wymiar czysto utylitarny, tzn. czy się opłaci? Odpowiedzi typu promocja języka czy ochrona dziedzictwa kulturowego są, niestety, często nieczytelne i wcale nie oczywiste.

Ekspansji kaszubszczyzny w szkole stoją też na przeszkodzie bariery organizacyjne, merytoryczne i przede wszystkim kadrowe. A kadry są najważniejsze. Sytuacja szkół i nauczycieli jest bardzo trudna i wielu z nich nie zamierza obciążać się dodatkowymi obowiązkami. Tymczasem zły nauczyciel i nieciekawym programem potrafią zniechęcić nawet największych entuzjastów i pogrzebać całą sprawę na wiele lat.

Przy wprowadzaniu kaszubszczyzny do szkół powinniśmy wykorzystywać wszelkie dostępne metody i okazje oraz czerpać z doświadczeń zachodnich, choć pewnie nieprędko dogonimy Wielką Brytanię, gdzie dzieci w walijskich szkołach układają programy komputerowe specjalnie dla języka walijskiego. Tam, gdzie są odpowiednie warunki i przyzwolenie społeczne, powinno się tworzyć szkoły lub choćby klasy kaszubskie (nie mówiąc już o lektoratach języka). Nie trzeba się bać nauki po kaszubsku. W wielu środowiskach jest to ciągle pierwszy i najbliższy język dzieci i nauka w nim nie powinna opóźniać ich rozwoju. Pamiętamy też o tym, że istniały i istnieją na świecie szkoły, w których naukę rozpoczyna się i kontynuuje w języku obcym, innym niż język rodzimy dzieci (proponuję zajrzeć choćby do autobiograficznych powieści Eliasa Canettiego). Tam zaś, gdzie warunki są mniej sprzyjające, np. przy dużym wymieszaniu ludności i znaczącym procencie małżeństw mieszanych, należałoby wyjść od propagowania kultury i języka przede wszystkim wśród młodzieży. Sam w czasie spotkań z uczniami szkół średnich Bytowa zauważyłem, że tematyka kaszubska jest bardzo ciepło przyjmowana. Młodzi ludzie odkrywali, że przynależą do społeczności kaszubskiej, lub że są z nią bardzo silnie związani. Okazywało się, że odmienność wcale nie musi być wadą, skazą, ale wręcz przeciwnie — może być czymś ważnym, cennym.

Z pewnością upłynie jednak wiele czasu zanim kaszubszczyzna na dobre zadamowi się w szkołach. Trzeba wykonać wielką pracę — przygotować kadry, podręczniki, programy, zachęcić rodziców i młodzież; również przełamać niechęć niektórych środowisk, które już dziś kłuje w oczy coraz szersza ekspansja kaszubszczyzny. Dla nas jednak nauczanie jest zbyt ważnym instrumentem przekazu kulturowego, abyśmy mogli z niego łatwo zrezygnować. Tak więc znowu „żniwo wielkie...”.

Cezary Obracht-Prondzyński

W MJONO BÒSZCZI NŌRODNI WZĚNJIK



W maju 1990 roku ukazał się pierwszy numer „Tatczëzny”, nowego pisma ukazującego się na Kaszubach. Nie był to wypadek odosobniony, bo ostatnie lata to prawdziwy renesans prasy lokalnej, który zaowocował powstaniem kilkudziesięciu nowych tytułów, w tym kilku kaszubskich. Między innymi ukazuje się „Wërwas” (organ Oddziału ZK-P w Kartuzach), „Najô Klëka” (Oddział ZK-P w Wejherowie), „Porénk” (Informator luzińskiego Oddziału ZK-P), „Vid” (ZK-P Bytów).

„Tatczëzna” mająca ambicje objęcia swym wpływem całych prawie Kaszub (pod winietą widnieją nazwy: Bytów, Kościerzyna, Kartuzy, Żukowo, Wejherowo, Puck), zdaje się zajmować wśród pozostałych czasopism miejsce wyjątkowe. Jej twórcami i redaktorami są członkowie klubu „Pomorania”. Nie jest to zresztą jedyna inicjatywa związana z założeniem własnego pisma przez członków tego klubu w ostatnich latach. Na przełomie lat 1989/1990 ukazywał się „Switk”, wydawany pod redakcją studenta Uniwersytetu Gdańskiego Rafała Słomińskiego, gdzie wypowiadali się również późniejsi twórcy „Tatczëzny”.

Do pierwszego spotkania kreującego pismo doszło w kwietniu 1990 roku w Żukowie. Jego inicjatorami byli: Jarosław Ellwart i Wojciech Etmański, studenci Politechniki Gdańskiej i Akademii Rolniczej w Olsztynie. De redagowania pisma wkrótce włączyli się: Eugeniusz Pryczkowski z PG, Mariusz Szmidka z UG, Piotr Dziekanowski z UG, Dariusz Szymikowski z KU w Lublinie, a od numeru 1/2 z 1991 roku Artur Jabłoński z UG.

Skromne było zaplecze redakcyjne — pożyczona maszyna do pisania, przygodne początkowo miejsca spotkań, brak funduszy zmuszający do samofinansowania pisma przez zespół redakcyjny. Mimo tych trudności, na zasadzie pełnej spontaniczności działań, pismo ukazało się. Wydrukowano je w Zakładzie Małej Poligrafii Henryka Leśniowskiego w Żukowie.

Idea, która przyświecała redakcji podczas organizowania pisma, miało być budowanie sprzyjającej atmosfery wokół zamierzonej organizacji Kongresu Młodych Kaszubów. Stąd też kierowane było przede wszystkim do młodszych pokoleń.

W pierwszym numerze redaktorzy próbowali określić odbiorcę pisma: „Gazetę tę adresujemy do

rdzennych mieszkańców tych ziem — Kaszubów oraz tych, dla których kaszubszczyzna może stać się czymś bliskim i drogim sercu” („Na zaczątk”).

Zawartość „Tatczëzny” to: „powtórki” z historii Kaszub, utwory literackie, mocno eksponowane porady języka kaszubskiego, gawędy kaszubskie, ekologia, porady rolniczo-ogrodnicze i kulinarne, wreszcie to, co może określić profil społeczny pisma — publicystyka. Tu właśnie „Tatczëzna” zwraca na siebie uwagę radykalnym stosunkiem jej redaktorów do problemów regionalizmu. Ujawniło się to przede wszystkim w czwartym numerze pisma w artykule ówczesnego redaktora naczelnego Jarosława Ellwarta zatytułowanym „Być Kaszubą” oraz w artykule Dariusza Szymikowskiego „Wybory 90”, zamieszczonym w numerze następnym. Można by oczywiście stwierdzić, że zaprezentowane koncepcje relacji Kaszubi — Polacy, Kaszuby — Polska, polszczyzna — kaszubszczyzna są rezultatem uczuleń powstałych w wyniku błędów popełnionych w polityce regionalnej „milionego okresu”. Nie sposób jednak nie zauważyć w owych koncepcjach afirmacji poglądów przedstawicieli młodego pokolenia, którzy już bez żadnych zahamowań próbują kształtować otaczającą ich rzeczywistość. Zdaje się to potwierdzać oświadczenie redakcji związane z planami zorganizowania I Kongresu Młodych Kaszubów, zamieszczone w 3 numerze: „Celem kongresu ma być ustalenie aktualnej sytuacji młodzieży kaszubskiej, zapatrywań młodych Kaszubów na sprawy języka kaszubskiego, jego nauki w szkołach na terenie Kaszub, zajęcie stanowiska w sprawie działalności organizacji kaszubskich (szczególnie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego) i, jeśli to będzie możliwe, opracowania programu rozwoju Kaszub i Kaszubszczyzny”. Wydrukowano też dramatyczny apel: „Kaszubszczyzna ginie na naszych oczach. Dzieci już nie mówią po kaszubsku. Jeśli boli cię to i chcesz zrobić coś, byśmy my, Kaszubi, nie dołączyli do grona wymarłych ludów słowiańskich (Obodrzyce, Łużycanie, Słowicy), skontaktuj się listownie z naszą redakcją. Czekamy na każdą parę rąk gotowych pracować dla Kaszub”. Wszystko to zdaje się wskazywać, że redaktorzy „Tatczëzny” formułują program działania swojego pokolenia, które niedługo — biorąc pod uwagę zmiany pokolenio-

we — będzie odgrywało najbardziej aktywną i kreatywną rolę w ruchu kaszubskim.

Zespół traktuje redagowanie pisma jako realizację własnych pasji i zainteresowań. Nadal korzystają z gościnności różnych osób i instytucji; ostatnio z Ogniska Pracy Pozaszkolnej w Kartuzach.

Początkowo bazę finansową stanowiły pieniądze samych inicjatorów, później dobrowolne wpłaty sympatyków i czytelników oraz wpływy ze sprzedaży nakładu i reklam. Ostatnie numery zostały w dużym stopniu sfinansowane z wpływów z rozprowadzania kasety z nagraniami gadek kaszubskich Józefa Roszmana i Romana Skwiercza, którzy prawa autorskie

scedowali na „Tatczężną”. Pismo rozprowadzają sami. Pomagają w tym oddziały ZK-P, nauczyciele (np. w Pucku), księża (np. w Sianowie i Kościerzynie). Mimo tak trudnych warunków, przy niewielkich zwrotach, udaje się rozprowadzać około 15 000 egzemplarzy nakładu, co można uznać za powodzenie.

Jak potoczą się dalsze losy pisma — trudno dzisiaj przewidzieć. Już jednak dzisiejsze dokonania można uznać za sukces, biorąc szczególnie pod uwagę fakt, że „Tatczężna” powstała spontanicznie i wydawana jest w pełni na zasadzie działań społecznych. ■

ALEKSANDER LABUDA

RECEPTA

DŁUDŻĘGO ŻĘCEGO

Każderny człowiek łączy długo żęc. Leży to głębok w lędzczu nôtêrze. Doktorzë wszëtczëch krajów i nôródów od wiele stalati së głowiã nad tim, jakbë lędzczë żęcë przedlëżëc. Wiele ju na tim spodlim zrobilë. W chorobach i chërach przestrzegają krzisëń i rozmajiti medycynë, stówiają przeróżny diagnoze i wëdôwają receptë, ale to wszëtko je za mało.

Lędzëska so normalno umiërają tak w bolëcach pod okë doktorów, jak i bez nich doma.

Tak ma dwaji, jô i Kuba, tu w Përdëgónach jëła jesma së tëlz głowic nad zagatwą dłudżięgo żęcëgo. I doszła jesma do bëlnëch wëzestów.. A hëwoż najô recepta:

Podniesë së rano z wërów i chwacë së jidrzno do robotë. Po pólni së polozë i głëbok usnij. Czej odeknieš, biëj dali do swoji robotë. Tak wej zrobisz za jednëgo dnia dwa dni i môsz swoje żęcë jész rôz tak długo przedlëżony.

Czej chcesz długo żęc, tej nie wierzë twojemu zëgarkowi, co së pozdzy, le biëj zawczasu na przëstónk autobusów. Tam czekej na spożdżony autobus na wietrze i deszczach, sniegach i mrozach. Tam so depcë i trëpcë i klëni z pocëdu swiata na taką punktualnotë autobusowi jazdë. Żdzë, wëzerej, czekej i żdzë. Tej so doznôsz, że kożdô mënuta je długô jak całô godzëna i twoje żęcë së wej bëlno przedlëżô.

Abo stojë posëbicã całëchnëma godzënama przed krómem za tańszim zortem kawë czë sztëczkiem celëczëgo miãska i żdzë podaremno, bo niczëgu së nie dozdżesz, a czas nie chce ucekac — tej so doznôsz milëchnëgo uczëwu, że żëjesz długo, barzëczko długo.

A teru le so obezdrzë tã receptã po drëdzi stronie: Nie chadej na rozgracjë, dze je muzyka i wesoło, bo tam czas za chutko lecy. Całô noc to jakbë jedna omanta. Chto së wiele bawi abo je bogatim, ten krótkëchno żëje. Bëdzë lepi biëdnym, sedzë wiedno doma i së mudzë, tej żęcë twoje bëdze dłudżë jak nosësko pucczëgo rëbôka.

Czej łączisz długo żęc —

W posëbicë le stac,

Cërplëwim muszisz bëc

I wiedno żdac i żdac.

Chcemë le so zażëc!

SZTËCZK MIãSKA

Łaszczëwi dzecko nie dostónie, le to nielaszczëwi. Dostónie bómka abo smarë, ale cos mu së wiedno ukroji.

Biangów Franck, jész malinczi knôpk, tëlz nie bëł na wszëtczim spokójny. Przë stole wëmislzôł i wiedno mu bëło cos felec.

A mëmka lëda przë stole trzôsku, le porządk i cëchoc.

— Od dzysa nie mdę te lëda, żebë przë stole jeden bez drëdziëgo wrzeszczôł: jô chcë chleba, mëmko kawë, to je za cenko posmarowóny! To së muszi skuńczëc! Kożdimu dóm jego dzël, a chto bëdze miôł za mało jô sama uzdrzë i dopilëjë.

Franek zjôł swój sztëczk chleba i żdôł za wiëcym. Mëmka së zagôda z tatkiem i na sztôł czësto w kam zabôczëła o dzecekach. Tej Franek rzekł:

— Mëmko!

— A cëlz të chcol?

— Przëndã te dzece co z głodu umrzã tëlz do nieba?

Tej mëmka së domëslëła, że Franek ni miôł nick w lewi rëce i dała mu zacht fôłt chleba.

Na pôlecko kożderny dzecko dostało talerz zupë z bulewka i malinczi sztëczk miãska od te woła, co go niewczora uchajstnëłë. Wszëtce jëdrzno jedlë, le Franek ni. Począł plakac.

— Cëlz cë je, Francku? O co tëlz płaczesz?

— Ko płaczë o te woła.

— O te woła? Ko tëlz doch môsz od te woła smaczny miãsko.

— Wedle taczëgo malincziëgo sztëczka miãska mógł ten wól jész żëc!

Tej mëmka mu dołożëła od swëgo dzëła zacht fëfel. Franck së ucëszil i jôł łaszczëwie jak wszëtcc dzeccë.

Trzeba bëc dzys Franckem,

Chitrim i kãsk krëckem,

Bo jinaczi z głodu

Umrzesz jész za młodu!

Chcemë le so zażëc!

W dziesiãtã rocznicë śmierci Aleksandra Labudy odsłonięto na domu pisarza pamiãtkowã tablicë. Informacjë o uroczystoścì zamieszczamy na s. 67.

BIÔLI KÔLP (III)

ZELONÉ MËDLO

Mëslisz të, Mariczko, że më tę Stazję dobudzimë — jô rzekl do nié — jô mëszlë ona baro cwiardo spi. A Biélawa, të wiész, jedno mërgnienié, a na czerwionô dôka zdzinie. A te të wiész, co jô mëszlë, jak ma mdzema klepa do chëczy, te to ji téz może ti dôce zmëlec. To je dalek czëc jak tak so klepie do chëczy. Nôlepi më ję zawolômë — rzekla Mariczka — ona bë ju mogla wstac.

A te më zaczęłë wolac — Stazja, Stazja. — A w oknie so da widzec rozespóno Stazja.

Cëz je? — ona so spita.

Zdrzë na Biélawë — gôdô glosno Mariczka — zdrzë na Biélawë, të wisy czerwionô dôka, më tę chcemë z Antónë jidz, poj że z nama.

Jô zôs przindë — rzekla Stazja — jô so muszë uczosac, a jaczë kurpë wëszëkac, a te jô przindë, wa le biôta, to mie powita jak to tę bëło.

Zanim ona so tę wëkolwicz — jô rzekl — ko te mdze wieczór, chcema le jidz, Mariczko. Stazja przindë, ona muszi jész nemu prôchowi dac a te może odzin w placë zrobic, to so ji zminie. A jô móm koniowi wëpónë, a krowë téz mają poscelonë, chcema le te jidz.

Mariczka nie bëła dëcht za wielgô, chtërny nó nie gôdalë tępka. Ona tak kol mie sztibolëla, a te jô so mëslól ona muszi miec dosc krótcie nodzie. Tak to nie je dëcht widzec, ale jak chce prawie chutko jidz, në te muszi nème nogamë przebierac.

Jakbë tak chto leżól na drodze a zdról pod choinkę a bë szla Mariczka, te on bë nic nie widzól. Medzë jedną nogą a drëgą nie bëło prawie zódnë rësenë, le jedno sztibolenie. Ko ona nie chca ostac slôdë, to jô so zarë merkól. Ale téz nodzie ona mia dosc grëbë za tím, jô so nawet mëslól jakbë ona so zapiarla, te ona muszëla bë miec okropną moc w tëch nogach.

Do sycenë bëło sztek, më szlë drogą, to le tak piósk priskól. Jô so tak mëslól, zëbë temë nogamë wstapic do Biélawë, to ta woda bë so rozstapila, a nie bëł bë to zóden cud, jô bë mógł lëdzom rzec, że jô to móm widzónë na swoje oczë.

Lëdze chodzą rozmajice, jedny chilają le jima tak remiona chodzą, to nôlepi je widzec na koscelny drodze. Iny zôs maszerëją jakbë jima marsza trąbiel, jô mëszlë, że ti rôd na grzëbë nie chodzą, bo tę muszi jidz pomalny. Zôs jiny baro drobolą, tak przeważnie môle bialczie, to so może nawet nasmiôc, to bë mógł rzec, że onë jidą jak kużlë. Mariczka zôs nié, ta jidze jak na moja Foska na zimku, sztiblejącë ale nie za drobno. Ona chce jakbë ze mną fardich przindz.

Jak ma tak krótko kol se szla, to mie so zdôwa, że ona jakusz dziwno woniô. Nôprzód jô tak përzne przescygnął, ona téz. A te jô dwa razë nó nię wezdrzól, a ona jakbë nic nie mërka. To mie bëło dëcht dzywno. Jô so mëszlë, diôchla rôz tu cos woniô: abo Biélawa, abo ona. Ta woniô bëła téz takô dzywnô.

To mie tak wëzdrze dosc jiferlich. Zascëgnac czësto to bë so nie da, Mariczka bë so spita në a cëz terë je lós, nie chcól të, Tónku, jidz dali. Cësz jô bë ji te rzekl, że jô ję chcë powoniac. Ale jakusz jô to muszë zrobic, jak me mdzemë sedzelë w sycenie, te to możë bëc za pozdzë, te jô poprówdze nie mdę wiedzól, skąd ta woniô jidze, z Biélawë cze z nié.

Cos jakbë to za torfë wonie, ale to tak jakbë bëłë téz kwiatë. Nié torfowë kwiatë, le te zymkowë z lasa.

Hurma psów, jô so mëszlë, nie, tak dali jidz ni mózemë, jô so muszë sadnac.

Jak jô lë blós sôdl, te Mariczka osta stojące a nó mie zdrza.

Nie jidzesz të dali, Tónku? — ona so spita.

Jô tu muszë co powoniac — jô rzekl — mie so zdaje, jakbë tu las zakwitł abo chto dze miól jacz perfum.

Mëslisz të, że jô? — ona so spita.

Ko do wiarë nikomu nic ni ma — jô rzekl, a te jô wëcygnął szję aż do ji nodzi i mocno pocknął.

Ko të to robisz jak pies — rzekla ona — wstani doch z ti drodzi a te të możesz cknąc kuli te lë blós chesiz.

Twoji nodzi są czëstë — jô rzekl — jich ni ma za niczym cknąc, może përzne wëszë.

Tak jô pockł ji czôpk a włosë. Nè te to bëło të. To bëł abo czôpk abo włosë.

Jô zarë so mëslól, że to jidzë od ce — jô rzekl — Biélawa bë tak nie wonia. Dzesz të bëła, Mariczko, że të tak woniôs? — jô so spitól. — Stazja nigdë tak nie wonia, prawie od mëdla jak ona so umëla, to bëło czësto co jinëgo.

Jô bë ce mogla nagadac, Tónku — rzekla Mariczka — të wiész, bialczie mogą wszeliaczë nagadac, ale jô ce powiem dëcht jak to bëło. Widzysz të, jô móm taczë nadzwiczajné mëdlo a jô w tím mëję moje włosë. Zanim jô wëszla, te jô ję prawie umëla. Powoniô że jész rôz.

Jô powoniôł Mariczczenë głowë, jo, to mogło bëc mëdlo.

A skądkaż të môsz to mëdlo? — jô so spitól.

To je przesłónë — rzekla Mariczka — to mie przesła na Agnes Gôjkowa, të wiész më wiedno ze sobą komplowalë, a ona je ju dôwno z Dąbrowë wëjachónô.

Jo, Agnes bëła wiedno takô swiatowô — jô rzekl — a dze ona ce prawie mëdla przësła.

Nié blós mëdlo — rzekla Mariczka — téz krëp a kalmukowë buksë, a Janowi tobaczie do zaziwanie.

Tak, tak — jô rzekl — te wa tę wiedno od nié co dostónieta, ale czemu prawie krëp, ko më doch mómë dosc krëp.

Jo, tego jô nié wiem — rzekla Mariczka — móze Agnes mëśli, że kol nas ni ma krëp.

Ale jakusz to — jô rzekl — kol nas krëp je dosc, me mózemë i Agnese poslac, czego jak czego, ale

kręp mē doch mómē. Tē muszisz ji to napisac.

Jō to ji napisa — rzekla Mariczka — terē dōwno ona ni mō nic przēslōné, jō mēsłē, że ona nie je na nas obrażōnō.

Ale dzesz — jō rzekl — Anges niē, chto jak chto, ale ona nie je obrażōnō, tego możesz bēc pewnō.

Je to różēwē mēdło? — jō so spītōl.

Niē — rzekla — to je zelōné, ale taczī zacht sztēk. Jō so nim mējē ju baro dlugo, ale jēsż nawet pōl nie zbrēkowōné.

Nawet pōl niē — jō rzekl — to muszōl bēc pōprōwdze wiēdzi sztēk mēdla. A tak w caloscy tē so, Mariczko, nie mējesz? — jō so spītōl.

Niē — ona rzekla — w calosci jō so mējē jinym mēdlē, to je blōs do włosōw, tak te to bē so za chutko wēbrēkowa.

Jō zōs jē pocł, ale terē ju tak niżi kol remiōn a kol brzēcha, ale tē nie bēło zōdnē woniē.

Te to drēdzi twoje mēdło tak nie woniō — jō rzekl.

Niē — rzekla Mariczka — to je czēsto jinē, biōlē a prawie wcale nie woniō.

Jō mēsłōl, że koždē mēdło wonia — jō rzekl — ale jō widzē, że to tak nie je, to twoje nie woniō.

Jak jō ce móm prōwdē rzec — gōda Mariczka — te jō nie lubię jak mie z dōleka je woniac, każdi te tak pocygō nosē, a jō jidē, jak jō lē blōs windz mogē. A te jō muszē szpōrowac, chto wiē czedē ta Anges mie zōs jaczī przēslē. A te ona je ju przē latach, niech ona umrze, te je po wszētczim, a dzecy ona ni mō, a te tē wiēsż dzecē jak to dzecē, tēch jō ju tak nie znajē, dzēsż jō bē tē jima pisa o mēdło.

Ko tē możesz w tim naszim włosē mēc — jō rzekl — to nie je nic lēchsze, prawie to tak nie woniō, ale jak tē gōdōsz, to każdi nie lubi tē woniē. A te czemuś ti drēdzi mają cknac, to doch nawet glupie wēdzrzi.

Jak tē tak, Tōnku, klēcżōl na drodzē, jō so mēsłēla nē dēcht jak pies.

Mie to nie da pōku — jō rzekl do niē — jō so mēsłōl mōże to Biēlawa, a mōże to tē tak woniōsz, a welē to twoje włosē od nēgo Agnesēnégo mēdla.

Mōżē mē bē szlē dali — gōda Mariczka.

Jo — jō rzekl — pudzeme zarē dali, ale powiedz mie jēsż, jak to bēło z nā Agnesā, nie wostawila ona tu jaczī mōlē. Mie so baro widzi, że to je na Truda Kortasowa, nim Kortasowie mają jē terē za swoje wztē.

Tak to bēło, Antōnku — rzekla Mariczka — a wiēsż tē z czym to bēło, ko z nym klaftownikē Nīkrantē, to doch czēsto za nim wēdzrzi, nie widzisz tē tego.

Ko to jō wiēdzō — jō rzekl — to wszētccē wiēdzēlē, on bē mōże i z niā bēl szli w nen swiat, żebē nō niego nie bēl spadłi ten wiēdzi buk. Tē pamiętōsz, oni nie chcelē nawet zarka otemknac, on tē muszōl bēc czēsto potlēki nieborōk. Tē chtoś jego grōb uprōwiō, wiēsż tē co mōże bēc na Truda. Jō nie wierzē, żebē tē so chto jiny za nim czerowōl. On le miōl jednēgo brata, a ten je ju dōwno z Dąbrowē wēcygniony. Jō ce rzękē to no Trudzeszcze tē lazi. A ten grōb je poprōwdze wiēdno fejn uprawiony. Alē jō jē tē nigdē ni móm wiđzōné. A cēsż tē mēsłisz, Mariczko, mogla bē to ona bēc?

Wiēsż tē, Anōnku, jō rōz szla tak przē dwuch widach kol smētōrza, a te mie so zdōwa, jakbē ona tē sedza a coś robila. To tē mōsz prōwdē, to ona ten grōb uprōwiō. A że ona nie jidze za Agnesā,

to je dēcht dzywno. Nē tē wiēsż jak to je w swiecē, tē tēz ni ma co lōs a dēcht bēc wandrowczikē nē nō to ona bē so nie da, tē wiēsż, jak so człowiek sōm nie achtniē, te drēdzi go tēz nie achtnā. Ona mili w Dąbrowie bulwē wēbiērō jak bē mia tē dze lazec po swiecē, a ni mia bē co do gēbē wlozec. Ko Agnes tēz że tē ni mō miec zōdnē rozkoszē. Jak ona jēsż bēla młodsżō, nē te ona mieszka tē z jaczims gōwcē. A terē on że umarl, a nē jego dzecē jā że wēpēcālē. Tak, że miodē ona tē ni mō.

A że ona tak nie przindze nazōd do Dąbrowē — rzekla Mariczka — ko tu ona bē mia, jō mēsłē, lepī, lēdze są swojī, wszētko ji znōné, ten las, kōscol, Biēlawa.

Jō mēsłē — jō rzekl — ti lēdze bē ji do oczī sztōkrowālē. Tē wiēsż, lēdze a nieprzejacēl drēdzi, jo, jak ona bēla w swiecē zarē na poczātku, te tē wiēsż jak oni gōdalē, jo, nasza Agnes to je swiatowō bialka, ona tē muszi miec piniādze. Ale jak so okōza, że ona mō biēdē, te zaczelē czēsto jinaczi o ni gadac. Tē wiēsż jak to lēdze. Ona bē to ni mia zōdnēgo ubētku. Jō mēsłē, choc dzecē bē ji na psotē robilē. Bialczie bē jē mōże nawet wēwrzeszczēlē od niesromotnic, chtēsż tē wiē co ona tē w swiecē robila, ko to so mōże wszeljaczēgo docēgac. Tu kol nas to je wszētko widzec, ko tē wiēsż, choc nen Brunalk Konefka, ten tu mō pōrē dzecy, ale tē wiēsż, to bēl wiēdzi gbur a te chłop szekowny, nē bialczie za nim lōtalē, jō doch to mogē pamiętac. Terē on ju dōwno nie żējē, a widzisz tē co mē so mōżēmē domēsłēc. A na jego pogrzbie te bēlē wszētczī lēdze, a bēło wiēdzie rēczeniē. Tē wiēsż, to je co jinēgo, a jinaczi je jak takō baba ce lazi po swiecē, a chtēsż tē wiē, co ona robila. Jō mēsłē ti lēdzē bē ji nie delē pōku.

Jo, Tōnku, to tak je — rzekla Mariczka — ale jō tēch lēdzy ni mogē dobrze rozmiōc, nicht ji nie pomōgl, ona tēz nikomu nic zlego nie zrobila, a jak przindze co do czego, te oni bē ji choc do oczī sztōkrowālē. Jō tego rōz ni mogē rozmiōc. Ona tē tēz mia swēgo do nowēgo, a te cēż ona tam wiēdzie czego mogla, ko wszēdzē chodzą psē boso czē tu, czē tē, to je wszēdze równo.

Mōsz prōwdē, Mariczko, jō bē so tak zarē w swiat nie dōl, jō bē nigdē na swiecē so nie dōl za wandrowczeka. A wiēsż tē, co ti lēdze dērch pasā, że Agnes, choc ona bēla ju taczim dzewusē, te ona że w lōżko szcza. Ni mōsz tē to, Mariczko, czētē?

Jo, to jō czēla — gōda Mariczka — nē jo, a zōs potemu ona doch z tego wēsżla, jō mēsłē terē ona ju tego nie robi. Niē, to bē bēło wiēdzec, ko tē doch nierōz chto do nie jedze.

Niē, niē, ona ju tego nie robia, jak ona szla z Dąbrowē. Jakusz to bē bēło marno, możesz tē so mēslec, jakusz to bē kol nie smiērdza, niech mie dō pōku. Widzisz tē, ti lēdze wszētko wiēdzą.

Ko to je zarē cknac — jō rzekl — jak so wēndze w jizbē, a chto nadoji. Prawie żebē to zarē wēprōl, ale chtēsż to bē kożdi dżēn prōl. A te ona nē pierzne buten sēsżēla, a to doch bēlē nē plachcē widzec, a dzecy tē nie bēło. A te jich matka ta sama komus mia gōdōné, jaczisz babie, a ta chutko wēlēsa, tak to calō Dąbrowa od raza wszētko wiēdza.

A mōże temu ona szla w nen swiat — rzekla Mariczka — chto wiē. Ona tego nie mogla tim lēdzom zabēc. Jo, to so taczī pamiętō.

Chto wie, czē ona jēsż komu sle taczī zelōné mēdlō? — jō so spītōl Mariczczie.

Jô nie wiem — ona rzekła — nicht mie nie gôdôl. Môže ona jész komu to sle.

Jakbë le co blôs — jô rzekl — te to bë nie bëła zemsta za to, co ję tu czedësz spotka.

Tego jô nie wiem — rzekła Mariczka — nicht mie nic nie gôdôl, że dostôjô taczé mëdla od Agnesë. Jô bë ję chca jész rôd w žëcym widzec, môže ona tu cziedësz przejedze.

Ko môže — jô rzekl — ale terë ona je ju stôrô, ko Truda je ju przë latach.

Jô zdrzôl na Mariczkę, na je włosë, a ona so usmia, jô též. Chto wië, co ona so terë dëcht pomëslëła, môže o Agnesë, abo též o Biëlawie. Ale jô ję ô to nie pitôl.

Wiész të, Mariczko — jô rzekl — to bë muszôl tëch drëdzich w Dąbrowie pocknąc, te to bë wiedzôl, czë oni dostôną przesloné to mëdlo od Agnesë, czë nie. Chto wië, jakbë to bëło, czebë pockl tak w domu. Wiész te co, Mariczko, më to mdzëmë muszëlë zrobic — jô rzekl. — Poprôwdze më to muszimë zrobic. Jak më nadendzëmë do Bialka, te të otemkniesz szeroko dwiërzë, a jô pocknë.

Alë wiész të, Tónku, të muszisz tak zacht wcëgnąc tego donstë, të wiész, të to tak môżesz.

Jak ma též nadeszła do Bialka, to jô wëcygnął szëjë dosc dalek, a Mariczka otemkla dwiërzë. Jô wcygnął dosc tëli tego co të wëleca, a zaczął straszno czichac.

Bialczënô prawie pra a so tak obezdrza a rzekła: — Owelë, Mariczko, jidzesz të do nas.

Z tego prani szła dosc zacht ropa, a to mie zôs zaczął krëcec, tak to jô zôs straszno czichôl.

Mariczka rzekła: — Nië, Bialczënô, jô nie wiedza, że wë bë tu prawie stojëlë a pralë, jô le chce blôs wasze dwiërzë przëotemknąc.

A czemusz jô bë tu ni mia bëc — rzekła Bialczënô — ko jô doch tu mieszkajë, a to czemusz të chca nasze dwiërzë otemknąc, jak të nie chca do nas przindz, to mie je baro dzywno.

Ko to wecelë môže nie je dëcht fëjn — rzekła Mariczka — tak cëzë dwiërzë otmëkac, ale më chcelë powoniac, cze wa môta od Agnesë no mëdlo.

Jaczië mëdlo — rzekła Bialczënô — od Agnesë, a cëz ona mô z namë?

Ko nic — rzekła Mariczka — ale ona bë mogła miec wama czasë to mëdlo przesloné.

Më o niczim nie wiëmë — rzekła Bialczënô.

Czëjesz të, tatku — rzekła ona a zakuknë w jizbë — tu je Mariczka a gôdô, że Agnes mô nôm mëdlo przesloné, më doch o niczim nie wiëmë.

Bialk wcalë nie wëzdrzôl, ale rzekl: — Më o niczim nie wiëmë, do nas nicht żôdnëgo mëdla ni mô przesloné.

Cëz tu so nie robi — jô so mëszië — terë më mômë całą budë Bialkowë zrënowónë. Oni terë mdą zamelrowalë nad tim mëdlë — dzesz më též tu muszëlë wlësc. Poj, Mariczko, jidzema dali. Më ni mômë czasë, Bialczënô, më muszimë jidz dali.

A jakusz wa to tak — rzekła Bialczënô — dzesz wa prawie muszita jidz, ni mogła wa so sztôt przëscëgnąc, jô bë tu wama postawiła taskę kawë, më bë so tak përzny pogôdalë. Jô tak dëcht nie widzë mëdzë nëmë wiszenkamë, je to Anton?

Jo, to jô jem, Bialczënô — jô rzekl — ale dzesz wë tak w niedzielë po pólniu pierzece, ni môce wë w tidzeniu czasu?

Të le nic nie gadu, to so twojë Stazji též trafi prac w niedzielë po pólniu, a te jô ni môm wieldziëgo pranië, to le od tëch môlech parizlëtów, to doch szczy le z widë, to so czlowiek nie môže tego naprac.

Dzeczë są dzeczë — rzekła Mariczka — to so nie darwë dzewowac, to prawie z tim sëszenim je malër, dzesz to mô schnąc.

Terë na zimku — rzekła Bialczënô — to nie je jész tak zle, ale ob zëmë te nie wi dze to mô z tim ostac. Në pojta że bënë, të taskę kawë më doch wëpijemë.

Jô bë nômili miôl të szkaciëtë tu zgrëzle, dze më wlezlë, terë Bialk wëcygnie swojã pipë tobaczië a te mdze powiôdôl o swoich koniach. A Bialczënô je pewno ciekawô, czemu më prawie z Mariczkã so tak chodzëmë w niedzielë po pólniu po Dąbrowie, a te to nie je szpacerowanië, lë më jész lazimë po cëzëch budach.

Poj, Antónku — rzekła Mariczka — oni nas zaprôszajã na taskę kawë.

Jak le — jô rzekl — Bialczënô, ustapicë so z drodzie, jô ni mogë za baro lëdac të ropë — a te jô so zapuszczôl a złapiel Mariczkę za rękë a më oboje dwoje wczadzëlë w nę ropë, a te od raza so zrobiło widno. Më mësliëlë, że to bëła jizba, dze sedzôl Bialk, a to bël ogrôd z drëdzi strone chëczy. Bialczënô mia ostawione dwiërzë ôpen a më zamiast skrëcec te chilalë prosto a so nalezlë w ogrôdzë.

Në ja në — rzekal Mariczka — a terë cëcz më so muszimë copnãc.

Ale psëgo — jô rzekl — poj chutko dali, zanim Bialczënô z të ropë nie wëkraczô a mdze nôm zôs nę taskę kawë bëdowa. Chcemë le jidz.

Mariczka so chca scëgać, ale më szlë flot z Bialkowego ogrôda, a jak më ju bëlë sztëk, te më widzelë Bialczënã na trapach a za name zdrza.

Chto wië co ona so mësli — rzekła Mariczka.

Ë niech so mësli co chce — jô rzekl — dzesz më mdzëmë kol nich pilë kawë, je to nôt. Ko pewno Bialk bë miôl rôd towarzësztwo, a ona též, ale cëz të taczë plestanië, a te jô mëszië, że w jich jizbë je též nalecalë të ropë, te oni muszëlë doch to wiedzëc. A Bialczënô bë též chca czëc co më gôdômë, te ona bë mia dwiërzë przëotemkle, a të wiész të ropë bë bëło wszëdzë ful. Jak më biegalë przez dôm, te jô miôl oczë czësto zamklë, jész zacësnionë a nic w kôl nie widzôl, a rôz jô le blôs oddichnãl.

Të miôl, Tónku, oczë zamklë — rzekła Mariczka — në a jô též. Że též më w nico nie wrënowalë. Kô më bë moglë bëc lëtko wpadli w ji balikë, a ona bë jész mogła nas miec nôlzi wëprónë.

Në to ona bë doch widza, cze to jëmë më cze të ji pòszwë — jô rzekl, choc të poprôwdze bëło teli ropë, że w kôl nic nie bëło widzec.

Aż nie podobna — rzekła Mariczka — że ma dwoje z zamklemë oczamë przelecelë jak dim a dôka przez Bialkowe chëczë, tego jô bë so nigdë na swiëcë nie mësliëła.

To môže przindz wszelejãk fôr — jô rzekl — to bëło poprôwdze szczescë, że më të balikë z mëdlëname nie przewrócëlë. To bëło szczescë. Taczim szwungë jak më szlë ko to bë mogło miec na jizbë wëchilnionë. Bialk bë so miôl baro wërzaslë a te to bë so të sliza, le tego trzeba. To bë nie bëło nic do smieni. Të so môżesz mëslec Mariczko, co bë so mia dzónë, jakbë më so mielë të usliznionë, ko to bë szło z nama ibermacht. To bëło jedno to, że më nie

wczadzëlë w balikë. A móže ona tam kogo kapa, jedno z tëch dzecëszcza, tã doch jich je jak grochu, nówicy mô jich Ewa, a te Dóra tãz mô zacht, a wszëtë oni so tã jakusz gniezdã.

Ko tã wiész, Tónku — rzekla Mariczka — ko to muszi dze jak, dzesz one tãz mają ostac z tãmë dzecëszczamë, a te ti jãdne chłop przëszedł do wëpòdku, te ona je sama, a dzész ona bë mia jic. To so muszi jakusz kolwiczec, ko za wielgò buda to tã nie je, ale dzecë jész są mòle, te oni so tã jakusz obrëmiã.

Jo, Mariczko, terë tã widzisz — jò rzekl — jak to nóm kol tego Bialka szło, tã bëło tãli ropë, że jò bë bëł wnet utkli, dobrze, że tã dwiërzë z drëdzie stronë bëłë òpen, te më le przelecelë, a tak te më bë dze tã móže wrenowalë w jakã szpinie abo tãz w samego Bialka. Tã so możesz mëslec, Bialk w mëdlënach, ko to bë bëło do krzikani. Chcemë le jidz jima z oczi, poj, Mariczko, chutiszko.

Prawie żebë më jész popchnëlë kol Gafczie, jò mëszië ti spia. Wiész tã co, nòprzód muszisz tak letko przëotemknãc dwiërzë, a te jò pocknë.

Tak më tãz zrobilë.

Mariczka letko przëotemkla dwiërzë w Grafkowi chëczy, a jò wsadzòł tã nos a mocno pocygnãł. Zanim jész jò pocygnãł, te jò do nië rzekl: — Le pomalë, tak żebë mie nie przëkleszczëła knërë, pomalinku. — Tak ona tãz jo. Jò pocygnãł pòrë razy a rzekl: — Tu je cos prónë mëdlë, ale jò nie wiem, czë taczim samim. Daj le jò pocknë jész twoje włosë a te zòs tã rësene. Ona zdië głowë, tak żebë jò mógł dobrze wsadzëc tã mój nos a te jò pockł. To bëło jednak czësto jinë mëdło.

To nie je od Agnesë — jò rzekl — móže tãz przësòlnë, ale nie od Agnesë, to mô czësto jinã woniã. Wez të tã poloniò.

Mariczka polonia to co tã szło z rësene a rzekla: — Jo, Tónku, tã mòsz pròwdë, to je czësto jinò woniò.

W tim, jak ma chca prawie zamëkac dwiërzë, te wësziła Gafczënò.

A Marija Józef — rzekla ona — tfuj, tfuj, jak jò so zerasla, cëz wa tu robita na naszëch trapach, tak klëczãce, je wama so stónë lëcho, jo widzë Tóna mô dostónë taczie wieldzie woczë, jakbë to go zdru-ga, cëz wa tu makirëjeta, wa doch nie chca mie tu budë podpalëc.

Alë, Gafczënò — jò rzekl — a cëz wë, më budë podpalëc jakusz to bë mogło bëc, wë to na pewno nie mësliëlë na popròwdzë, wë le to blòs tak gòdalë.

Në jo, Tónku — rzekla Gafczënò — to so mòżë wszëtëziëgo od lëdzy spodzewac choc tego nògorszëgo.

Alë cëz wë gòdòcë — jò rzekl — ko më doch so znajemë, dzész jò bë mógł wama tak co zrobic.

Ko jò nie gòdajë, że te tã przëszedł podpalëc — rzekla ona — ale lëdze są lëdzama, dzys dnia nikomu nie darwò wierzec, wa tu tak klëczita, ni mogła wa zaklepnãc choc na okno, më bë doch wama otemklë.

Më chcelë wiedzec, czë wama Agnes Gòjkowa sle mëdło — jò rzekl — temu ona përzne dwiërzë przëotemkla a jò pockł.

Cë doch brãkò, Tónku — rzekla Gafczënò — a mó-że tã so mòsz jednëgo wëpitë, Mariczka pewno tãz, terë w niedzielë po pòlniu, jak tak kòzdi so ròd przëlegnie, te wa jidzeta cknãc po budach, czë Agnes Gòjkowa mô przësòlnë mëdło, a cëz to wama obcho-dzy.

Terë mie są zrobilo baro marno, czemu ta Gafczënò tak na nas uscygowa, pewno że më bëłë wlazli na jë trapë, ale më bë so moglë z tego wëtłomaczëc.

Wiész tã co, Mariczko — jò rzekl — jò nigdë nie mësliòł, że Gafczënò je tako frechownò, jò wiedziòł, że ona mô pësk, ale tak z nama gadac to je aż buten szëku. A wele ten Gafka, ten mô swëgo do nowëgo, taczì spokójny chłop on bë cë lëchëgo słowa nie rzekl. A ten szpòk to je richtich hulala. Jò cë rzekë, tu ni ma co chcema jidz, jò ju niehc wicy cknãc, jò mëszië, że Agnes ni mô jima przësòlnë tego mëdla.

A co wa so tã szepceta? — spita so Gafczënò — gaduta glosny, jò nic nie czëjë.

A tã wëzdrzòł Grafka.

A chtësz to tã je przëszli do nas, Paula? — on so spitòł.

A nie widzisz tã — ona rzekla — ko Tóna z Mariczka a tã jò nie wiëm, co oni chca.

Ko pojta w chëczë, a nie stòjta tak na progù, jò czëjë taczë szëmarzeni a so mëszië chto wië, chto to tã je.

Në, tã stòri purzkocë — rzekla dërno Gafczënò — żebe tã lepi sedzòł kol piëcka, dze to so tu tlëczë, ni mòsz tã lëdzy widzónë, a tã doch so mógł mie spëtac a nie kraczac, nie je tu naji dosc, tã le biò w zòpiëck.

Alë, Paula — on rzekl — tã doch tak nie muszisz przed cëzëmë lëdzamë, jakusz to wëzdrzi, tã mòsz upiëklë négo kucha, tã nóm mogła go postawic.

Welë co to za ponarwa — rzekla ju terë czësto rozdiablönò Gafczënò — jò mdë kucha piekla, a to mdze lazëło a le blòs żarło, ko niech so tãz upiëka, tã le od mojëgo kucha z dòleka, jò mëszië te mòsz tã o pocuszku dosc tãli wëgrëzlë, jò le mdë muszëła to zasztëkac abo dze schowac. A terë to bë jész cëzým bédowa. Żebë jò nië ko te, to bë z mòla nie ulazło, a tak je przënòmni najadlë a oprónë. Tã nie wiész, co tã mòsz za bialkë, tã stòri kamëlu, jo wama rzekë, to je richtich swintëch. Że jò tãz muszëła nalesc taczëgo tlòmòka, to z nim nie jidze ani tak, ani tak.

Më z Mariczka sedzelë jak zamurówóny, a zabëlë wstac.

A tã — jò rzekl — wiész tã co, dze më tu przëszlë, jak ten chłop to móže wszëtëko zlëdac, a tã on jész je kol tego smiëszny, wiész tã co, bo jò wstónë a ji co rzekë.

Lepi daj pòku — rzekla Mariczka — chcemë jidz, popròwdzë jò nie wiedza, że aż tak móže jeden na drëdziego uscëgowac. A te żebë on bëł jaczi nie-lusny, ale to je chłop robocy, wszëtëko on robi. Prawie, że on so tak ròd wëpije, to muszi rzec, ale ko niejeden so wëpije, ale doch ni mô do czenie-ni z takã szantrapã. Terë më so ju wszëtëziëgo ode-chca, nawet jidz do Gustë. Tã wiész, jak to człowiek koguż taczëgo spotkò, te to czësto zmarkotnieje, to so nic nie lësztò. Taczie fëjne bëło to niedzëlne po-pòlniu, a że më muszëlë trafic prawie na tã Gafczënã.

Më so z Mariczka përzne przëleglë w sycenie, a tak ozabëlë to co më mielë kol Gafczie. Më slëchalë szòt jak zemia żëjë, a to nóm pomogło.

Wiész tã — rzekla Mariczka — mie je zòł taczich lëdzy. Czemusz oni taczì są.

Oni ju jiny nie mdã — jò rzekl. — Terë jò bë ju nie szedł nidze cknãc cë dze w chëczy woniò za Agnesënym mëdlë.

KSIAŻĘ WISŁAW – PIEWCA KOBIETY I MIŁOŚCI

Bolesław Fac

Słownik polski pod hasłem „minezenger” wyjaśnia: *średniowieczny poeta, zazwyczaj rycerz, twórca i wykonawca pieśni miłosnych. Po królewskiej uczcie zjawiał się przed podochoconymi biesiadnikami minstrel, bard czy minezenger i podniecał wyobraźnię zebranych opowieściami zaklętymi w poetyckie strofy, wtórując sobie dźwiękami lutni...* Tak się działo w Niemczech, we Francji, w Szkocji, Anglii, od wieku dwunastego do czternastego. Tradycja ta szczególnie rozwinęła się w zachodniej Europie i tam też zachowało się najwięcej zapisów. Pieśni były albo anonimowe, albo opatrzone pseudonimami bardów, bo też w gronie tych wędrownych w zasadzie piewców miłości byli nie tylko wędrowni rycerze, ale też panowie i książęta. Niezwykłym zjawiskiem takiego artysty był „bard w wysokim kapeluszu”, Süßkind von Trimberg, Żyd z pochodzenia i wiary, którego sztuka była tak wysoka, że śpiewał i recytował swoje utwory na dworach w tym samym czasie, gdy jego współplemieńcy w Niemczech, w Europie zachodniej byli prześladowani. Nam bliska jest postać Wisława, księcia słowiańskiego z pomorskiej Rugii. Badacze literatury tamtego czasu nie są zgodni, czy pieśni Wisława (Wizlaw) można przypisać, jak chcą niektórzy historycy, autorstwu Wisława III z Rugii (zmarł w 1325 roku), w każdym razie ów minezenger był Słowianinem, choć jego pieśni powstawały w obszarze języka dolnoniemieckiego.

„Saget mir ieman, waz ist minne” — „niech mi kto powie, co to jest miłość” — śpiewał najbardziej znany minezenger Walther von der Vogelweide. Miłość jest oczywiście tematem starym jak świat, lecz w Europie pojęcie miłości wtedy nie było tak jednoznaczne. We wczesnej liryce obszaru naddunajskiego miłość oznaczała coś podobnego do naszych dzisiejszych pojęć: miała na myśli ciało i duszę ukochanej osoby, poszukiwała spełnienia pożądania. W pełni średniowiecza wyobrażenie minezengera o miłości oznaczało co innego. Słowo „lubh”, pochodzące z indoeuropejskiego, oznacza „pożądać”. Słowo „minne”, z którego powstała nazwa minezengera, należy językowo odnieść do łacińskiego „memini” — „przypominać” i ma już charakter bardziej refleksyjny. To słowo może też oznaczać — „myśleć o kimś”, „zachować w pamięci” i jest bardziej akcentem duchowym niż erotycznym. Temu odpowiada sens zwrotu lirycznego minezengera Friedricha von Hausena: „ich denke ir nahe” — „myślami jestem przy niej”.

Oczywiście całe to śpiewanie, wyśpiewywanie miłości, tęsknoty i „pamięci” odbywało się na dworach. Minne mogło oznaczać: tęsknotę za miłością, żalność miłosną, cześć wyrażoną niemal modlitewnie... To ostatnie wynikało z faktu, że opiewano tylko... zamężne kobiety, nigdy nie opiewano spełnionej miłości z jakąś „panienką”, która byłaby na przykład dziewczką niższego stanu.

Piszę tu o Niemczech, gdzie ta sztuka między 1160 i 1250 rokiem na dworach pięknie się rozwinęła, ale tradycja przysłała z zachodu, z Francji, gdzie prownalscy trubadurzy zaczęli dziesiątki lat przedtem śpiewać pieśni na dworze.

A był to czas wypraw krzyżowych. Tak więc śpiew minezengerów był nasycony rozterką między służbą

dworskiej powinności a religijnymi zobowiązaniami wobec Kościoła. Wzorem stał się np. Dawid ze Starożytności grający na cytrze. Śpiewający poeta obwołał się królem, bo naznaczony był talentem. Ten „królewski” bard oddający się całemu służbie pani, władczyńi jego serca, jego uczuć, oderotyzował swoje pieśni, co mogło spowodować podobieństwo tej liryki do modlitwy i pieśni ku czci Pani Niebieskiej.

Przykład pieśni Wisława III z Rugii wykazuje jednak wyraźne piętno erotyczne, „gdzie zapach ciała pani mojej unosi się ku mnie mile”, co może oznaczać, że im bardziej na północ, tym wpływy wypraw krzyżowych, a więc i rozmodlenia w liryce były nie tak silne. Być może pewną rolę odegrały tu także wpływy naszych pogańskich, pomorskich przodków, jeszcze dość silne, bo witalne, cielesne.

Z pieśniami Wisława wiąże się moje osobiste doświadczenia literackie sprzed lat. W latach sześćdziesiątych nieżyjący już poeta i germanista Leon Roppel chciał się podjąć trudu przekładu wszystkich pieśni Wisława. Przy pracy nad tym dziełem posłużył się zarówno oryginalnym zapisem, na podstawie fotokopii ze starodruków, jak i, w większości, odpisami współczesniejszymi, dziewiętnastowiecznymi. Różnica w kiepskim, późniejszym zniemczeniu oryginału była aż nadto widoczna. Redaktorka literacka Wydawnictwa Morskiego, Maria Kowalewska, prowadząca z poetą i tłumaczem rozmowy, wskazywała na tę niespójność tekstów (na przeszkodzie stanęła też w tamtych czasach trudność dotarcia do oryginałów, nawet do tych w NRD). Do pomocy zaproponowano moją osobę, przynajmniej, osobę co prawda obytą już z liryką, ale współczesną, i mającą wątle doświadczenie w tak trudnej materii, jak liryka ze starodruków niemieckich. Moje zadanie miało się opierać więcej na intuicji liryka niż na doświadczeniu tłumacza. Leon Roppel poczuł się propozycją współpracy ze mną dotknięty, czemu w swej duszy wcale się nie dziwiłem. Dość, że sprawa została odłożona, a śmierć Leona Roppa przerwała tę cenną inicjatywę. Pieśni księcia Wisława nie przestawały nas jednak fascynować. Leszek Bądkowski wprowadził w jakimś sensie ten nurt liryczny w swojej „Opowieści o miłosnym wieńcu”. Kiedy Günter Grass pisał swojego „Turbota”, nie omieszczał w dziewiątym rozdziale nawiązań do Wisława: „Jego esej o liryce minezengera Wisława z Rugii został opublikowany w Almanachu Bałtyckim” (mowa o bohaterze tej opowieści, narzeczonemu Marii).

We wszystkich późniejszych moich podróżach do Niemiec poszukiwałem śladów Wisława. Co ważniejsze, niepełne źródła książkowe o minezengerach pomijały Wisława. Wreszcie znalazłem ważny ślad na... płycie Telefunkena, płycie z muzyką dawną — „Minnesang und Spruchdichtung — (Minnesog und Prosody) ca 1200—1320”. Jest to pierwsza płyta poświęcona tej liryce śpiewanej i mówionej, opracowana bardzo starannie na podstawie wielu źródeł, również francuskich. Muzykę zaś opracowano na podstawie średniowiecznego „Jenajskiego śpiewnika pisanego” (Jenae Liederhandschrift). Z tej to płyty pochodzą przytoczone pieśni.

Pieśni Księcia Wislawa z Rugii



Pozwólcie, bym nucił w największej radości,
bym wyniósł kwiecie maja.

Na wargach mojej pani róża zagości —
o tym jest moje śpiewanie,
gdy mnie chłód przenika.
Wszystek korzenny zapach
mile dochodzi z jej ciała.
Innych radości nie pragnę,
wszystko z jej łask się wylania,
gdy mnie raduje moja ukochana.

Liść laurowy spada w dolinę,
dlatego już gałęzie nagie.
Kwiaty się jawią zgniłe,
piękno ich już nie wabi.
Warzą się wszystkie zioła
i mróz je ścina.
Dlatego bliski rozpaczy,
gdy naga staje zima —
chcę inaczej zanucić.
Niech radość się roztacza.

Ich warne dich, vil junger man, gezarte:
halt milden mut!

Waz dir davon heiles geschicht, nu warte
daz du bist gut.

Dem valschen rate du untwiche!
de heiligen untphan dich al geliche,
dine scoene sele in gotes hohen riche.

Przestrzegam cię, o młody panie, troskliwie:
w dobrej śmiałości trwaj!

Jakie też z tego dobro ci wyniknie,
utwierdzi cię, żeś chwat.

Fałszywej rady tedy unikając —
już wszyscy święci zaręczają
Twą piękną duszę dla Bożego raju.

Przekład: **Bolesław Fac**

MEANDRY

POLSKICH PRZEMIAN

Henryk Galus

Można być pewnym, że w ankiecie na temat: **czego Polska potrzebuje najbardziej dziś, w połowie 1991 r.** — Polacy najczęściej wymienialiby pięć rzeczy: **sprawną władzę, silną gospodarkę, poprawę warunków egzystencji, pokój wewnętrzny i bezpieczeństwo zewnętrzne.**

Takie oczekiwanie nie jest czymś niezwykłym w dzisiejszej Europie i w innych częściach świata. Chodzi przecież o potrzeby elementarne, których zaspokojenia jednak żaden naród nie może sobie zapewnić raz na zawsze. Są więc odczuwane dość powszechnie, tylko w bardzo zróżnicowanym stopniu. Dlatego być może przeprowadzenie tego rodzaju ankiety w społeczeństwach wielu państw przyniosłoby podobne wyniki jak w Polsce, ale w każdym przypadku miałyby one inny kontekst.

Polska jest przypadkiem państwa, które dwa lata temu, jako pierwsze w bloku wschodnim, odrzuciło po długich zmaganiach system komunistyczny i postawiło u steru władzy nowe siły społeczne promujące system demokratyczny. Dwuletnie doświadczenia płynące z procesu przemian są godne uwagi i refleksji. A rzecz dotyczy przecież przekształceń o osobliwym charakterze, nie tylko z pragmatycznego, ale i z historyzoficznego punktu widzenia.

Zapewne jeszcze długo będzie roztrząsany problem dlaczego akurat Polska jako pierwsza zrobiła wyłom w bloku komunistycznym w 1989 roku i obudziła niszczącą go w tak krótkim czasie Wiosnę Ludów w tej części Europy. Tu ograniczę się tylko do zwrócenia uwagi na podstawowe fakty, które niewątpliwie rzutują także na przebieg polskich przemian w latach 1989—1991, charakteryzujących się konsekwencją i łagodnością, ale także sprzecznościami i ograniczeniami.

Nie ulega wątpliwości, że komunizm nie był świadomym i dobrowolnym wyborem większości społeczeństwa, lecz ustrojem narzuconym Polsce w 1945 roku przez wschodniego uczestnika zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej za przyzwoleniem jego zachodnich partnerów. Komunizm sowiecki od chwili swych narodzin był dla dużej części Polaków rodzajem zagrożenia, któremu przeciwstawiano się poczynając od zwycięskiej wojny Polski z bolszewicką Rosją w 1920 roku, która już wtedy przez opanowanie Polski dążyła do wzniesienia zarzewia rewolucji komunistycznej w Europie zachodniej. Poczucie tego zagrożenia spotęgowały zbrodnie stalinowskie wobec Polaków przed drugą wojną światową, w czasie jej trwania i po jej zakończeniu, chociaż prawdę o nich skrywano, a na jej publiczne potwierdzenie trzeba było długo czekać.

W sedno problemu zdaje się jednak trafiać, daleki od sympatii do komunistów polskich, znany publicysta i historyk katolicki Andrzej Micewski, który w jednej ze swych wypowiedzi prasowych w listopadzie 1990 roku dla czasopisma „Wprost” wyraził następujący pogląd:

„Muszę powiedzieć, że jakkolwiek z marksizmem nigdy mnie nie łączyło, zawsze uważałem, iż gdyby w latach 1944—45 nie znaleźli się w Polsce komuniści zdolni do przejęcia władzy, najprawdopodobniej zostalibyśmy jedną z kolejnych republik radzieckich. Nie wierzę, aby Stalin, stojąc nad Łabą i widząc słabość Zachodu, którego żołnierze marzyli o powrocie do domu, oddał tę część Europy tylko dlatego, że Polacy nie życzą sobie rządu komunistycznego. Dlatego patrzę na historię PZPR nieco inaczej niż większość jej zaprzysiężonych przeciwników — bardziej relatywnie. Choć bilans rządów tej partii jest negatywny, jej istnienie było, jak sądzę, pewną koniecznością historyczną”.

Niezależnie jednak od tego faktem jest, że niemalą część społeczeństwa polskiego, warstw ludowych i inteligencji, miała do przyniesionego z zewnątrz ustroju stosunek jeśli nie aprobatywny, to otwarty. Wiązała z nim nawet pewne szanse i nadzieje, podobnie zresztą jak inne, zwłaszcza gorzko doświadczone wojną i faszyzmem środowiska pracy w Europie. Warstwy ludowe przyciągała redystrybucja upaństwowionych dóbr, a inteligencję, zwłaszcza wrażliwą na wartości humanistyczne i racjonalizm, pozytywizm i tradycje narodowe — szansa ziszczenia na ogół dość

abstrakcyjnie rozumianej idei postępu społecznego i trwania pewnej formy bytu państwowo-narodowego.

Z dzisiejszej perspektywy jednak bardziej widać w postawach społeczeństwa narastanie antykomunizmu ludowego i opozycji inteligentkiej, których przesłanki historyczne rozszerzyły się w latach 1945–1983 o brak materialnych i socjalnych dobrodziejstw systemu pozbawionego etosu pracy i przedsiębiorczości oraz nawroty represyjnego sprawowania władzy. Ludowy antykomunizm znajdował oparcie przede wszystkim w Kościele katolickim, ale także wśród inteligencji przywiązanej do tradycyjnej więzi Polski z kulturą i cywilizacją zachodnią oraz zaangażowanej na rzecz opozycji demokratycznej, która rodziła się także w środowiskach tkwiących wewnątrz oficjalnych struktur. Były to siły ograniczające wymuszanie przez reżim afirmatywnych zachowań społeczeństwa, które mimo wszystko masowo ulegało presji rozbudowanych struktur władzy (m.in. nacisk na frekwencję w wyborach plebiscytowych i manifestacjach pierwszomajowych, trzymilionowa sieć konfidentów SB).

Naturalne więzi sił dążących do zmiany najpełniej wyraziły się w częstszych niż w innych krajach bloku wschodniego, protestach społecznych, do których dochodziło w latach 1956, 1968, 1970, 1976, 1980–1981 i 1988. Dzięki nim kumulowały się doświadczenia społeczeństwa, które w efekcie wytworzyło silny ruch „Solidarności” i w sprzyjających warunkach okazało się zdolne do śmiałego przejawienia własnej woli do życia w wolności i demokracji. Moment ten nadszedł w połowie 1989 roku, gdy osłabiony wewnętrznymi trudnościami i skłonny do poszukiwania dróg ich skutecznego rozwiązania Związek Radziecki zaniechał daleko idącej kuratel i ingerencji, a wpływowa część polskiej elity komunistycznej dostrzegła sens i pożytek kompromisu z opozycją „Solidarności”. Nie ulega wątpliwości, że pragmatycznie, a nie fanatycznie zorientowana część grupy kierowniczej PZPR wykazała dużą zręczność polityczną, godząc się w porę na kompromis przy „okrągłym stole” i wynikające z niego konsekwencje, a więc także z utratą monopolu władzy. W efekcie być może uniknięto dramatu, który stał się udziałem kilku krajów tej strefy. W Polsce zablokowane zostały siły zachowawcze, które gotowe były podjąć próbę minimalizacji kompromisu lub jego odwrócenia.

Być może nie wszystkie okoliczności, motywy i warunki kompromisu przy „okrągłym stole” są dostatecznie znane i wyjaśnione. Jednak zdaje się być pewne, że po obu stronach był on obliczony na dłuższe współistnienie sił zawierających kontrakt polityczny. Co więcej, jakby niewypowiedzianym wprost jego założeniem było łagodne przeobrażenie systemu w dokładnie nie sprecyzowanym kierunku i liczenie się z pozostawieniem Polski w ramach dotychczasowego otoczenia lub ewentualnie tylko jego nieznacznej przemiany, umożliwianej w granicach zakresłonych przez „pieriestrojke” i „glasnost” Gorbaczowa.

Tymczasem rozwój wydarzeń w układzie wewnętrznym i zewnętrznym potoczył się znacznie dalej. Podważyl więc przewidywanie, że zmiany ustroju państwa i gospodarki, łącznie z uchwaleniem nowej konstytucji, będą rozstrzygane w ramach układu i struktury władzy ukształtowanej w połowie 1989 roku na podstawie porozumienia „okrągłego stołu” i czerwcowych wyborów parlamentarnych.

Punktem zwrotnym w układzie wewnętrznym była rezygnacja obozu „Solidarności” z ustanowienia wielkiej koalicji z PZPR na rzecz rozbięcia dotychczasowej koalicji PZPR z ZSL i SD, a jednocześnie przeciągnięcia obu dawnych sojuszników PZPR do koalicji z „Solidarnością”, co umożliwiło utworzenie niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego. Natomiast w układzie zewnętrznym punktem zwrotnym była reakcja łańcuchowa społeczeństw większości państw bloku wschodniego, doprowadzająca w ślad za Polską do demokratycznych przemian, zniesienia monopolu władzy partii komunistycznych lub nawet w ogóle odsunięcia ich od udziału we władzy.

Z obu tymi nurtami wydarzeń na płaszczyźnie wewnętrznej i międzynarodowej należy wiązać zarówno przełomowe decyzje Sejmu z grudnia 1989 roku o zmianach polityczno-ustrojowych i reformie gospodarczej, jak też akt samorozwiązania się PZPR w styczniu 1990 roku i wyłonienia się z niej dwóch partii deklarujących socjaldemokratyzm. Ze strony sił monopolizujących dotąd władzę i niemal do ostatka stosujących ją w sposób represyjny (stan wojenny i jego przedłużone formy) były to działania defensywne, obliczone na przystosowanie do zmienionej sytuacji bez utraty pozycji zagwarantowanych w kontrakcie „okrągłego stołu”. Pomniejszały odpowiedzialność za przeszłość, ale też do pewnego stopnia ułatwiały dalsze przemiany, umożliwiały ich łagodniejszą formę.

Na ogół bardzo silnie akcentuje się w analizach nie tylko polskich autorów wpływ przeobrażeń w Polsce na zmiany w całym bloku wschodnim. Jest to oczywiste i zrozumiałe. Z drugiej strony jednak nie można pominąć faktu, że istniało także oddziaływanie odwrotne. Po prostu brak odzewu, zwłaszcza u sąsiadów, bardzo by utrudnił utrzymanie się i rozwijanie przemian w Polsce. Dotyczy to głównie Czechosłowacji i Węgier, ale także byłej NRD. Wydaje się, że zwłaszcza wyjście NRD z bloku wschodniego w rezultacie silnej presji społeczeństwa tego kraju i dążeń RFN do zjednoczenia Niemiec miało korzystny wpływ na umocnienie nieodwracalności procesów zachodzących w Polsce. Widać to wyraźnie na tle narastających w 1991 roku trudności w usuwaniu pozostałości uzależnienia Polski od ZSRR (kwestia wycofywania wojsk radzieckich z Polski i warunków wymiany handlowej). Mogłyby one być o wiele większe, gdyby ZSRR w dalszym ciągu miała silniejsze oparcie w Czechosłowacji i zwłaszcza w Niemczech wschodnich.

Szersze tło międzynarodowe złożoności i uwarunkowań przemian w Polsce w 1990 i 1991, ich meandrów, zahamowań, przyspieszeń, stanowi w ogóle układ stosunków USA–ZSRR, w tym także stosunek obu partnerów do wojny o Kuwejt, która była traktowana jak instrument skupiania uwagi Zachodu w innym punkcie świata i odciągania zachodniego parasola ochronnego nad przemianami w Europie środkowo-wschodniej. Nie ulega wątpliwości, że agresja Iraku na Kuwejt, a potem zaangażowanie USA i jego zachodnich sojuszników stworzyło warunki bardziej sprzyjające do hamowania przez ZSRR utraty resztek swoich wpływów na Polskę i inne kraje bloku wschodniego. Próba recydywy tzw. imperium zewnętrznego ZSRR w tej części Europy raczej nie wchodzi już w grę, gdyż Związek Radziecki jest nazbyt zajęty utrzymaniem swego imperium wewnętrznego,

ale nie wszystkie siły polityczne w tym państwie pogodziły się z tym stanem rzeczy i chciałyby utrzymać na zewnątrz co się jeszcze da. Stąd taka ostra reakcja na przeszkadzające temu ruchy secesyjne w republikach nadbałtyckich i innych w europejskiej części ZSRR.

Szybkie zakończenie wojny o Kuwejt, która w ciągu pierwszego kwartału 1991 roku absorbowala USA i świat zachodni, ułatwiło intensyfikację działań dyplomacji polskiej w celu uzyskania wsparcia Zachodu dla Polski w jej dążeniu do umocnienia swej gospodarki i bezpieczeństwa zewnętrznego. Efektem tego jest redukcja o połowę i więcej polskich długów przez rządy zachodnie, przybliżenie Polski do EWG i zachodnioeuropejskich wspólnot politycznych oraz otwarcie bezwizowego ruchu osobowego.

Można w tym postrzegać pewne zadośćuczynienie ze strony USA i jego partnerów w Europie zachodniej za pozostawienie Polski w sferze wpływów ZSRR po drugiej wojnie światowej. Jednak przede wszystkim jest to ważne wsparcie obecnej pozycji Polski jako prekursora gospodarki wolnorynkowej i demokracji politycznej w Europie środkowo-wschodniej.

Waleorem strategii polskich przemian jest niewątpliwie względna łagodność przeobrażeń politycznych, stwarzających spokojniejsze warunki dla dokonywania przekształceń w ekonomii w kierunku wolnego rynku, prywatnej przedsiębiorczości i własności. Wsparcie Zachodu urealnia powodzenie tego procesu, choć go jeszcze nie przesądza. Decydujące znaczenie ma raczej sprawność władzy i zdolność społeczeństwa do przystosowania się do nowych mechanizmów gospodarczych i politycznych.

Względna łagodność polskich przemian w latach 1989–1991 warunkował kompromis „okrągłego stołu”. De facto stanowił on podstawę całego układu politycznego aż do momentu podjęcia przez Sejm uchwały o skróceniu kadencji obydwu izb i odbyciu wyborów parlamentarnych w październiku 1991 roku, które zapewne dopiero ostatecznie zamkną ten dwuletni cykl przeobrażeń.

Charakteryzowała się ta faza współistnieniem w ramach przebudowanych struktur państwa i gospodarki sił politycznych wywodzących się ze starego systemu i sił nowej formacji, ale z tendencją do zdobywania coraz więcej pozycji przez różnicujące się jednocześnie nowe siły. Najważniejsze punkty tego procesu to urzeczywistnienie hasła „wasz prezydent, nasz premier” (19 lipca i 12 września 1989 r.), przejęcie kontroli nad resortami spraw wewnętrznych i obrony narodowej (6 lipca 1990 r.), wybór Lecha Wałęsy na prezydenta (9 grudnia 1990 r.).

W różnicowaniu się nowych sił i narastaniu rywalizacji między wylaniającymi się z nich ugrupowaniami zwraca uwagę znamienna cezura. Otóż w pierwszym okresie przemian prym wiodły ugrupowania zdominowane przez elity, które przeszły drogę od uczestnictwa w strukturach starego systemu władzy do opozycji wobec nich. W drugim okresie przemian natomiast inicjatywę przejęły ugrupowania zdominowane przez elity w zasadzie nie obciążone udziałem w strukturach władzy starego systemu. Cezurę tę wyznacza polityczne zwycięstwo Lecha Wałęsy i Porozumienia Centrum nad obozem Tadeusza Mazowieckiego w kampanii wyborów prezydenckich i powołanie rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego z Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Kolejną cezurę nowej konstelacji sił politycznych określą zapewne wyniki jesiennych wyborów parlamentarnych.

Ich zapowiedź wiosną przyspieszyła krystalizowanie się pod względem programowym i organizacyjnym partii politycznych wywodzących się zwłaszcza z ruchu „Solidarności”: Porozumienia Centrum, Unii Demokratycznej, Kongresu Liberalno-Demokratycznego oraz PSL „Solidarność” (wraz z NSZZ RI „S”). Towarzyszy temu narastanie symbiozy tych postsolidarnościowych ugrupowań z częścią formacji starego systemu. Ku Porozumieniu Centrum przybliża się Stowarzyszenie „Pax” i PZKS, ku Kongresowi Liberalno-Demokratycznemu — frakcja liberalna SD, ku PSL „S” i NSZZ RI „S” — PSL Romana Bartoszcze (dawne ZSL). Blisko zaś Unii Demokratycznej oraz Solidarności Pracy Ryszarda Bugaja i Ruchu Demokratyczno-Społecznego Zbigniewa Bujaka oraz PPS Jana Lipskiego lokuje się PUS Tadeusza Fiszbacha. Szanse takiego zbliżenia nie ma natomiast SdRP, którą wysunięty przez Porozumienie Centrum postulat dekomunizacji stawia wobec problemu wiarygodności i głębszych przewartościowań rodowodu.

Wydaje się jednak rzeczą bardzo prawdopodobną, że „cezura wyborów parlamentarnych” będzie polegała na znacznej redukcji „pierwszego garnituru” elit czynnych w ciągu dwóch lat wszystkich ugrupowań i wprowadzeniu na scenę polityczną dojrzewającej i ambitnej elity wstępującego pokolenia, która na żywo poznawała rodzące się mechanizmy demokracji i wolnej gry sił politycznych. Będzie to czas dla ludzi już nie uwikłanych w międzypokowe konflikty i w tym sensie „nieskazitelnych”. Dylematy wyboru między „poprawionym czy reformowanym socjalizmem” a drogą do kapitalizmu pozostawia swoim poprzednikom dla intelektualnych dociekań i moralnych rozrachunków z przeszłością, w której doznawali oni jakby rozdwojenia jaźni. Nowe elity zaś zajmą się raczej dylematami liberalizmu i konserwatyzmu oraz rywalizacją z socjaldemokracją w kapitalizmie i demokracji parlamentarnej, czy wręcz paradygmatem partii nie ideologicznych, lecz pragmatycznych.

Rozstrzygnięcie składu elit będzie należało do październikowego elektoratu wyborczego, który tym razem może być mniej liczny niż w czerwcu 1989 roku. Nastroje zniecierpliwienia przeplatają się bowiem z apatią, a nadzieja na w miarę szybką poprawę sytuacji jest udziałem nielicznych grup społecznych zdolnych do działania na własny rachunek, bez oglądania się na państwową redystrybucję dóbr i świadczeń.

Pesymiści w Polsce boją się bierności i wybuchu niezadowolenia środowisk, które już zostały wytrącone z układów gospodarki etatystycznej i socjalnych gwarancji, ale nie przystosowały się jeszcze do systemu gospodarki opartej na indywidualnej przedsiębiorczości i zaradności. Natomiast optymiści, nawet umiarkowani, uważają że sprawność władzy państwowej jest już w zasięgu polskiej ręki, a silna gospodarka to dla polskiego oka już nie fatamorgana. Myślę jednak, że raczej jesteśmy na początku drogi do takiego stanu rzeczy. Ale jest to już droga pewnością niż ta, którą określili drogowskaz ustawiony w lipcu 1944 roku na rozstajach polskich dróg.

(18.V.1991)

ROK

LIBERAŁÓW

Jeżeli rok 1989 można nazwać rokiem Tadeusza Mazowieckiego, zaś 1990 rokiem Jarosława Kaczyńskiego, obecny z pewnością upłynie pod znakiem Jana Krzysztofa Bieleckiego. Po ukształtowaniu się dwóch obozów politycznych — Unii Demokratycznej i Porozumienia Centrum, kolejne „pięć minut” historii przypadło w udziale Kongresowi Liberalno-Demokratycznemu, wywodzącemu się z Gdańska. Do niedawna nieliczna i mało znana partia polityczna, z chwilą wejścia jej działaczy w skład rządu zaczęła uczestniczyć w prawdziwej grze. (Jest swoistym polskim paradoksem, że po kampanii prezydenckiej zwycięskie PC znalazło się w opozycji, podczas gdy mało znaczący kongres objął przewodnictwo w procesie rządzenia krajem).

Mocną stroną liberałów gdańskich była zawsze ekonomia, dużo gorzej było z programem ideowym, tworzeniem nowych rozwiązań politycznych, ale właśnie ekonomia okazała się czynnikiem, który zdecydował o błyskotliwym sukcesie. Nad Polską stanęło bowiem widmo załamania się reform w wyniku wybuchu czy reakcji spowodowanej względami ekonomicznymi. Naprzeciw powszechnemu niezadowoleniu z kryzysu gospodarczego i mniemanej nieudolności elit „post-solidarnościowych” liberałowie wyszli z atrakcyjnym hasłem budowy „demokratycznego kapitalizmu”. Odroczenie terminu wyborów parlamentarnych z wiosny na jesień umożliwiło im zaprezentowanie przed społeczeństwem pełnej gamy możliwości.

W momencie powołania rządu przez J. K. Bieleckiego, złośliwi mówili o „pociągach” wiozących liberałów z Gdańska na stanowiska w stolicy. Prawda jest, że liberałowie potrafili zachować się jak drużyna, w której wszyscy starają się, by wygrać mecz. Jednakże zważywszy, że ówczesny kongres był jeszcze organizacją na wskroś „kadrową”, trudno byłoby nawet wypełnić własnymi ludźmi choćby jeden wagon w pociągu. Wśród tych, którzy pojechali do Warszawy warto wymienić szóstkę podróżującą w przedziale pierwszej klasy — Jana Krzysztofa Bieleckiego (premiera), Janusza Lewandowskiego (ministra przekształceń własnościowych), Andrzeja Zarębskiego (rzecznika rządu), Lecha Mażewskiego (doradcę d/s regionalizacji), Jacka Kozłowskiego i Marka Zająkale. Wszyscy oni wchodziłi w skład kilkunastoosobowego środowiska skupionego wokół wydawanego od 1983 roku w podziemiu „Przeglądu Politycznego”. Z początku daleko mu było do posiadającego wspaniałe tradycje środowiska Ruchu Młodej Polski, wydającego w latach osiemdziesiątych polityczny periodyk „Politykę Polską”. Przez kilka lat następowało jednak przedziwne zjawisko — liberałowie systematycznie rozwijali się i „od dość skromnego założenia, że warto edukować ludzi na liberalny sposób”, doszli „do pozycji partii ze swoim premierem i ministrami, partii współzrządzącej i z niezłymi rokowaniami przed jesiennymi wyborami” (Donald Tusk). Natomiast środowisko młodopolskie ulegało powolnemu „uwiądowi”, rozłamom, wreszcie rozpłyce.

Dzisiejszy kongres to nie tylko „rządowcy”, ale również dynamicznie rozwijająca się partia polityczna, do której po majowej konferencji w Warszawie

przystąpiła frakcja liberalna SD z Tadeuszem Bieniem, i którą poparł oficjalnie związek studencki NZS. To prawda, że każda partia znajdująca się aktualnie u władzy musi liczyć się z napływem nie zawsze ideowych „adeptów”, ale faktem jest również, że w Polsce nastąpił „boom” dla liberalizmu, spowodowany z jednej strony kompromitacją etosu lewicowego i socjalistycznego, zaś z drugiej licznymi błędami popełnianymi przez Kościół oraz polityków odwołujących się do tradycyjnej, chrześcijańsko-konserwatywnej prawicy.

Liberalizm — w świetle dokumentów partyjnych oraz artykułów zamieszczonych we wznowionym, tym razem legalnym „Przeglądzie Politycznym” (Nr 1/13, czerwiec 1991) — jawi się jako trzecia droga pomiędzy kolektywizmem lewicowym i integryzmem prawicowym. Promuje wolność jednostki, wiarę w indywidualną inicjatywę, tolerancję i nienaruszalność własności. W partii obecne są dwa nurty — centrowy, lub inaczej laicko-relatywistyczny (zbliżony do niemieckiej FDP) oraz konserwatywno-chrześcijański (zbliżony do amerykańskiego konserwatyzmu). Na czele kongresu znajdują się reprezentanci pierwszego nurtu (J. K. Bielecki i D. Tusk), niemniej jednak przyszłość ideowa partii wciąż jeszcze nie została rozstrzygnięta. Jak pisze L. Mażewski — w zależności od „układu sił” pomiędzy frakcjami, „KLD może nabierać charakteru liberalno-demokratyczno-konserwatywnego bądź liberalno-chrześcijańskiego”. Nie są to spory czysto akademickie, ponieważ one zadecydują o charakterze partii, jej wpływach i roli w przyszłości. Wariant liberalno-demokratyczny pozostawia wolne pole do zagospodarowania dla partii chadecko-konserwatywnej. Nic dziwnego zatem, że D. Tusk mówi o kongresie jako „partii będącej języckim ugiem” i o zaledwie dziesięcioprocentowym elektoracie, któremu nie odpowiada ani opcja chadecka, ani socjaldemokratyczna. Z kolei nasycenie liberalizmu wątkami chrześcijańskimi na wzór amerykański (R. Reagan, do którego liberałowie entuzjastycznie odwołują się, był przeciwnikiem aborcji i zwolennikiem publicznych modlitw w szkołach) umożliwiłoby budowanie silnej partii centroprawicowej, mogącej ubiegać się o zwycięstwo w wyborach. O takiej partii myślał przedwcześnie chrześcijańsko-konserwatywny liberal „M. Dzielski, i taka partia wydaje się być Polsce najbardziej potrzebna”.

„Niedookreśloność” ideowa kongresu nie oznacza całkowitego braku stałych i niewzruszonych przekonań. W sferze pozaekonomicznej liberałowie opowiadają się za modelem państwa zdecentralizowanego, w którym istotną rolę wypełniałyby samorządy lokalne. Niechęć do uszechogarniającego i wszechwiedzącego państwa oraz sympatia dla inicjatywy i autonomii lokalnej mogą być podstawą dążenia do porozumienia z innymi, nielewicowymi środowiskami. Już w przeszłości liberałowie współpracowali ze środowiskiem Ruchu Młodej Polski w ramach Klubu Myśli Politycznej im. L. Bądkowskiego, zaś w czasie ostatnich wyborów samorządowych utworzyli wspólną listę, tzw. „Sojusz dla Gdańska”, wraz ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim, Młodą Polską i rzemieślnikami.

Dynamiczny rozwój liczby i jakościowy kongresu oraz pomyślne rezultaty wypłynięcia partii „na szerokie wody” sprzyjają pokusie usamodzielnienia się, wyemancypowania spod jakichkolwiek wpływów. Po wyborach prezydenckich liberałowie dość gładko wycofali się ze współpracy z Porozumieniem Centrum. Zbyttna samodzielność, akcentowanie różnic i podziałów, mogą jednak spowodować, że po jesiennych wyborach parlamentarnych liberałowie powrócą do Gdańska. Pół biedy, jeżeli ich miejsce zajmie chrześcijańska koalicja centroprawicowa (o ile takowa powstanie), sprzyjająca budowie „demokratycznego kapitalizmu”. Warto pamiętać, iż nieumiejętność zawarcia rozsądnego kompromisu w obozie reform oraz nieodróżnianie dłuższej perspektywy, a ponadto myślenie w kategoriach interesu partyjnego, nie zaś ogólnego, z pewnością nie utrudnią zadania tym, którzy w kampanii przedwyborczej zakwestionują „en bloc” kierunek polskich reform.

Wojciech Turek

POKÓJ, BEZPIECZEŃSTWO I WSPÓŁPRACA W EUROPIE ŚRODKOWEJ

Józef Borzyszkowski

Pod takim to hasłem odbyło się w dniach 14–17 marca 1991 roku w Pradze na Uniwersytecie Karola sympozjum zorganizowane przez Interreg — Internationales Institut für Nationalitätenrecht und Regionalismus z siedzibą w Monachium, współpracujący z Federacyjną Unią Mniejszości Narodowych i Etnicznych, której Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie jest od 1990 roku członkiem. Stąd też wśród około 120 uczestników znalazł się przedstawiciel społeczności zrzeszonej, a stronę polską reprezentowali ponadto dwaj profesorowie ze Śląska. Szkoda, że zabrakło oficjalnych przedstawicieli RP, bowiem w gronie uczestników reprezentujących prawie wszystkie kraje i państwa Europy oraz inne części świata — choćby USA, Iran, Izrael, Maroko, była bardzo liczna grupa zawodowych polityków, w tym ministrów i wysokich urzędników. Powszechne zainteresowanie wzbudzała oficjalna reprezentacja ZSRR i nieoficjalni przedstawiciele m.in. republik — krajów nadbałtyckich z Kazimierą Prunskiene na czele.

Spiritus movens Interreg i całego sympozjum był niestrudzony sekretarz tegoż instytutu dr Rudolf Hilf, który w dniu inauguracji w auli uniwersyteckiej wygłosił w języku czeskim programowe przemówienie, zwracające uwagę na cztery aspekty bezpieczeństwa jako podstawowe wezwania społeczności środkowej Europy. Przypominał, że praskie sympozjum było czwartym tego rodzaju od 1988 roku. Pierwsze miało miejsce w Wiedniu, drugie w Berlinie, na którym omówiono perspektywy zjednoczenia Niemiec w kontekście bezpieczeństwa europejskiego i gdzie, jak powiedział dr R. Hilf, nikt nie przewidywał tego, co wydarzyło się w 1990 roku. Ważne jest, by środkowa Europa, obejmująca także Niemcy, obok działań struktur politycznych, poznawała się i jednoczyła poprzez bezpośrednie kontakty ludzi i środowisk, by po upadku muru berlińskiego dzielącego Europę zniknął także podział na jej bogatą i biedną część, by gwarantem bezpieczeństwa obok poczynań strategiczno-wojskowych była przede wszystkim współpraca w dziedzinie gospodarki — ekonomicznego rozwoju, ekologii, a także regionów. Współpraca regionów przekraczających granice państwowe wykluczać będzie różne konflikty, także etniczne, łagodzić skutki odżywiającego gdzieś niedziele nacjonalizmu. Zarówno dr R. Hilf, jak i rektor praskiego uniwersytetu, profesor Radim Palous, przypomnieli rolę Pragi w minionych stuleciach, która i dziś może stać się, jeśli nie stolicą, to ważnym centrum środkowej Europy. Rzeczywiście jej piękno, harmonijne obcowanie różnych stylów nie tylko architektonicznych, zaświadczaające o dawnym bogactwie, różnorodności, stanowią liczący się element uzasadnienia tych aspiracji.

Podstawowe treści i poglądy na główny temat sympozjum zostały zaprezentowane w pięciu dyskusjach panelowych: Bezpieczeństwo w środkowej Europie oznacza bezpieczeństwo dla całej Europy (w tym kontekście problem zjednoczonych Niemiec); Bezpieczeństwo przez przewyższanie podziałów na bogatych i biednych, gospodarczej dominacji i niepokojów społecznych; Bezpieczeństwo na drodze wspólnych działań na rzecz ochrony środowiska naturalnego; Bezpieczeństwo poprzez poszanowanie praw człowieka, łagodzenie konfliktów etnicznych; Europa i przyszłość naszego sąsiedztwa z Bliskim i Środkowym Wschodem.

Wielokrotnie na sympozjum padało stwierdzenie, że nie można mówić o bezpieczeństwie Europy bez uwzględnienia Związku Radzieckiego. Aktualność wydarzeń na Bliskim Wschodzie, trudności wewnętrzne Związku Radzieckiego, jak i społeczności bałkańskich w znacznym stopniu określały kierunek rozważań i zainteresowań większości dyskutantów. Jako jeden ze sposobów zabezpieczenia przed konfliktami graniczo-etnicznymi wskazywano modelowe rozwiązanie regionu europejskiego, odwołując się do przykładu bazylijskiego czyli francusko-szwajcarsko-niemieckiego. Niejednokrotnie powracała sprawa regionalnej współpracy czesko-niemieckiej, jak i szerszej — śląskiej. Dla mnie szczególnie interesujący był zaprezentowany projekt „Magna Charta Gentium et Regionum”, opracowany m.in. z myślą o kolejnym Kongresie FUEV w Budapeszcie (odbył się w maju br.) oraz referat Franza Boldta, Pomorzańczyka z urodzenia, profesora uniwersytetu bremeńskiego, a wychowanek praskiego, na temat „Znaczenie europejskiego regionu Königsberg”, a także publikowany tu referat dr. Frieda Esterbauera z Innsbrucku pt. „Federalizm i regionalizm w Europie Środkowej”. Jestem przekonany, że nie tylko musimy znać tego rodzaju myśli polityczne, ale i musimy uczestniczyć w europejskiej dyskusji o tych problemach, co urzeczywistnia się coraz bardziej. Dlatego też przy okazji chciałbym zasygnalizować inną pracę, której współtwórcą, obok Petera Pernthalera, jest wspomniany autor. Chodzi o „Europäischer Regionalismus am Wendepunkt — Bilanz und Ausblick”, Schriftenreihe des Instituts für Föderalismusforschung. Band 49 Veröffentlichungen der österreichischen Sektion des CIFE 12, Wiedeń 1991. („Europejski regionalizm w punkcie zwrotnym — bilans i punkt widzenia”. Seria wydawnicza Instytutu ds. Federalizmu, tom 49, publikacja sekcji austriackiej CIFE — Centre International de Formation Européenne). W tej pracy prezentowany tu artykuł F. Esterbauera stanowi swoistą konkluzję całości rozważań o aktualnych problemach i perspektywach regionalizacji i federalizacji Europy. ■

FEDERALIZM I REGIONALIZM W EUROPIE ŚRODKOWEJ

Fried Esterbauer

Europa ze względu na swe struktury etniczne, kulturowe, socjalne i gospodarcze, a przede wszystkim jej część środkowa, potrzebuje regionalizmu, a szczególnie federalizmu.

Federalizm jest skończoną formą regionalizmu, rozszerzeniem demokracji poprzez zwiększony udział obywateli w życiu politycznym, realizujący się przez samodzielne instytucje regionalne, z którymi obywatele silnie się identyfikują, jako im bliższymi. Dzięki systemowi federacyjnemu łatwiej można zapobiegać koncentracji władzy państwowej i unikać konfliktów.

Z błędów przeszłości należy wyciągnąć następujące wnioski:

Granice narodowe i regionalne muszą opierać się na samostanowieniu.

Narodom, dużym i małym, należy pozostawić wybór stanowienia o formach konstytucyjnych: od autonomii regionalnej poprzez struktury federacyjne aż do konfederacyjnych związków państw.

Status suwerennych państw, jak też regionów autonomicznych, powinien być możliwie niezależny od pozostałych składników politycznego porządku; nie uzależniony od powszechnej federalizacji lub też regionalizacji, gdyż procesy te będą następować niejako samoczynnie, stopniowo.

Duże autonomiczne państwa, których na ogół nie obchodzą regionalne dążenia obywateli, należy — nawet gdy same wchodzą w skład federacyjnego lub konfederacyjnego systemu — również przekształcać w kraje związkowe (kantony).

Podział kompetencji powinien następować według zasady subsydialnej, według zasady przenoszenia kompetencji typowych dla większych społeczności, ponieważ kompetencje te mogą być tam lepiej wykorzystane.

Państwa autonomiczne powinny mieć także uprawnienia do prowadzenia kooperacji wewnątrzeuropejskiej (np. środkowoeuropejskiej) poprzez umowy państwowe i organa między państwowe, natomiast autonomiczne kraje i regiony (w granicach autonomii) powinny mieć prawo do tworzenia regionów wykraczających poza granice, celem zniesienia granic narodowościowo-państwowych i tym samym przyczynienia się do integracji europejskiej.

Narodom, które na obszarach przez siebie zamieszkiwanych są tylko mniejszościami (rozproszonymi mniejszościami), należy stworzyć możliwości jak największego samostanowienia poprzez autonomię personalną, w szczególności kulturalną, oraz jak największe możliwości współstanowienia w odpowiednich autonomicznych regionach.

Także system społeczny powinien być najpełniej, jak tylko to jest możliwe, federalistyczny, nie zaś poddany kuratelii mniej lub bardziej centralistycznego aparatu władzy.

Konfederacyjnie zorganizowana Europa środkowa powinna stanowić uzupełnienie przyszłej, możliwie ogólnoeuropejskiej, unii gospodarczej, walutowej, a także w zakresie polityki zagranicznej Unii Europejskiej.

Autonomia regionów

Celem zapewnienia i zagwarantowania regionalnej odrębności, jak też rozszerzenia demokracji poprzez szerszy udział ludności w życiu politycznym oraz zwiększenia kontroli politycznej, nadaje się regionom autonomię w sprawach regionu w takim wymiarze, w jakim regiony te — na różne sposoby — chcą z niej korzystać, oczywiście w połączeniu z autonomią kulturalną w ewentualnych regionach mniejszości etnicznych.

Zakres kompetencji regionów, zgodnie z zasadą subsydialności, rozszerzony zostaje przez zapewnienie możliwie dużej swobody w zakresie koordynacji współpracy międzyregionalnej, urzeczywistniającej się poprzez Europejskie Zgromadzenie Regionalne. Zgromadzenie to działa w ramach Wspólnoty Europejskiej (EWG) poprzez regionalne parlamenty w jednej z izb krajowych Parlamentu Europejskiego.

Celem dalszego rozszerzenia autonomii regionalnej i poszerzenia obszaru wolności, jak również budowanie integracji europejskiej, wspierane będzie tworzenie regionów ponadgranicznych — począwszy od małych „euroregionów” aż do nowego typu ponadgranicznych europejskich regionów autonomicznych państw regionalnych.

Autonomia regionów ugruntowana zostanie przez wolne decyzje małych regionów o ich przynależności do większych oraz samoorganizację poprzez prawo opracowania i ustanowienia własnego autonomicznego statutu.

Regionalne samostanowienie i silniejsza integracja demokratyczna związane z identyfikacją obywateli z instytucjami politycznymi, jak też przede wszystkim unikanie i regulowanie konfliktów etnicznych, muszą być uwolnione od centralnej opieki państwa. Ludności etnicznej przysługuje prawo narodów do samostanowienia, podobnie jak autonomicznym państwom regionalnym, z własną autonomią konstytucyjną, nie wymagającą aprobaty władz centralnych.

Tak więc nie tylko większości narodowe w państwie, ale i mniejsza liczebnie ludność regionalna łatwiej się będzie identyfikować z własnymi pań-

stwami i stanie się prawdziwym „udziałowcem władzy”.

W celu unikania i regulowania konfliktów etnicznych należy stworzyć możliwości uzyskiwania przez mieszkańców autonomicznych państw regionalnych, obok podwójnego obywatelstwa, także obywatelstwa krajowego, które ich uwolni od problemów identyfikacyjnych.

Europa, która w przeszłości była złym przykładem mniej lub bardziej centralistycznych i imperialistycznych państw narodowych, powinna stać się przykładem wolności i równości narodów i regionów poprzez rozwijanie zarówno federalistycznej Unii państw regionalnych, jak i Unii Europejskiej, unii w zakresie polityki zagranicznej, gospodarki i systemu walutowego, słowem jako unii federacyjnej lub konfederacyjnej.

ETNICZNY KOLORYT EUROPY

Brunon Synak

Problemy etniczne współczesnej Europy kojarzymy najczęściej z odradzaniem się narodu litewskiego, z autonomicznymi dążeniami Basków czy z dyskryminacją Węgrów rumuńskich. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę z pełnej złożoności etnicznej starego kontynentu, z wielu powikłań i zagrożeń. Zagrożeniem dla małych wspólnot etnicznych są nie tylko większe narody czy silne państwa. „Widmo komunizmu” oraz duch cywilizacji przemysłowej i homogenicznej kultury, które najwcześniej zadomowiły się w Europie, wyrządziły — póki nie przyszło opamiętanie — wiele szkód temu, co małe, piękne i autentyczne.

Etniczny odruch samoobrony pojawił się w organizacyjnej postaci już w roku 1949, kiedy to w Wersalu pod Paryżem powstała Federacyjna Unia Narodowości Europejskich (FUEN), zrzeszająca mniejszości narodowe i grupy etniczne. Celem unii jest ochrona języka, kultury i innych wartości wspólnot etnicznych poprzez prowadzenie międzynarodowej działalności na rzecz poszanowania podmiotowych praw tych społeczności. W zasięgu swoistego parasola ochronnego jakim jest FUEN znajdują się grupy wyróżnione na podstawie języka, kultury i tradycji, nie stanowiące odrębnego państwa, względnie żyjące poza terytorium państwa własnego narodu. Unia współpracuje dziś bardzo blisko z Radą Europy, w której od dwóch lat posiada status grupy konsultacyjnej. Oprócz rozwiązywania konkretnych problemów poszczególnych grup etnicznych organizacja ta stawia sobie za zadanie wpływanie na kształt przyszłej Europy, w której istotną rolę odgrywać będą wspólnoty etniczne i regionalne.

Działalność FUEN (w języku niemieckim „FUEV”, we francuskim — „UFCE”) polega przede wszystkim na zgłaszaniu petycji i apeli do rządów, parlamentów i autorytetów międzynarodowych w sytuacjach, gdy grupy etniczne czy mniejszości narodowe oczekują pomocy oraz interwencji. FUEN prowadzi też różne formy aktywności informacyjnej, m.in. wydając własny biuletyn oraz ściśle współpracując ze znanym czasopiśmie „Europa Ethnica”, ukazującym się od trzydziestu już lat w Wiedniu. Najważniejszą jednak i najbardziej spektakularną formą działalności unii są kongresy, organizowane wspólnie z Młodzie-

zową Organizacją Grup Etnicznych (YEN) oraz z Międzynarodowym Instytutem Praw Etnicznych i Regionalizmu (INTEREG).

Ostatni taki kongres, XVIII już z rzędu, odbył się w maju br. w Budapeszcie. Wzięło w nim udział ponad 200 osób reprezentujących około pięćdziesiąt organizacji zrzeszonych w FUEN — wśród nich przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, które ma status członka stowarzyszonego unii. O randze kongresu — znakomicie zresztą zorganizowanego — świadczyć może obecność członków Parlamentu Europejskiego oraz najwyższych dostojników rządu węgierskiego. Merytoryczna część kongresu poświęcona była przede wszystkim zagadnieniom mniejszości etnicznych na Węgrzech oraz problemom etnicznym w innych krajach postkomunistycznych. Wiele miejsca zajęły również sprawy proceduralne i programowe (sprawozdanie z rocznej działalności i plany na rok najbliższy). Najciekawszą częścią kongresu była prezentacja spraw i problemów poszczególnych grup etniczno-narodowych. Wystąpienia przedstawicieli organizacji etnicznych miały różny charakter — od wyłącznie kurtuazyjnych po dramatyczne niemal apele do władz FUEN o interwencję (np. Węgrzy rumuńscy). Kilkadziesiąt wystąpień przedstawicieli różnych zakątków Europy (nawet z Kurdystanu) pozwoliło wyobrazić sobie ogrom trudnych i nie rozwiązanych problemów etnicznych i narodowościowych, jak również przybliżyło bogactwo kulturowe oraz narodowościową wielobarwność naszego kontynentu. Szczególne zainteresowanie i sympatię odczuwało się wobec społeczności niedużych, ale bogatych kulturowo, jak i wobec grup dopiero się „budzących”. Miło odnotować, że wśród tej bogatej mozaiki obecność Kaszubów była zauważalna, a uczestniczący w kongresie przedstawiciele ZK-P spotykali się z ogromną życzliwością i dużym zainteresowaniem (zaskoczeniem była stosunkowo duża wiedza wielu uczestników o Kaszubach). Wyrazem tego zainteresowania było „rozwijanie” zabranych przez nas materiałów o Zrzeszeniu i Kaszubach, propozycje nawiązania bezpośrednich kontaktów oraz wiele pytań ze strony uczestników kongresu i licznie tu reprezentowanych środków masowego przekazu (m.in. udzielono wywiadu o Kaszubach radiu duńskiemu). W tym bogatym koloryte etniczno-kulturowym i narodowościowym odczuwało się różny stopień bliskości psychicznej — niekiedy nie uwarunkowany historycznie — z przedstawicielami innych grup etnicznych. Szczególnie bliscy wydawali się Serbowie łużyccy, Retoromanie i Fryzowie. Być może jest to swoisty paradoks, że im bardziej zgłębialyśmy wzajemne odmienności kulturowe, tym więcej dostrzegaliśmy podobieństw. Bezpośrednie zetknięcie się z „innymi”, a jednocześnie wielorako „podobnymi”, daje rzeczywiste szanse doceniania piękna i wartości tego, co małe, regionalne, specyficzne; rodzi zarazem tęsknotę za tym, co zostało już zatraczone i umacnia przekonanie o potrzebie i możliwości zachowania tego, co przetrwało.

W tym też duchu sformułowany został podstawowy dokument kongresu, jakim była „Rezolucja”, wyrażająca poparcie dla „Konwencji podstawowych praw grup etnicznych w Europie”, przygotowanej przez przedstawicieli południowego Tyrolu. Dokument ten — wymagający szerszego, odrębnego omówienia — ma być przedstawiony na najbliższym spotkaniu ekspertów KBWE w Genewie. Jego celem jest zagwarantowanie niezbywalnych praw ludzkich wszystkim, ponad stu, grupom etničnym i mniejszościom narodowym żyjącym w Europie, dla ochrony ich języka, specyficznych wartości kulturowych i własnej tożsamości, jak również dla zapewnienia zasad demokracji, wolności i pełnej podmiotowości. Ostatni Kongres FUEN był zatem ważnym krokiem w kierunku budowania podstaw „Europy Regionów”. Następny, przyszłoroczny, odbędzie się w Bratysławie. Jest bardzo prawdopodobne, że gospodarzem jednego z najbliższych kongresów FUEN będzie Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, w każdym razie — oferta nasza przyjęta została z dużym zainteresowaniem. ■

KASZUBSKIE MSZE ŚWIĘTE:

80-384 **Gdańsk-Przymorze**, ul. Zwycięzców 19, tel. 52-03-93, kościół p.w. NMP Królowej Różańca Świętego, w pierwszy wtorek miesiąca, godz. 19.15. Po mszy spotkanie jej uczestników.

81-197 **Gdynia-Babie Doly**, ul. Rybaków 2A, tel. 25-43-88, kościół p.w. Matki Boskiej Lisińskiej Bolesnej Królowej Polski, w ostatnią niedzielę miesiąca, godz. 12.15.

TELEWIZJA, PROGRAM II

nadaje w co drugą niedzielę o godz. 10.30 magazyn kaszubski „Rodnô zemia”, a w nim kurs języka kaszubskiego „Gôdômë po kaszëbsku”.

KASZUBSKIE PLACÓWKI MUZEALNE:

Będomin, poczta 83-422 Nowy Barkoczyn, tel. Nowa Karczma 83, Muzeum Hymnu Narodowego: wt.—sob. 9—16, niedz. 10—16;

77-100 **Bytów**, ul. Zamkowa 2 (Zamek), tel. 26-23, Muzeum Zachodniokaszubskie: codziennie 10—15;

89-600 **Chojnice**, Brama Człuchowska, tel. 23-19, Muzeum Historyczno-Etnograficzne: wt. 11—17, śr.—piąt. 10—15, sob. 9—14, niedz. 10—14;

80-338 **Gdańsk-Oliwa**, ul. Opacka 12 (Spichrz Opacki), tel. centr. 52-12-71 do 73, wewn. 18 i 19, Muzeum Etnograficzne: wt.—sob. 10—16, niedz. 11—17;

81-356 **Gdynia**, ul. Starowiejska 30, tel. 21-90-73, Dom Antoniego Abrahama: wt.—niedz. 11—17;

84-150 **Hel**, Bulwar Nadmorski 3, tel. 75-05-52, Muzeum Rybołówstwa: wt.—niedz. 9.30—17.30;

83-300 **Kartuzy**, ul. Kościarska 1, tel. 81-03-78, Muzeum Kaszubskie: wt.—piąt. 8—16, sob. 8—15, niedz. 10—14;

Kłuki, poczta 76-214 Smołdzino, tel. Słupsk 11-63-44, Skansen Słowiński: śr.—niedz. 10—15.30;

Nadole, poczta 84-250 Gniewino, tel. 72-76-44, Zagroda Gburska: pon. oraz śr.—piąt. 9—12 i 14—17, sob. 9—16, niedz. 11—15;

84-100 **Puck**, pl. Wolności 28 (Kamienica Mieszczańska), tel. 73-29-96 i ul. Wałowa 11 (Szpitalik z XVIII w.), tel. 73-22-29, Muzeum Ziemi Puckiej: pon. oraz śr.—piąt. 9—12 i 14—17, sob. 9—16, niedz. 11—15;

76-200 **Słupsk**, ul. Dominikańska 5 (Zamek), tel. 2-40-81 i 2-65-18, Muzeum Pomorza Środkowego: śr.—niedz. 10—15.30;

76-214 **Smołdzino**, ul. Bohaterów Warszawy 1, tel. Słupsk 11-62-64 i 11-63-39, Muzeum Przyrodniczo-Leśne Słowińskiego Parku Narodowego: codziennie 9—17;

Wdzydze Kiszewskie, poczta 83-406 Wąglikowice, tel. 058-86-12-88 i Kościelna 058-86-43-64, Kaszubski Park Etnograficzny: wt.—niedz. 9—16;

84-200 **Wejherowo**, ul. Sobieskiego 239, tel. 72-29-56, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, wystawy: wt.—piąt. 10—15, sob. i niedz. 10—14; ul. Wałowa 14A, czytelnia i całość zbiorów: dni powszednie 8—15;

83-441 **Wiele**, tel. 198-83-88-70, Muzeum Ziemi Zaborskiej i Galeria Współczesnej Sztuki Ludowej Kaszub: wt.—sob. 9—16;

84-120 **Władysławowo**, ul. Morska 6 (Hallerówka), tel. 74-06-85, Muzeum Nadmorskiego Parku Krajobrazowego: pon.—piąt. 9—14 oraz pierwsza i ostatnia sobota miesiąca 9—11.

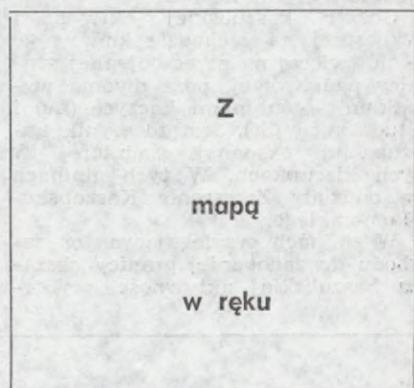
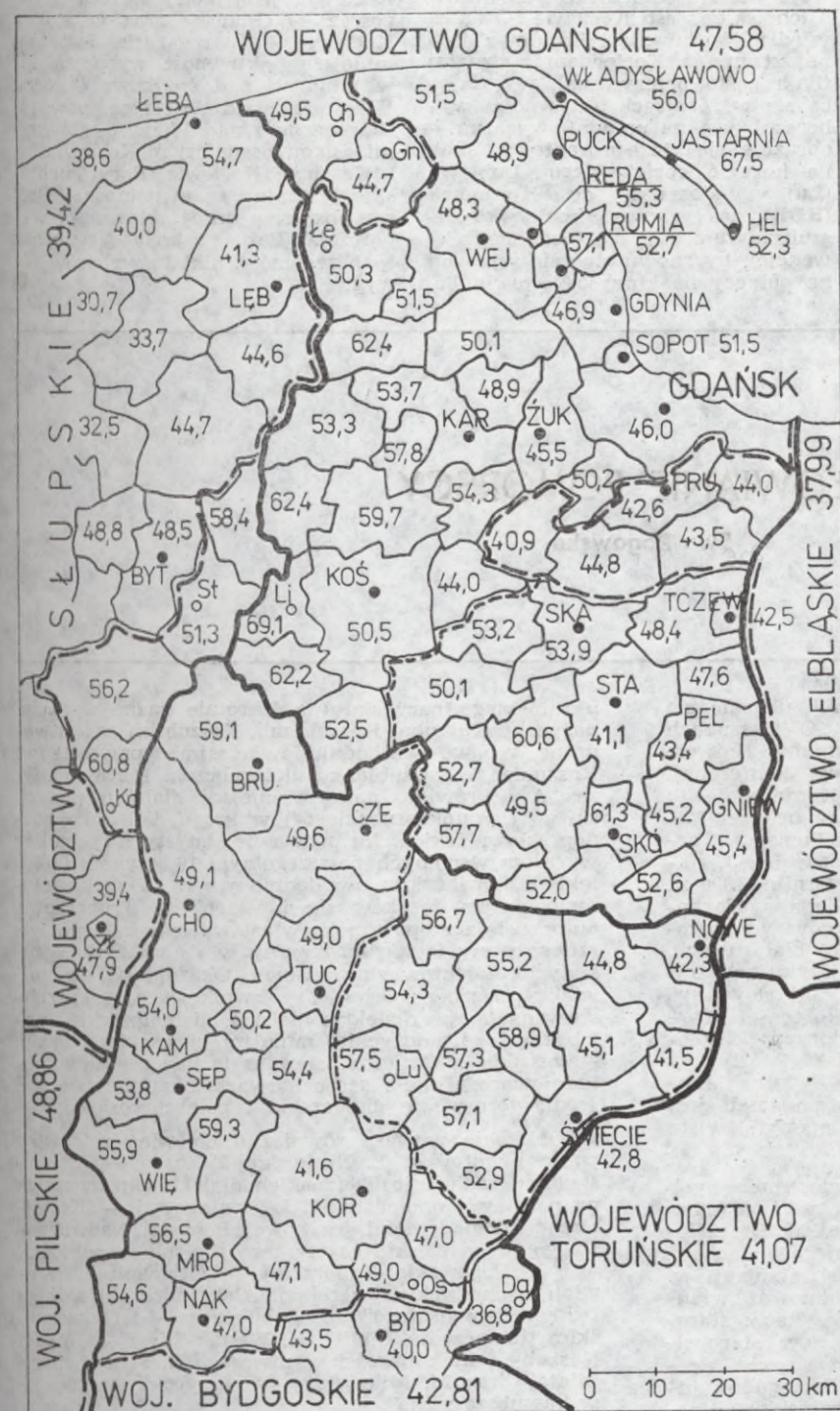
SKLEPIK KASZUBSKI:

80-834 **Gdańsk**, ul. Szewska 1—4, tel. 31-32-35: poniedziałek—piątek 10—17:

- wydawnictwa dotyczące Kaszub i Pomorza,
- kasety magnetofonowe z piosenkami kaszubskimi,
- dzieła kaszubskiej, kociewskiej i borowiackiej sztuki ludowej (hafty, malarstwo, rzeźby),
- porcelana z ZPS „Lubiana”.

KASZUBSKO-KOCIEWSKO-BOROWIACKO-KRAJEŃSKI OBSZAR AKTYWNOŚCI WYBORCZEJ

Janusz Kowalski



Dane dotyczące frekwencji wyborczej w poszczególnych województwach podczas wyborów do Senatu (główna I tura 4 VI 1989), do rad (27 V 1990) i w wyborach prezydenckich (decydująca II tura 9 XII 1990), naniesione na mapę, układają się podobnie. Największa frekwencja w wyborach do Senatu była w województwie rzeszowskim, następne w gdańskim, przemyskim i krośnieńskim. W dwu pozostałych wyborach było podobnie: wysoką frekwencję zanotowano w województwach galicyjskich, tuż za nimi było leszczyńskie, piłskie i gdańskie (wybory do rad) oraz gdańskie, leszczyńskie i warszawskie (wybory prezydenckie).

Utrzymywanie się województwa gdańskiego w czołówce frekwencji wyborczej spowodowało, że zająłem się tym województwem na tle województw pobliskich, głównie bydgoskiego, słupskiego i piłskiego. Z Dzienników Urzędowych województw wydobylem dane o frekwencji podczas wyborów do rad w poszczególnych gminach i naniosłem je na mapę. W rezultacie dzięki mapie możliwe stało się uchwycenie aktywności wyborczej mieszkańców woj. gdańskiego, a także jak wyglądała frekwencja w tych częściach województwa — słupskiego i bydgoskiego — które sąsiadują z woj. gdańskim.

Wyraźnie aktywniejsza okazała się część południowo-wschodnia woj. piłskiego, tj. zachodnia Krajna, niż jego część północno-zachodnia. Frekwencja wyborcza w woj. słupskim była w gminach wschodnich, od Konarzyn (na mapie Ko) po Lebę, wyższa niż w gminach pozostałych. Woj. bydgoskie dzieli się, w przybliżeniu po linii toruńsko-eberswaldzkiej części pradoliny pra-Wisły, na mniej aktywne kujawskie południe i aktywniejszą północ (wschodnia Krajna, południowe Kociewie, Bory Tucholskie i część południowych Kaszub).

Frekwencja w wyborach do rad 27 V 1990 r. w województwie gdańskim i na obszarach sąsiednich w procentach oddanych głosów. Połączyłem niektóre miasta i sąsiednie gminy w jeden obszar. Linie rzadko przerywane — granice obszaru wysokiej aktywności wyborczej mającej przedłużenie w województwie piłskim (zachodnia Krajna), linia gęsto przerywana — granica zachodnia obszaru kociewskiej aktywności wyborczej.

Najbardziej kontrastowa jest sytuacja w woj. gdańskim. Ukazuje ją mapa.

Największą aktywność wyborczą wykazują (tu i w ogóle na rozpatrywanym obszarze czterech województw) **Kaszubi**, aż 69,1 proc. w gminie Lipusz (**Li**) i 67,5 proc. w Jastarni. Jest znamienne, że te miejscowości przodują także we wskaźniku liczby członków ZK-P na 1000 mieszkańców, o czym pisałem w „Pomeranii” nr 2—3/90.

Obszar kaszubskiej aktywności wyborczej na zachodzie kończy się mniej więcej na przedwojennej granicy państwowej, poza dwoma wyjątkami — gminami Łęczycę (**Łe**) i Studzienice (**St**). Jest to wynik kaszubskiej ekspansji osadniczej w tych kierunkach. W tych gminach są oddziały Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

W gminach przylegających od zachodu do zachodniej granicy obszaru kaszubskiej aktywności wybor-

czej (linia rzadko przerywana) frekwencja w wyborach do rad była nawet o 21,4 proc. niższa (gmina Człuchów — **CZŁ**) niż w gminach po wschodniej stronie tej granicy (Konarzyny — **Ko**).

Obszar kaszubskiej aktywności wyborczej w województwie gdańskim i słupskim ma **południowokaszubskie, borowiackie i krajeńskie przedłużenie** w województwie bydgoskim i pilskim.

Na wschód od Kaszub i od Borów Tucholskich jest **Kociewie**. Granica między Kaszubami i Borami z jednej strony, a Kociewiem z drugiej (linia gęsto przerywana), wyrażająca się w różnicach aktywności wyborczej, jest na południu wyraźna — obrazuje ją 15,9-procentowy skok na korzyść kociewskiego Lubiewa (**Lu**) w stosunku do Koronowa (**KOR**), zaś granica kociewsko-kaszuńska zamazuje się (podobne frekwencje), by znowu stać się wyraźną na północy na korzyść Kociewia. Tu,

między Kociewiem a Gdańskiem są **gminy byłego Wolnego Miasta Gdańska**, w których aktywność wyborcza jest znacznie mniejsza niż w gminach sąsiednich.

Frekwencja wyborcza na omawianym terenie Kaszub, Borów i Kociewia jest niższa tam, gdzie przeważa ludność napływowa, a wyższa na terenach ze społecznościami zasiedziały. Przykładowo, wielu przybyszów osiedliło się na Kociewiu przy kolei i szosie Bydgoszcz — Gdańsk oraz w stolicy Kociewia — Starogardzie. Jest tam mniejsza aktywność wyborcza niż w gminach nad środkową i górną Wdą oraz nad Wierzycą powyżej Starogardu i nad Wietciszą, głównymi osadniczymi Kociewia.

Kaszuby, Kociewie, Bory Tucholskie i Krajna są w północnej Polsce obszarem dużej aktywności wyborczej. Bez poparcia środowisk tych regionów, nikt tu wyborów nie wygra.

SŁOWIANIE POMORSKY

Ewa Rogowska

W 3 numerze tegorocznej „Pomeranii” ukazało się sprawozdanie Marka Cybulskiego pt. „O Kaszubach w Tarnopolu” z pobytu grupy pracowników Uniwersytetu Gdańskiego na międzynarodowej konferencji poświęconej Słowianom pomorskim. Konferencję tę zorganizował dla uczczenia 120 rocznicy urodzin Miłofana Bręczkiewicza, badacza historii Pomorza, Tarnopolski Państwowy Instytut Pedagogiczny im. J. Hałana. Odbędzie się ona pod koniec października 1990 r., a już na początku 1991 r. została wydana w Tarnopolu publikacja zawierająca tezy referatów wygłoszonych podczas obrad przez ukraińskich, białoruskich, rosyjskich i polskich historyków i językoznawców. Wydawnictwo to, zatytułowane „Pomorski słowjany” („Słowianie pomorscy”), ukazało się jako tom II Tarnopolskich Słowistycznych Prac Historyczno-Filologicznych, wydawanych przez Tarnopolski Państwowy Instytut Pedagogiczny im. J. Hałana i Związek Miłośników Kultury Ukraińskiej. Redaktorem tomu jest Afanasij Łomakowicz, zaś sekretarzem młody sławista Sergij Tkaczow.

Publikację tworzy 25 dwu- do pięciostroniowych streszczeń wystąpień konferencyjnych, w tym m.in. 2 prace poświęcone spuściźnie naukowej M. Bręczkiewicza, 7 — historii Pomorza Wschodniego i Zachodniego, Łużyc i Połabia, 1 — działalności misyjnej św. Jacka, 2 — nadmorskim językom południowosłowiańskim 2 — słownictwu morskemu w językach: staro-cerkiewno-słowiańskim, staroczeskim i w staropolszczyźnie. Najwięcej, bo aż 10 prac, to streszczenia referatów dotyczących kaszubszczyzny. Szczególnie interesujące są tu prace uczonych ukraińskich i rosyjskich. N. Tkaczowa zajmuje się miejscem i funkcją kaszubistyki na stronach krakowskiego czasopisma „Świat słowiański”, O. Leszczak poddaje funkcjonalno-strukturalnej analizie statystycznej „Słownik języka pomorskiego” S. Ramuła (tarnopolska uczelnia posiada egzemplarz tego słownika jeszcze z pieczęcią sławnego Liceum Krzemienieckiego), Ł. Plachotniuk pisze o utrwaleniu się etnonimu Kaszuba w funkcji

ukraińskiego nazwiska (na Ukrainie znane są m.in. nazwiska Kaszuba, Kaszubczak, Kaszubskij oraz utworzone typowo wschodniosłowiańskimi przyrostkami Kaszubiec, Kaszubienko, Kaszubczuk i Kaszubnij), zaś A. Żurawłow omawia miejsce dialektu pomorskiego („protokaszubskiego”) w kręgu dialektów późnoproslawiańskich. Na podstawie statystycznej analizy wyrazów wspólnych poszczególnym 16 językom i dialektom słowiańskim uwzględnionym w „Słowniku etymologicznym języków słowiańskich” O. Trubaczowa, autor ustala stopień pokrewieństwa leksykalnego kaszubszczyzny i słowiańszczyzny w stosunku do pozostałych dialektów słowiańskich. Okazuje się, że największą liczbę zbieżności słownikowych z kaszubszczyzną mają dialekty: polskie, dolnołużyckie, połabskie i górnołużyckie, mniejszą słowackie, czeskie, białoruskie, ukraińskie, słoweńskie, macedońskie, południoworusyjskie i serbochorwackie, najmniejszą zaś środkoworusyjskie, bułgarskie i północnorusyjskie.

Publikacja zawiera również 6 omówień referatów polskich autorów: E. Rzetelskiej-Feleszko — „Rekonstrukcja zachodniosłowiańskich dialektów pomorskich na podstawie onomastyki”, J. Zieniukowej — „Kształtowanie świadomości językowej Pomorza Nadwiślańskiego przez polskie gazety tego regionu w poł. XIX w.”, H. Popowskiej-Taborskiej — „Germanizacja Słowian nadbałtyckich w relacji Aleksandra Hilferdinga i Jana Papłńskiego”, M. Cybulskiego — „O kaszubskim tłumaczeniu Biblii”, R. Wosiak-Sliwy — „Model Kaszuby i kaszubskości w utworach literackich Jana Bilota” oraz M. Milewskiej — „Przyimki temporalne w kaszubszczyźnie”.

Tom „Słowianie pomorscy”, będący pięknym świadectwem współpracy naukowej między ośrodkami ukraińskim (Tarnopol, Łuck), polskim (Gdańsk, Warszawa), białoruskim (Homel) i rosyjskim (Moskwa), na pewno przyczyni się do spopularyzowania, przede wszystkim na Ukrainie, tematyki pomorskiej i kaszubskiej.

O NARODZINACH DEMOKRACJI LOKALNEJ

Bohdan Jałowiecki, *Narodziny demokracji lokalnej*. Warszawa 1991.

Mamy za sobą już rok działalności samorządów miejskich i gminnych. Znamy możliwości ich funkcjonowania. Przygotowując się do kolejnych etapów decentralizacji władzy, także do wyborów parlamentarnych, warto przypomnieć sobie narodziny lokalnych demokracji, by zrobić to lepiej, skuteczniej. Pomocą służyć może książka Bohdana Jałowieckiego pt. „Narodziny demokracji lokalnej”. Książka ta ukazała się w serii prac dokumentujących badania w zakresie programu „Rozwój regionalny — rozwój lokalny — samorząd terytorialny”, prowadzone pod patronatem Instytutu Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Warszawskiego. Badania przeprowadzono w latach 1985—1989, przy czym rok 1989 był decydujący.

Autorzy badań — socjologowie z różnych ośrodków kraju — świadomi różnicowań regionalnych, zauważyli, że na drodze przekształceń gospodarczych i społecznych — jak to sformułował we wstępie B. Jałowiecki — „Istnieją takie układy, w których już dzisiaj obserwować można znaczną wewnętrzną dynamikę i aktywność społeczną na rzecz poprawy swojego losu, są jednak też takie, a jest ich nieporównanie więcej, które oczekują na to, że ktoś z zewnątrz przyjdzie i poprawi ich los”. Postawy twórcze (autor nazywa je innowacyjno-kreacyjne) występują częściej w społecznościach Wielkopolski, Pomorza i dawnej Galicji. Natomiast na Ziemiach Odzyskanych i w dawnym Królestwie bardziej rozpowszechnione są postawy konserwatywno-adaptacyjne. „Czynnikiem dynamizującym społeczności lokalne jest duży udział mniejszości narodowych lub etnicznych. Potwierdzają to badania na Kaszubach i w zamieszkałej przez Litwinów gminie Puńsk”.

Generalnie omawiana praca zawiera obraz przemian polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej między wyborami parlamentarnymi w 1989 roku a wyborami do samorządów w 1990 roku. Badaniem objęto 21 gmin, w tym 4 kaszubsko-pomorskie: Tucholę, Puck, Sierakowice i Żukowo. B. Jałowiecki prezentując wyniki omawia takie zagadnienia jak: Lokalne sceny polityczne — sytuacja przed wyborami i wymiana elit; Dynamika kampanii wyborczej; Wyniki wyborów. W ostatnim rozdziale — Od totalitaryzmu do demokracji? (ów znak jest bardzo istotny!) zawarł interesujące refleksje i spostrzeżenia o burzliwych miesiącach przełomu lat 1989/90.

Szczególną jednak uwagę czytelników „Pomeranii”, przede wszystkim członków społeczności zrzeszonej, chciałbym zwrócić na te fragmenty książki, w których ukazana jest sytuacja wymienionych wyżej gmin kaszubsko-pomorskich przed wyborami i w trakcie wyborów. Odnotowano tu między innymi podmiotową, stymulującą zmiany rolę oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, zarówno jako reprezentanta naszej społeczności etnicznej, jak i organizacji zakorzenionej w terenie, reprezentującej uniwersalne wartości zawarte także w programach Komitetów Obywatelskich i „Solidarności”, dla których ZK-P było najczęściej najbliższym partnerem. (Odnotowano też sytuacje odmienne i ich uwarunkowania). Sformuło-

wane przez socjologów opinie wydają się trafne. Warto je przedyskutować nie tylko w tych oddziałach, na terenie których prowadzono badania. Można z tej książki uczyć się demokracji, sztuki politycznych kompromisów i stanowczości w walce o pryncypia. Działacze Oddziału Puckiego i innych mogą poczuć się usatysfakcjonowani choćby takimi opiniami: „Na puckiej scenie lokalnej istotną rolę, jeszcze przed wyborami czerwcowymi, odgrywał Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego (...), które umożliwiło integrację i ekspresję tożsamości kaszubskiej grupy etnicznej” „Jedynym przejawem niezależnej aktywności społecznej na terenie tej gminy [Sierakowice] była przed wyborami czerwcowymi działalność Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Nie rozwijał on jednak szerszej działalności”. „W Żukowie, podobnie jak w innych badanych miejscowościach województwa gdańskiego, Komitet Obywatelski współpracuje ze Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim. Podobnie jak w Pucku i Sierakowicach, redaktorzy prasy lokalnej opowiadają się za propagowaniem języka kaszubskiego, a nawet przeznaczają część miejsca w gazecie na drukowanie tekstów w języku kaszubskim. Członkowie Zarządu Głównego, przy czynnym zaangażowaniu niektórych działaczy z Żukowa, zamierzają przygotowywać przyszłą inteligencję kaszubską, kształcąc ją w liceum kaszubskim.

Miejscowa parafia jest dość silnie zaangażowana w pozareligijne sfery życia społecznego i pełni, podobnie jak w wielu innych badanych przez nas miejscowościach, rolę moderatora procesów społecznych”.

Dziś można pełniej zrozumieć ówczesne uwarunkowania, ocenić działalność, ludzi i programy. Warto jednak przeanalizować nasze lokalne działania w szerszym kontekście — regionu i kraju. W całej książce, a szczególnie we fragmentach nas najbardziej interesujących, za najcenniejsze uznałbym te spostrzeżenia i refleksje, które ukazują skomplikowanie naszej rzeczywistości społeczno-politycznej i potrzebę podejmowania decyzji na własną odpowiedzialność, choć najczęściej w interesie lokalnej społeczności. Trzeba nam uczyć się zasad funkcjonowania społecznego w warunkach demokracji. Nie wolno tu zbyt wiele improwizować, trzeba się uczyć na cudzych i własnych błędach, najlepiej tych z przeszłości. Jest to szczególnie ważne przy budowaniu drugiego szczebla samorządu terytorialnego — budowania Polski regionów, w czym decydujący głos będzie miał niewątpliwie nowy parlament.

Józef Borzyszkowski

NA POCZĄTKU DROGI

Lech Bądkowski. *Pomorska myśl polityczna*. Arkun 1991.

„Pomorska myśl polityczna” Lecha Bądkowskiego ukazała się po raz pierwszy drukiem w Londynie w 1945 roku, kiedy jej — wówczas dwudziestopięcioletni — autor pełen był jeszcze młodzieńczego idealizmu. Jeden z „Kolumbów” — urodzony w 1920 roku — spędził młodość na walce zbrojnej o niepodległą Polskę, ale w wolnych chwilach zaznaczył swoją

obecność jako publicysta londyńskiej „Myśli Polskiej”, związanej ze Stronnictwem Narodowym, oraz jako młody polityk — współtwórca Związku Pomorskiego, powołanego w Londynie 10 marca 1945 roku. Pracowitość i obowiązkowość to zresztą wyraźne cechy Pomorzan — a Bądkowski pochodził z Torunia — toteż trudno dziwić się, że będąc żołnierzem Armii Polskiej na Zachodzie kształtował jednocześnie przyszłą osobowość polityka i myśliciela. Szczęśliwie uniknął losu wielu młodych ludzi, którzy zbyt ufają w doświadczenie starszego pokolenia, zamiast polegać na własnym idealizmie i woli zmieniania rzeczywistości.

Książkę Bądkowskiego wyróżnia jej ponadczasowość — po upływie blisko półwiecza nie straciła w niczym na aktualności i nadal urzeka swoją oryginalnością. Jak widać, młody wiek nie stoi na przeszkodzie w tworzeniu dojrzałej myśli politycznej, do której dzisiaj nawiązujemy nie tylko poprzez odwoływanie się do regionalizmu i swoistości Pomorza, ale również wprost — chociażby przez powołanie w 1990 roku w Gdańsku porozumienia regionalnego noszącego tę samą nazwę co organizacja, na czele której w 1945 roku stał Antoni Dargas, lecz której faktycznie przewodniczył Lech Bądkowski.

Zadziwiającą aktualność przesłania Bądkowskiego można tłumaczyć tym, że dopiero teraz — po upadku komunizmu — nastały warunki do realizacji idei regionalizmu. Londyński Związek Pomorski postanowił 13 marca 1946 roku przenieść swoją działalność na Pomorze, sam Bądkowski wrócił do kraju, ale niestety nie natrafił na warunki sprzyjające normalnej działalności politycznej. Próbował więc realizować swoje idee tam, gdzie to było możliwe — poprzez działalność na polu kulturalno-społecznym, między innymi w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim. Dopiero w 1989 roku zakończył się okres „zawieszenia” i wróciliśmy do punktu, w jakim znajdowaliśmy się w 1945 roku.

Pomorska myśl polityczna to nie „polityka polska w stosunku do Pomorza”, ale „polityka Pomorzan”, „pomorska szkoła polityczna”, której korzenie sięgają czasów książąt Pomorza Nadwiślańskiego i Nadodrzańskiego. „Młode państwo pomorskie — pisze Bądkowski — popełniło dwa główne błędy (...), które w następstwie fatalnie zaciążyły na jego przyszłości (...). Były to: uparte trzymanie się przestarzałych form (...) oraz chęć i fakt wojowania ze wszystkimi sąsiadami wokoło, a brak polityki sojuszu i współpracy (...)”. W XIX wieku nastąpiło odrodzenie pomorskości w formie integralnie związanej z polskością, w czym dziejową zasługą podzielili się F. Ceynowa i A. Majkowski. O ile ten pierwszy przesadnie akcentował odrębność kaszubską, o tyle pomorscy „Filomaci” zbyt ostentacyjnie dbali o „nieskażony”, język polski. Dopiero z czasem nastąpiła synteza dwóch nurtów: „Filomaci” okazali się gorącymi Pomorzana, młodokaszubi nie mniej zdecydowanymi wyznawcami łączności narodowej polskiej”. Rozwijania takiej właśnie syntezy zdaje się pragnąć autor „Pomorskiej myśli”.

Odrębność wielkiego Pomorza, tradycję Prus Królewskich, wpisuje w szerszy kontekst krajowości. Pomorze w tym ujęciu wydaje się być szczególnie predestynowane do objęcia przewodnictwa w dziele „regionalizacji” Polski, ponieważ tu właśnie sprężyły się ze sobą takie czynniki, jak odrębność etniczna, własna przeszłość historyczna, szczególne położenie geograficzne, żywa świadomość autonomiczna mieszkańców. Patrząc z dzisiejszej perspektywy widzimy, że program „wielkopomorski” (o którym pisał Bądkowski) stracił oparcie w rzeczywistości, podczas gdy idea stworzenia autonomicznego Pomorza Nadwiślańskiego pozostaje ze wszech miar żywa. Jak nigdy dotąd odczuwamy skutki bankructwa centralizmu, paraliżującego wpływu biurokracji, lekceważenia lokalnych odrębności i interesów.

Nie sposób zrozumieć myśli Bądkowskiego bez uświadomienia sobie odrębności doświadczeń kresów zachodnich od pozostałych ziem polskich. Zabór pruski i wpływy niemieckie (wykraczające zresztą chro-

nologicznie poza okres rozbiorowy) sprawiły, że Polaków na ziemiach zachodnich wyróżniał antygermanizm (połączony z przejęciem od Niemców wielu cech) oraz realizm polityczny. Bądkowski czerpie pełną garścią z politycznego dorobku Wielkopolski, zwłaszcza Poznania, identyfikuje się z metodami pozytywistycznymi, a także z myśleniem o narodzie jako „twórczej wspólnoty”. Chciałby przyczynić się do wzbogacenia „ogólnopolskiej skarbnicy politycznej” o dorobek Pomorza. Reprezentuje typ myślenia o narodzie polegający na głębokim przeświadczeniu, że „ujednoczenie oblicza Narodu — nie jest ostatecznie korzystne dla samego Narodu”.

Pomorze należało — zdaniem Bądkowskiego — przyciągnąć i przywrócić Polsce poprzez szacunek dla jego swoistości i zagwarantowanie optymalnych warunków kultywowania „własnego stylu”. Niestety, w dobie rządów komunistycznych postępowało wprost przeciwnie. Doprowadziło to Słowińców, Słazaków, Mazurów, Warmiaków to zerwania związku z Polską. Są to straty i zaniedbania, których nie będzie już można naprawić. L. Bądkowski przez całe życie próbował — w miarę skromnych możliwości — ocalić dla Polski dorobek Pomorza Nadwiślańskiego. Jego drogą był długi i powolny, ale po pomorsku uparty i nieustępliwy marsz ku Niepodległej, o którą w młodości walczył nie tylko piórem. Podobnie jak Ceynowa i Majkowski stał się „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty”. Myślę, że nie może być większej pochwały dla polityka, ani gorętszej zachęty do czytania jego książki od stwierdzenia: „my z niego wszyscy”.

Wojciech Turek

JANTA

ZNANY

I

NIEZNANY

Franciszek Palowski, Aleksander Janta-Połczyński. *Ballada o wiecznym szukaniu*. PWN Kraków 1990.

Autora tej pierwszej na naszym rynku księgarskim książki o Aleksandrze Jancie-Połczyńskim po raz pierwszy ujrzałem na amatorskim filmie video, sporządzonym w czasie seminarium, jakie odbyło się swego czasu w Małej Komorze pod Tucholą, na temat dziejów rodu Polczyńskich. Wygłaszał tam wówczas

czas, w obecności przybyłego z Belgii Tomasza Janty-Polczyńskiego, wykład o Aleksandrze. O Franciszku Palowskim wiedziałem, że jest naukowcem z UJ, że pisze książkę o Jancie korzystając z przebogaty archiwaliów pisarzy, zgromadzonych w jego nowojorskim domu w Elmhurst.

I oto jest książka. Nosi tytuł: „Aleksander Janta-Polczyński. Ballada o wiecznym szukaniu”. Zaczniemy od tego, że książka jest trochę jak sam Janta. Ten chciał być serio poetą, serio prozaikiem, eseistą. Z wszystkiego, czego się dotknął, wychodziła mu niby poezja, niby proza, niby esej, tak zaś naprawdę była to poezja faktu, proza faktu, w miejsce esaju natomiast rodziła się gawęda. Co tu bowiem kryć, Janta był nade wszystko reporterem. I to reporterem znakomitym. Nic więc dziwnego, że cała optyka jego pisarstwa podporządkowana była reporterskiemu punktowi widzenia, postrzegania i pojmowania świata. Jemu po prostu z trudem przychodziło cokolwiek zmyślić. W sztandarowej swej książce — „Kłamałem, aby żyć” (mamy wreszcie jej polskie wydanie), przez krytykę określanej mianem „powieści”, również jest reporterem. W tym samym jednak stopniu jak Tadeusz Breza był reporterem w „Spisowej bramie” czy Kazimierz Brandys w „Miesiącach”. A że jest w tej książce fabuła? A niby czemu miałyby jej tam nie być, skoro życie jest jedną wielką fabułą? To zaś Janty z całą pewnością było jedną wielką fabułą.

Książka Palowskiego z wszelką naukowością ma tyle samo wspólnego, co Janta z prozatorskim zmyśleniem czy poetyckim natchnieniem. Gawędy, plotki, inkrustuje swój wywód cytatami z różnych źródeł i z rozmaitych szuflad. Zaczyna książkę, nie wiedząc czemu, od przytoczenia ksiąg Janty na polskim gruncie, krytycznych gloss na ich temat. Dopiero w drugim rozdziale przechodzi ad rem, czyli do momentu narodzin Janty w roku 1908.

Powiedzmy, że Palowski chciał nas zachęcić, wciągnąć w orbitę swoich dociekań. Idźmy więc jej śladem. Zakreślona została dość swoiście, skoro całkiem pomija fakt niebłahy, iż co najmniej kilkoro członków rodziny Polczyńskich pisywało książki. Tymczasem w książce Palowskiego o tej okoliczności bardzo niewiele, kilka zdań zaledwie, podczas gdy, wolno mniemać, bez istnienia rodzinnych usposobień pisarskich Polczyńskich nie byłoby w ogóle fenomenu pisarstwa Aleksandra. O Józefie cokolwiek jeszcze się znajdzie, już jednak na temat Leona, sanacyjnego ministra rolnictwa, nawet słowa, podobnie jak na temat pomorskiej odnogi rodu Polczyńskich z Romanem ojcem oraz synem na czele. Znów Stanisław, ojciec Aleksandra, nie jest u Palowskiego autorem uroczych ramot myśliwskich (stąd i Aleksandra próby w tym względzie), jedynie lekarzem Władysława Reymonta. A jest jeszcze inny Stanisław, brat Aleksandra, kompozytor, pisujący muzykę do wierszy Aleksandra, żyjący we Francji i też o nim w tej książce niewiele. Tu trzeba dodać, iż brakuje książce indeksu osobowego, a że nazwisk w książce setki, przeto z niemałym trudem cokolwiek czy kogokolwiek w niej odzyskać.

Wyrwać Jantę z rodzinnego kontekstu — toż to zamysł iście szatański! Mieć taki kasek na podorędziu i ograniczyć swe analityczne ambicje do ksiąg Janty, jego korespondencji, do krytyk jego pisarstwa! Wygląda na to, iż Palowski postanowił się poruszać w ramach zawczasu mu nakazanych. Przez kogoż? — zapewne przez wdowę po pisarzu, której bywał gościem w Nowym Jorku. To przypuszczenie graniczy z prawdopodobieństwem, gdyż, jak dotąd przynajmniej, kto tylko dotknął się Jantowych archiwaliów na miejscu w Elmhurst, ten optykę na jego dzieło zyskiwał bardzo szczególną. Zamykając się ściśle w ramach osoby oraz dzieła. Tak było z Andrzejem Biernackim, podobnie jak Palowski gościem wdowy po pisarzu, z J. R. Krzyżanowskimi, także Michałem Sprusińskim, Januszem Odrowąż-Pieniążkiem. Jeden Edmund Kamiński uczynił wyłom w tej sprawie. Ten kustosz Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie widział całą rodzinę Polczyńskich urządzając jej wystawę, później zaś organizując koncert muzyczno-poetycki utworów Alek-

sandra i Stanisława. A propos. Szkic Aleksandry Ziółkowskiej o drugim z tego duetu — znakomity — został w tej książce pominięty milczeniem. A szkoda.

Co gorsza, milczeniem zostały pominięte listy Aleksandra do Romana — seniora rodu z Sopotu, pod tytułem „Niechaj twój przyjaciele Kaszubi” opublikowane niegdyś na łamach „Pomeranii”. Są zaś w tej książce bogato cytowane listy do Aleksandra. Na pewno ciekawe, lecz mogące uchodzić jedynie za źródła z tzw. drugiej ręki. Źródłem z pierwszej ręki, o czym powinien pamiętać naukowiec, są nade wszystko epistoły spisane przez samego Jantę. To przecież o nim jest książka, nie zaś o Gombrowiczu, Miłoszu, Wańkowiczu. Rozumiem, Palowski pragnął tym sposobem dowartościować Jantę, rzucić go na tło, opowiedzieć jak bardzo ważnym pisarzem był Janta, jak bardzo światowym.

Tymczasem akurat owej światowości w samej już rodzinie Polczyńskich nie brakuje. Jest jej pod dostatkiem od Jantowych przodków, od stolników, mieczników poczynając, przez Romana Jantę-Polczyńskiego, posła do berlińskiego Landtagu z ziem pomorskich, do syna jego, również Romana, który wraz z Józefem Beckiem w roku 1918 zakładał polskie patriotyczne organizacje w Szwajcarii. A jeszcze Tomasz, ten belgijski kapitalista (koncern „Pil-Brico”), jeszcze utwory muzyczne mieszkającego na stałe we Francji Stanisława, jeszcze...

Nawet wdzięcznie brzmią Palowskiego tytuły rozdziałów. Są wdzięczne, choć niewiele mówiące, jak te: „Zdobycie złote runo”, „Inter arma” powyższy wprost z Żeromskiego, „Banita z »przylądkiem emigracyjnego«”, „Podróżowanie w przyszłość”. Kolejny tytuł jest cytatem samego Janty: „Z rzeczy tego świata zostaną się tylko dwie, dwie tylko: poezja i dobro — i więcej nic”. Aha, i jeszcze otwierając książkę rozdział zatytułowany: „Furiat podróżowania czy emigrant”.

Sporo jest w tej książce anegdot, niedyskrecji, które po wielu latach przestają być niedyskrecjami. Okoliczności pisania najbardziej kontrowersyjnego tomu Janty „Wracam z Polski” są wyluszczone w sposób drobniawowy. To dobrze. Gorzej zaś świadczy o polskich wydawcach, że po tę książkę, jak dotąd przynajmniej, jeszcze nie sięgnęli. Skandalizująca w samym założeniu, stanowiąca rodzaj kija w emigracyjne mrowisko. Antysowiecka, zdająca relację z Polski anno Domini 1948. (Młodzi wydawcy, wolno wam epatować czytelnictwem widowieństwami o wodzu jednym i drugim, zechciejcie jednak pamiętać, że w kanonie lektur polskich nie powinno zabraknąć: „Sztafety” Wańkowicza, „Inter arma” oraz „Snobizmu i postępu” Żeromskiego, pamfletu Unilowskiego na polskie sanacyjne wojsko, a także Janty „Wracam z Polski”, „Odkrycie Ameryki” i „Nowe odkrycie Ameryki”).

Ilustracyjna strona książki Palowskiego również pozostawia wiele do życzenia. Kilka zdjęć znanych już z książek Janty wydanych w Polsce, kilka zreprodukowanych okładek jego książek to już nieomal wszystko. Gdzie zaś dom w Elmhurst, gdzie subiekty jego interwiewowskich pasji — Tagore, Chaplin, sir Douglas? Gdzie sam Janta w wielości wcieleń oraz miejsc tego świata? Gdzie wreszcie jego powązkowski grób? Niezbyt wiele fatygi zadał sobie Palowski. Skoro zaś szperał już w domowym archiwum, należało przekartkować i albumy.

Nie chcę być w nadmiarze przechery. Książkę Palowskiego czyta się, dlatego że letnia, potoczyscie, tak jak została napisana. Z plotkarskim zacięciem, bez próby osiągnięcia krytycznego (o naukowym już nie wspomnę), eseistycznego „drugiego dna”. Ot, powstała książka do poczytania, nie rozświeclająca żadnych mroków, raczej systematyzująca, porządkująca wedle jednak bardzo swoistego, gawędziarskiego, trochę wręcz babskiego, klucza. To zaś, że jej nakład jest zaledwie tysięczny, budzi do książki sympatię chyba nie zamierzona. Oto, okazuje się, możliwy jest dziś edytorski wysiłek idący w parę oraz w gwizdek.

Ryszard Ciemieński

KSIAŻKI

Gerard Labuda, O Kaszubach. Wydawnictwo „Arkun”, Gdynia 1991, s. 96. Praca wybitnego historyka polskiego, składająca się z dwóch szkiców: „O Kaszubach, o ich nazwie i ziemi zamieszkania” oraz „Historia Kaszubów na tle historii Pomorza”. Są to szkice analityczne; w pierwszym autor rozpatruje m.in. pierwotne położenie Kaszub jako ziemi macierzystej Kaszubów, co było najpierw: Kaszuby (ziemia) czy lud, jak zamierała i jak wędrowała nazwa ludu i ziemi z zachodu na wschód, wreszcie autor rozważa, co ma się składać na historię Kaszubów: historia ich ziemi i państwa czy też historia ich wspólnoty etniczno-kulturalnej. Książka bardzo wartościowa, zmuszająca do myślenia, zwłaszcza gdy spójnie czyta się oba szkice. W drugim szkicu autor rozpatruje bowiem głównie zagadnienia metodologiczne historii Kaszubów jako historii wspólnoty etniczno-kulturowej. Tej książki nie może zabraknąć w bibliotekach zainteresowanych Kaszubami.

Ferdinand Neureiter, Geschichte der kaschubischen Literatur. Versuch einer zusammenfassenden Darstellung. 2. ver.u.erw. Auflage. „Slavistische Beiträge”, Bd. 272. Verlag Otto Sagner, München 1991, s. 332. „Historia literatury kaszubskiej” znanego austriackiego badacza i miłośnika kaszubszczyzny jest drugim, zmienionym i poszerzonym wydaniem w języku niemieckim, które — podobnie jak pierwsze — ukazało się w wysoko cenionej serii wydawnictw słowiańszczyzn publikowanych przez Ottona Sagnera w Monachium, promującego literaturę polską i słowiańską na rynku niemieckojęzycznym. Neureiter zmienił układ książki, znacznie ją uzupełnił, doprowadzając historię literatury kaszubskiej do przełomu lat 1990/91. Książka Neureitera nie tylko popularyzuje naszą literaturę, ale i ją analizuje, wartościując obiektywnie. Pozostaje nadal bezkonkurencyjną w Polsce i poza jej granicami. Jeśli nie doczekamy się własnej historii literatury kaszubskiej, to dobrze by było przełożyć ją na język polski i podobnie jak pierwsze wydanie opublikować w oficynie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Kaszubi. Monografia socjologiczna. Praca zbiorowa pod redakcją Marka Latosza. Socjologiczne problemy społeczności lokalnych, t. 5. Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa, Oddział Rzeszów, Rzeszów 1990, s. 340. Zbiór studiów socjologicznych poprzedzonych wstępem pt. „O potrzebie badań nad społecznością kaszubską” Gerarda Labudy. Redaktor tomu, Marek Latoszek, jest autorem dwóch rozdziałów: „Kaszubi — grupa etniczna o statusie autochtonicznym” oraz

„Kaszubi — ich lokalizacja i liczebność w obrębie obszaru dialektów kaszubskich i w jego bezpośrednim sąsiedztwie”. On też napisał „Po-słowie”. Henryk Galus rozpatruje „Kulturowy pomost między pokoleniami społeczności kaszubskiej”, Brunon Synak — „Subiektywne aspekty tożsamości kulturowo-etnicznej ludności Kaszub”, Janusz Iskierski — „Problematykę etniczną wybranych społeczności lokalnych mikroregionu puckiego: tożsamość, więź, język”, a Olgierd Sochacki przedstawia „Mieszkańców miasta Helu”. Jest to pierwsza monografia socjologiczna. Jej autorzy bardzo rzetelnie podeszli do tematu i dostarczyli nam ogromny materiał do rozważań i wykorzystania w pracy, m.in. Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Werner Schwarz, Franz Kessler, Helmut Scheunichen, Musikgeschichte Pommerns, Westpreussens, Ostpreussens und der baltischen Lande. Laumann-Verlag, Duermen 1990, s. 192. Zwięzła historia muzyki na ziemiach północnych, w krajach bałtyckich. Nas szczególnie interesują eseje Wernera Schwarza o muzyce zachodniopomorskiej i Franza Kesslera o muzyce Pomorza Nadwiślańskiego. Pierwszy przedstawia muzykę na Pomorzu Zachodnim od czasów najdawniejszych po książęce, następnie od połowy XVII w. do 1815 r., osobno w latach 1915—1945. Prezentuje też kompozytorów pomorskich XIX i XX w. F. Kessler omawia muzykę gdańsko-pomorską od późnego średniowiecza, rozważając szersze skutki reformacji dla muzyki, jej rozwój w XVII i XVIII w. Sporo miejsca poświęca kościelnej muzyce gdańskiej, ale i Pelplina, Torunia i innych miejscowości. Interesująco pisze o koncertach i teatrach muzycznych, sytuacji organistów, rektorach muzyki i przedstawia niektóre sylwetki co bardziej znanych kompozytorów. W sumie książka daje wgląd w dzieje muzyki pomorskiej, dotąd mało znane, i eksponuje jej specyficzne walory, szczególnie w przypadku muzyki gdańskiej.

Ks. Władysław Szulist, Kaszuba Paweł Piotr Rhode — biskup i działacz polonijny w Stanach Zjednoczonych (1870—1945). „Studia Polonijne” t. 8, Lublin 1984 (druk opóźniony), s. 183—194. Szczegółowa biografia pochodzącego z Wejherowa biskupa Rhode, w której autor charakteryzuje również jego działalność wielce znaczącą dla Polonii amerykańskiej i starego kraju. Osobno omawia osobowość człowieka, który wyróżniał się typowo kaszubskimi cechami charakteru w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Jest to pierwsza w naszej literaturze krytyczna biografia, oczyszczona z błędów merytorycznych i faktograficznych.

Zygmunt Szultka, Studia nad piśmiennictwem „starokaszubskim”, w szczególności Michała Brueggemanna alias Pontanusa albo Mostnika (cz. I). „Slavia Occidentalis” 1988, t. 45,

PTPN Warszawa—Poznań 1989, s. 61—90. Jest to bardzo interesujące i wartościowe studium, w którym autor wykorzystał źródła pisane i drukowane oraz krytycznie przeanalizował ogromną literaturę naukową, a także popularną. W opublikowanej części I Z. Szultka zajmuje się pochodzeniem Michała Brueggemanna, znanego bardziej pod nazwiskiem Pontanusa lub Mostnika, na szerokim tle kulturowym i narodowościowym, w którym jego sylwetka i sens działalności rysują się nam zupełnie inaczej niż dotąd uważano. Oprócz tej cennej pracy w „Slavia Occidentalis” opublikowano wiele innych wartościowych artykułów, w tym Edwarda Brzy analizę nazwisk w parafii Smogulec pod Wągrowcem na przełomie XVI—XVII w. i Mirosławy Białoskórskiej o językowych procesach integracyjnych na Pomorzu Zachodnim po 1945 r.

Jerzy Samp, Gdańsk w relacjach z podróży 1772—1918. Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Gdańskiego. Rozprawy i monografie 152. Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego 1991, s. 174. Autor wnikliwie pokazuje obraz Gdańska i Pomorza Nadwiślańskiego w rozmaitych relacjach z podróży autorów polskich i obcych, wyłącznie drukowanych. J. Samp niezwykle trafnie ukazuje źródła stereotypów wyobrażeń o XV w., następnie analizuje twórczość autorów obcych i rodzimych w latach 1772—1918 oraz problemy Polaków widziane z perspektywy podróży do Gdańska i nad Bałtyk. Szeroko uwzględniono problem Kaszubów i ich ziemi, a także Słowińców, których często słusznie utożsamiano z Kaszubami. Okazuje się, że rozprawę naukową można napisać nie tylko ładną polszczyzną, ale i fascynująco.

Władysław Szulist, Syn ziemi pomorskiej. „Literatura Ludowa” 1989, nr 4/6, s. 111—116. Obszerna nekrolog — biografia ks. dra Bernarda Sychty (1907—1982), w którym autor reasumuje dorobek naukowy i literacki autora „Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej”. W tekście również szczegółowe sprawozdanie z uroczystości pogrzebowych.

Edmund Cieślak, W obronie tronu króla Stanisława Leszczyńskiego. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1986, s. 304 + tabl. ilustr. Z opóźnieniem informujemy o tej książce, która jest pierwszą monografią w miarę wyczerpująco opisującą pełne przygód życie Stanisława Leszczyńskiego, w którym ważną rolę odegrał Gdańsk. Wykorzystanie archiwów zagranicznych i krajowych pozwoliło autorowi zrewidować wiele poglądów na życie i działalność Leszczyńskiego. Lektura przednia.

Gdański Rocznik Kulturalny, t. 13. Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, Gdańsk 1990, s. 288 + tabl. ilustr. Wśród kilkunastu artykułów poświęconych kulturze i nauce znajdują się: Andrzej Piskozuba

„Gdańsk w kulturze duchowej Europy”, Andrzeja Stępnika „Pięćdziesiąt lat humanistyki gdańskiej (1920–1970)”, Józefa Bachorza „O obrazach Gdańska w polskich powieściach XIX-wiecznych”. Zwięzłe biogramy zmarłych w 1988 r. ludzi kultury i nauki publikuje Eugenia Kochanowska, a Miłostawa Bukowska-Schiellmann obszerną „Kronikę życia kulturalnego Wybrzeża Gdańskiego 1988”.

Stanisław Klein, Ks. Stefan Kardynał Wyszyński na Kalwarii Wejherowskiej. Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej i Zakon oo. franciszkań w Wejherowie. Wydawnictwo Diecezji Gdańskiej „Stella Maris”, Gdańsk 1990, s. 32. Poprzedzony wstępem zbiór fotogramów z pobytu kard. Wyszyńskiego w Wejherowie, na górach kalwaryjskich w 1953 i 1974 r. Książeczkę opatrzone mapą pielgrzymkową Kalwarii Wejherowskiej oraz luźnym planem tras kalwaryjskich. Książeczka wydana bardzo starannie.

Konrad Ciechanowski, W sprawie biografii Józefa Dambka. W odpowiedzi Stanisławowi Salmonowiczowi. „Zapiski Historyczne” t. LV, 1990, z. 2–3, s. 91–102. Toruń 1990. Jest to polemika z recenzją książki K. Ciechanowskiego „Życie i śmierć bohatera. Józef Dambek założyciel i kierownik TOW „Gryf Pomorski”, umieszczonej przez S. Salmonowicza w tychże „Zapiskach”. Argumentacja Ciechanowskiego, wsparta dokumentacją, jest przekonująca i

można bez ryzyka powiedzieć, że autor biografii Dambka obronił swoje racje.

Edmund Puzdrowski, Wiersze z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Mannem dla niemieckich przyjaciół. *Officina Nostra*, Gedania 1990. *Przekład niemiecki Karla Dedeciusa*. Piękne bibliofilskie wydanie znakomitych poezji E. Puzdrowskiego, dedykowanych Karłowi Dedeciusowi, Guentherowi Metzgerowi i Marion hrabinie Doenhoff. Wydanie dwustronne, polskie i niemieckie w 200 numerowanych egzemplarzach.

Bibliografia prac prof. dr. hab. Władysława Zajewskiego za lata 1956–1990. Zestawiła i wydała Teresa Zajewska. Wydawnictwo Diecezji Gdańskiej „Stella Maris”, Gdańsk 1991, s. 32. Bibliografia prac wybitnego historyka XVIII i XIX w., sporządzona przez żonę w 60. rocznicę jego urodzin, obejmuje 433 pozycje, a więc ogromny dorobek naukowy i częściowo popularny. Prof. Zajewski był bowiem współpracownikiem m.in. gdańskich „Liter”, „Dziennika Bałtyckiego” i jest nadal „Pomeranii”.

Zapiski Historyczne poświęcone historii Pomorza i krajów bałtyckich. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Wydział Nauk Historycznych, t. LV, 1990, z. 4, s. 180. W zeszycie wiele wartościowych artykułów naukowych, recenzji i informacji. Z artykułów umieszczono m.in. Mariana Dygi „Mnich i rycerz. Ideologiczne modele postaw w zakonie krzyżackim w Prusach w XIV–XV wieku”

i Bogdana Frankiewicza „Rola i miejsce kościołów różnych wyznań w społeczeństwie Pomorza Zachodniego w okresie drugiej wojny światowej”. W dziale Źródła i materiały Bronisław Pasierb w publikacji „Koncepcja polskich celów w dziedzinie morskiej w latach drugiej wojny światowej. Dokument Ministerstwa Prac Kongresowych” omawia i podaje ten dokument.

1987 Międzynarodowy Rok Heweliusza. Dokumentacja obchodów trzecieściej rocznicy śmierci Jana Heweliusza (1687–1987). Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1990, s. 60, ilustr. Na ten tom składają się przemówienia i sprawozdania z obchodów, w tym liczne ilustracje. Pracę poprzedza wiersz, w wersji łacińskiej i polskiej Mieczysława Gamskiego poświęcony Heweliuszowi.

Problemy regionalizacji kraju. Materiały z seminarium zorganizowanego przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie i Sejmik Samorządowy Województwa Gdańskiego w dniu 25.X.1990 r. w Gdańsku. Gdańsk 1991, s. 80. Zbiór referatów na temat samorządu terytorialnego, struktury terytorialnej Polski i historycznych szans regionalizmu. Piszą: Józef Borzyszkowski, Roman Waipiński, Jerzy Kołodziejki, Grzegorz Grzelak, Lech Mażewski, Aleksandra Czyżewska, Artur Kostarczyk, Krzysztof Maszkowski, Andrzej Piskozub i Bohdan Gruchman.

(T.Bol.)

LISTY

NIE ZAWSZE PRECYZYJNA INFORMACJA

Cytat powyższy zaczerpnąłem z posłowania Tadeusza Bolduana do zbioru reportaży zatytułowanych „Sui ta kaszubska” (Gdańsk, 1982). Stwierdzenie to T. Bolduan odnosi do reportaży Ryszarda Ciemińskiego — w tejsze „Sui cie” zamieszczonych. Da się ono odnieść i do „Albumu kartuskiego” Ciemińskiego. Książka ukazała się nakładem oficyny wydawniczej „Graf” w Gdańsku w marcu 1991 r. „Album” liczy 115 stron druku i 24 strony zdjęć. Niektórzy uważają, że tych zdjęć, jak na album, jest zbyt mało, co więcej, nie zawsze są one najlepszej jakości. Oto moje uwagi o niektórych z tych zdjęć.

Nad fotografią 13 czytamy: „Biskup pelpliński Stanisław Okoniewski dał się sfotografować w otoczeniu księży dekanatu kartuskiego. Jest rok 1924”. Wśród tych księży rozróżniamy kupca kartuskiego Emila Lniskiego (z długimi włosami), jakiegoś innego pana (z mniejszym wąsikiem) oraz starostę kartuskiego Bronisława Ostoję Sędzimira (siedzi po prawej stronie biskupa). Nie ist-

nieje stanowisko: biskup pelpliński. Wielkopolek ks. dr Stanisław Wojciech Okoniewski, zwany również biskupem morskim, był biskupem ordynariuszem diecezji chełmińskiej. Po jego lewej ręce siedzi ks. kanonik Łosiński — proboszcz w Sierakowicach. Jednakże w 1924 r. Okoniewski nie był jeszcze biskupem. Zdjęcie to pochodzi prawdopodobnie z roku 1927, a wykonano je przy elektrowni w Rutkach. Coś zbyt dużo tych błędów w dwóch zdaniach. Fot. 27 — Ciemiński nie wie zapewne kogo ona przedstawia, więc mu podpowiadam: jest to znany dziś ogólnie kartuzjanin Marian Stankowski, który ówczesnie wolał złamać nogę niż służyć w Wehrmachcie! Fot. 29 — burmistrz kartuski miał na imię Walerian, nie Walery Kubasik. Fot. 30 — by uniknąć tworzenia dalszych kartuskich białych czy czerwonych plam podam, że widoczny na zdjęciu Mestwin Majkowski, ur. 5 kwietnia 1924 r. w Kartuzach, zginął 20 lipca 1944 r. na froncie wschodnim w okolicach Tarnopola w mundurze żołnierza niemieckiego. Fot. 37: „Burmistrz Kartuz Ambroży Bucholc wciąż wesoły!” Żyjący jeszcze w Kartuzach Ambroży Bucholc nigdy nie był burmistrzem kartuskim. Po roku 1950 był przewodniczącym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej i pierwszym sekretarzem Komitetu Powiatowego PZPR.

Myślę, że tych kilka przykładów

błędów, a jest ich w „Albumie” bez liku, wystarczy, by poderwać zaufanie do precyzyjności informacji Ciemińskiego. Nic tu nie pomoże to, że urodził się w Kartuzach, co stale podkreśla.

Augustyn Klemens Hirsza
Kartuzy

GRUDZIAŁ ZAWSZE BYŁ W PROWINCJI POMORSKIEJ

Dużo mówi się w ostatnim czasie o konieczności nowego podziału administracyjnego kraju. W prasie pojawiają się artykuły omawiające poszczególne projekty, zamieszcza się mapy z proponowanymi granicami nowych województw — regionów. Jako Pomorzanin jestem oczywiście zainteresowany utworzeniem regionu wschodniopomorskiego, obejmującego tereny od Bałtyku po Toruń. Większość projektów podziału administracyjnego zakłada jednak, że ziemie wschodniopomorskie będą należały do dwóch regionów czy województw: gdańskiego i bydgoskiego. Nie spotkałem się z projektem skupienia naszych ziem w tej samej jednostce administracyjnej, przy jednoczesnym założeniu, że Bydgoszcz pozostanie miastem wojewódzkim. Niektórzy pragną, aby nawet kaszubskie Chojnice nadal podlegały Bydgoszczy. Sporna jest przynależność Tucholi. Wszyscy jednak, którzy optują za zachowaniem województwa bydgoskiego, wi-

dzą w jego granicach Toruń, Chełmno, Świecie, Grudziądz. Gdyby został utworzony region, którego stolicą byłaby Bydgoszcz, nosiłby karkołomną nazwę kujawsko-chełmińsko-dobrzyńskiego. Ten administracyjny potworek obejmowałby obszary zupełnie odmienne pod względem kulturowym i historycznym. Jestem mieszkańcem Grudziądza i doprawdy trudno mi zrozumieć dlaczego moje miasto od wieków związane z Pomorzem ma pozostać poza jego granicami. Miasto, w którym odbywały się Sejmiki Generalne Prus Królewskich, gdzie decydowano o sprawach ważnych dla całego Pomorza, miało być od niego odłączone. Byłby to absurd. Taki Włocławek czy Radziejów je-

szcze w ubiegłym stuleciu miały więcej wspólnego z Alaską, która również należała do Rosji, niż z Grudziądem. Pomimo iż mieszka w nim sporo ludności napływowej, to Pomorzanie stanowią większość obywateli miasta. Zresztą wielu przybyszów uległo asymilacji i jeżeli nie oni sami, to ich dzieci uważają się za Pomorzan. Żyjąc wśród miejscowych używają typowych dla Pomorza słów i zwrotów. Przeciwnicy regionalizacji twierdzą, że trudno jest ustalić granice poszczególnych regionów. Rzeczywiście, mogą być pewne kłopoty np. z określeniem jakie tereny mają podlegać Łodzi. Nie może odnosić się to jednak do Pomorza Wschodniego. Na północy, wiadomo, jest Bałtyk, a

południową granicą prowincji, w skład których wchodziły ziemie pomorskie, zawsze była Drwęca. Rzeka ta stanowiła granicę Zakonu Krzyżackiego, Prus Królewskich, Prus Zachodnich. Do 1938 r. Drwęca była granicą województwa pomorskiego. Powinna też stanowić granicę regionu wschodniopomorskiego. W takim przypadku Grudziądz pozostałby przy Pomorzu. Towarzystwa regionalne mają wydawać opinie dotyczące podziału administracyjnego kraju. Mam nadzieję, że Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie nie zapomni o Grudziądzu i upomni się o nasze miasto.

Jarosław Loewenau
Grudziądz

KLĘKA

TEATR KASZUBSKI OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W KOLONII

Spotkanie aktywu pożarniczego w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym w Wieżycy na początku 1991 r. z udziałem wicewojewody gdańskiego Józefa Borzyszkowskiego i jego zachęta, by kontynuować tradycje kaszubskie, stały się bodźcem do podjęcia przez prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej w Kolonii dh. Bronisława Bigusa inicjatywy założenia zespołu teatralnego. Przy wsparciu Marka Byczkowskiego z KUL w Wieżycy i por. poż. inż. Edmunda Kwidzińskiego z Komendy Rejonowej Straży Pożarnej w Kartuzach dobrano zespół i namówiono Marię Wentę, miejscową nauczycielkę, by podjęła pracę reżysera. Wybrano sztukę „Choróbsko” Staszka Jana, czyli Jana Piepki. Członkowie OSP przygotowali scenę, udostępniając swoje własne materiały i rekwizyty. Premiera sztuki odbyła się 5 maja 1991 r. Najpierw obejrzały ją o godz. 14 dzieci, później, o 17, dorośli mieszkańcy Kolonii. Na premierę przybyli m.in. burmistrz gminy Kartuzi Mieczysław Gołuski, przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Kartuzach Henryk Formela i por. poż. inż. E. Kwidziński, zastępca komendanta Rejonowej Straży Pożarnej w Kartuzach. Sztuka przedstawiona przez członków młodzieżowej drużyny pożarniczej została przyjęta owacyjnie. W przerwach między aktami B. Bigus zaprezentował 3 gadki kaszubskie, częstując przy tym tabaką z rogu; starczyło jej dla wszystkich.

Po występie odbyło się spotkanie zespołu z zaproszonymi gośćmi — ustalono program występów oraz wybrano następną sztukę.

Skład zespołu, który wystawił sztukę jest następujący: Benedykt Kwidziński, Katarzyna Kwidzińska, Paweł Kitowski, Alina Kwidzińska, Bożena Kobiela, Grzegorz Wenta, Wojciech Szreder, Sylwester Sten-

ka, Janusz Dampc, reżyser — Maria Wenta.

Tuż po premierze posypały się zaproszenia do gościnnych występów w bliższej i dalszej okolicy. Poza Prokowem i Mirachowem na teatr z Kolonii czekają Łączyńska Huta, Lipusz, a także Luzino, rade z tego, że pojawił się rzeczywisty konkurent, wzbogacający twórczo dorobek i historię teatru kaszubskiego. Zanim inne party ZK-P dotrą do prześwieconej dyrekcji teatru w Kolonii jego repertuar obejmie co najmniej dwie sztuki. Strażacy wiele potrafiali! Niech sjęci Florian mó nasz dobiek é jejich robota w swoji opiece, że bę na sprawę kaszëbszczego dëcha drësze strażacë miele jak nowicy mocë a czasu.

(W.B.B.)

PONOWNE ODSŁONIĘCIE TABLICY

Do święta Maryi Królowej Polski i 200 rocznicy Konstytucji 3 Maja w Zukowie przygotowywano się od dawna. Oddział Zukowski ZK-P, przy współudziale Komitetu Obywatelskiego i poparciu ks. proboszcza, podjął starania o przeniesienie pomnika Najświętszej Maryi Panny Królowej Korony Polskiej w centralny punkt miasta, tam gdzie stał przed wojną — w pobliżu skrzyżowania dróg do Kościerzyny, Kartuz i Gdańska.

We wrześniu 1939 r. pierwszy wójt niemiecki Alfred Szmyt kazał przenieść pomnik obok kościoła. Ów wójt był jednym z niewielu, który nie pozwolił zniszczyć figury, a taki właśnie los spotkał przydrożne Boże Męki.

W przechowywanym przez Agnieszkę Ptach akcie erekcyjnym pomnika czytamy: „Celem utrwalenia idei niepodległości w pamiętnym dniu 11 listopada 1928 r. w dniu X-lecia istnienia Niepodległego Państwa Polskiego postanowiono za inicjatywą miejscowego wójta Stefana Ptacha, wznieść pomnik Najśw. Panny Królowej Korony Polskiej. Twórciele mają na myśli, przez

budowę tego pomnika, dać pokoleńom teraźniejszym i późniejszym przykład głębokiego przywiązania do wiary świętej i ojczyzny naszej”. W dziesięć lat później, w 20. rocznicę niepodległości, parafianie umieścili na pomniku tablicę upamiętniającą mieszkańców Zukowa — Kaszubów, którzy zginęli w wojnie z bolszewikami.

W bieżącym roku, nim podjęto ostateczną decyzję o powrocie pomnika na dawne miejsce, przeprowadzono jego ekspertyzę. Rzecznik wyraził opinię, że figury nie można ruszać. Rysy i pęknięcia na posągu mogą spowodować w chwili ruszenia zniszczenie postaci Maryi. (Ale czy tylko rysy są na figurze Matki Bożej. Takie pęknięcia i rysy znaleźć można w sercach naszej społeczności. Świadczy o tym niechęć mieszkańców do jakichkolwiek zmian — np. nazw ulic czy uparta obrona pomnika Wdzięczności dla Armii Radzieckiej — popularnie zwanego Iwanem).

Pomnik pozostał na starym miejscu, przy kościele. Wykonano prace konserwatorskie pomnika i jego ogrodzenia, zainstalowano oświetlenie. Teraz figura Matki Bożej widziana jest w dzień i w nocy. Na pomniku wmurowano przechowywaną w kościele tablicę pamiątkową poległych w 1920 r. 3 maja po mszy św. za ojczyznę tablica została poświęcona. W czasie uroczystości przy pomniku przypomniano jego historię. Uroczystość uświetnił program artystyczny w języku kaszubskim przygotowany przez uczniów szkół podstawowych z Zukowa i Pępowa pod kierunkiem szkolnych Krystyny Rogalewskiej i Zdzisławy Pionk oraz chór parafialny, który odśpiewał uroczyste Gaudeamus igitur. Honorowym gościem uroczystości była pani Agnieszka Ptach — żona inicjatora budowy pomnika. Pani Agnieszka dokonała aktu ponownego odsłonięcia tablicy. W tym roku pani Agnieszka obchodzi 97 urodziny, cieszy się dobrym zdrowiem.

Wanożnik

O REGIONALIZACJI W PELPLINIE

Działacze samorządu gminnego Pelplina, przedstawiciele duchowieństwa oraz członkowie kociewskich oddziałów ZK-P spotkali się 10 czerwca z Józefem Borzyszkowskim, prezesem ZG ZK-P, wicewojewodą gdańskim, pełniącym jednocześnie funkcję wiceprzewodniczącego komisji rządowej ds. regionalizacji kraju. J. Borzyszkowski przedstawił warianty regionalizacji oraz rolę środowisk samorządowych Pomorza w pracach zespołu, który opracowuje gdańsko-pomorską wizję regionu. Miłym akcentem spotkania były występy uczniów szkoły podstawowej, którzy zaprezentowali kociewskie piosenki i gadki.

B.S.

BYTOWSKI OLTARZ

W tym roku w Bytowie jeden z czterech oltarzy na trasie procesji Bożego Ciała przygotowali członkowie miejscowego oddziału Zrzeszenia. Motywem konstrukcji oltarza była łódź rybacka z narzędziami służącymi do łowienia ryb. Taka konstrukcja nie była przypadkowa, bowiem znaczna część Kaszubów bytowskich zajmowała się i nadal zajmuje wykorzystywaniem bogactw jezior. Wystrój „naszego” oltarza dopełniły obrusy z haftem kaszubskim i wazon z Lubiany wypełnione kwiatami zebranych z ogrodów, pól i lasów. W procesji brały też udział dzieci ubrane w stroje kaszubskie, przygotowane przez bytowskie harciarki.

Jeszcze po procesji wielu przechodziło do „naszego” oltarza, aby przyjrzeć mu się z bliska i utrwalić go na kliszy. (M.P.)

NAGRODA R. WRÓBLEWSKIEGO DLA J. WALKUSZA

Od kilku lat pan Roman Wróblewski z Warszawy co roku przyznaje nagrodę, wybranemu przez naszą redakcję, twórcy literatury kaszubskiej. W tym roku zespół redakcyjny „Pomeranii” jednogłośnie wytypował do tej nagrody ks. dr. Jana Walkusza, autora niedawno wydanego zbioru poezji „Jantarowi pócerz”, z wierszami w wersji kaszubskiej i polskiej. Książka ukazała się nakładem wydawnictwa „Arkun” w Gdyni i jest drugim tomikiem poetyckim tego autora. Jako poeta zadebiutował książką „Kańta nódzej”, wydaną w 1981 roku przez Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Jest także autorem antologii kaszubskiej poezji religijnej „Święti dźel dëszë”. Wiersze publikował w „Punkcie” i „Pomeranii”. W naszym miesięczniku ukazały się także opracowane literacko przez Jana Walkusza „Gadki mściszewickie”.

Ks. Jan Walkusz (rocznik 1955) pochodzi z Klukowej Huty w Kartuskiem, obecnie jest redaktorem naczelnym wydawnictwa „Encyklopedia Katolicka” przy Katolickim

Uniwersytecie Lubelskim. Jako kapłan parokrotnie już odprawiał mszę św. w języku kaszubskim.

Nagroda Romana Wróblewskiego wręczona została Janowi Walkuszowi 9 czerwca br. w Chmielnie, podczas koncertu laureatów XX Konkursu Recytatorskiego Poezji i Prozy Kaszubskiej.

(s.j.)

KRONIKA LEŚNIEWSKA

Leśniewski kronikarz przysłał zawsze, choć czasami z opóźnieniem, informacje o przebiegu pracy miejscowego oddziału Zrzeszenia. I tym razem informacje dają wyobrażenie o pełnej inicjatywy działalności oddziału.

17 marca oddział zorganizował spotkanie z „Tatczężną”, którą reprezentował kol. Jarosław Elwart, i ze znanym gawędziarzem Józefem Roszmanem, który bawiąc licznie przybyłych mieszkańców Leśniewa zachęcał do czytania „Tatczężné”. Był także mini konkurs dla młodzieży szkolnej na kaszubską piosenkę, wiersze i gadkę. Można było kupić kasety z piosenkami kaszubskimi i wydawnictwa kaszubskie.

21 marca oddział zorganizował w sąsiedniej wiosce Mechowo spotkanie mieszkańców z radnym Jarosławem Biangą i prezesem oddziału ZK-P Franciszkiem Okuniem. Podczas spotkania dyskutowano o samorządzie terytorialnym i statutowej działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w świetle zachodzących zmian społeczno-politycznych w kraju.

28 kwietnia w 5 lat po katastrofie w Czarnobylu i z okazji zaprzestania budowy Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec” Oddział Leśniewski, przy czynnym współuczestnictwie sąsiednich oddziałów ZK-P, zorganizował uroczystą mszę św. dziękczynną z liturgią słowa w języku kaszubskim w kościele parafialnym w Żarnowcu.

Mszę św., na którą licznie przybyli mieszkańcy Kaszub, koncelebrowali: ks. kanonik Bolesław Lewiński, proboszcz z Karwi i ks. Daniel Nowak, proboszcz parafii p.w. Chrystusa Króla w Wejherowie, który w homilii poruszył problem budowy elektrowni bez akceptacji społeczeństwa.

Przed mszą św. wystąpił dr Jerzy Jaśkowski z Akademii Medycznej w Gdańsku, jeden z czołowych działaczy w walce o zaprzestanie budowy elektrowni, publikujący wiele artykułów, m.in. w „Pomeranii”. Po mszy św. głos zabrał przybyły na tę uroczystość wicewojewoda gdański, a jednocześnie prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Józef Borzyszkowski.

W drugiej części uroczystości odbył się występ męskiego chóru „Harmonia” z Wejherowa, którym dyrygowała Elżbieta Kania (chór śpiewał także w czasie mszy św.), i Idy Wenty z Kartuz, która recytowała wiersze Krystyny Muzy i teksty biblijne we własnym tłumaczeniu na język kaszubski.

W uroczystościach udział wzięły poczty sztandarowe oddziałów ZK-P z Pucka, Wejherowa i Rumi. Przybyło wielu działaczy z oddziałów północnych i Gdańska. Obecny był wójt gminy Krokowa i wielu innych, którym los ziemi kaszubskiej nie jest obojętny.

Po uroczystościach kościelnych zrzeszeni z Leśniewa i Wejherowa zwiedzili przerwaną budowę elektrowni jądrowej i skansen-zagrode gburską w Nadolu.

W maju przedstawiciele Zarządu Oddziału Leśniewskiego uczestniczyli w trzech uroczystościach: wręczenia sztandaru oddziałowi ZK-P w Kartuzach (3 maja), odsłonięcia tablicy pamiątkowej Aleksandra Labudy w Tłuczewie (19 maja) i wręczenia sztandaru i nadania imienia Lecha Bądkowskiego Szkole Podstawowej w Luzinie (24 maja). F.O.

XX KONKURS „LUDOWE TALENTY”

XX jubileuszowy konkurs „Ludowe Talenty” tym razem odbył się w Lipuszu (26 maja br.). Dwa oddziały Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego — gdański i lipuski, które wystąpiły w roli gospodarzy konkursowej imprezy, nie szczędziły starań i pracy, ażeby wypadła ona okazale. I rzeczywiście, w sali miejscowego domu kultury, oświetlonej udekorowanej, było na co popatrzeć. Ze 116 prac nadesłanych na konkurs wybrano te dobre i najlepsze zaznaczając, które spośród nich zostały nagrodzone i wyróżnione przez jury.

Reprezentowane były wszystkie dziedziny sztuki ludowej — malarstwo na szkle, ceramika, tkactwo, hafty, plecionka, rogarstwo, intarsja i rzeźba w drewnie. Autorem prac wyróżniających się poziomem artystycznym i oryginalnością wręczono nagrody i dyplomy ufundowane przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku oraz urzędy gmin w Stężycy, Wejherowie, Chmielnie, Szemudzie, Luzinie, Krokowej, Tczewie, Lipuszu, urzędy miast — Sopotu, Tczewa i Łeby. Wśród prywatnych fundatorów nagród znaleźli się m.in. prof. Włodzimierz Łajming, Krystyna Groth, Izabella Trojanowska, państwo Borzyszkowscy z Karsina, Anna Kwaśniewska i ks. Zbigniew Kerlin.

Optymistyczne jest to, że konkursowi nie grozi uwład. Najważniejsze, by dotrzeć do źródeł twórczości artystycznej, drzemających w młodych pokoleniach. Wiele już zrobiono, by na wsi współczesnej, podanej ciśnieniom, ugruntować sympatię dla dzieł, które czerpią inspirację z rodzimej kaszubskiej i kociewskiej gleby. Mówiono o tym na spotkaniu członków jury z opiekunami i młodymi uzdolnionymi amatorami.

W części artystycznej wystąpił znany kaszubski gawędziarz Jerzy Roszman i zespół recytatorski Szkoły Podstawowej w Lipuszu.

(p)

Dziękujemy darczyńcom: Antoniemu Czarnowskiemu z Gdańska — 18 000 zł; Stanisławowi Donimirskiemu z Warszawy — 16 000 zł; Edmundowi Kuklińskiemu z Gdyni — 23 000 zł (3 wpłaty); Gerardowi Labudzie z Poznania — 47 500 zł; Zygmuntovi Orłowi z Władysławowa — 80 800 zł (2 wpłaty); Oddziałowi Puckiemu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego — 86 000 zł (2 wpłaty); Stanisławowi Cygiertowi z Pucka — 100 000 zł; Edwinowi Podleckiemu z RFN — 30 000 zł; Jerzemu Abrahamowi z Gdyni — 20 000 zł; Leonowi Staśkiewiczowi z Gdyni — 9000 zł; Henrykowi Malewskiemu z Chełmży — 20 000 zł; Jerzemu Kiedrowskiemu z Sopotu — 10 660 zł; Antoniemu Wicy z Inowrocławia — 50 000 zł; Jerzemu Barthelke z Gdyni — 50 000 zł; Ks. Henrykowi Mrosowski z Osielska — 25 000 zł; Zofii Krotchwil — 100 000 zł; Kazimierzowi Bańczykowi z Żukowa — 9500 zł; Januszowi Iskierskiemu z Wejherowa — 152 000 zł; Henrykowi Sobolewskiemu z Gdańska — 60 000 zł; Danucie Stanulewicz z Gdyni — 20 000 zł; Władysławowi Wickiemu z Prokowa — 20 000 zł; Bankowi Spółdzielczemu z Czerska — 100 000 zł; Andrzejowi Romanowskiemu z Gdańska — 100 000 zł; Alinie Kietrys z Gdańska — 186 000 zł; Leonowi Wickiemu z Łapina — 40 000 zł; Czesławowi Dawiskibe z Rumi — 8000 zł; Ks. Janowi Walkuszowi z Lublina — 100 000 zł; Ks. Grzegorzowi Gólskiemu z Gdańska — 28 000 zł; Zbigniewowi Wyszczekiemu z Anglii — 100 000 zł.

Za wpłaty na Dom Kaszubski dziękujemy: Michaelowi T. von Grabowski z RFN — 543 200 zł; Zdzisławowi Kurowskiemu z Gdańska — 10 000 zł; Hilaremu Majkowskiemu z Rumi — 15 000 zł; Kazimierzowi Grzędzickiemu z Gdańska — 30 000 zł (3 wpłaty); Zbigniewowi Szablewskiemu z Warszawy — 100 000 zł; Zygmuntovi Orłowi z Władysławowa — 100 000 zł; Brunonowi Byczkowskiemu z Gdańska — 150 000 zł.

Z honorarium autorskiego zrezygnowali: Lech Mażewski z Gdańska, Andrzej Kotecki z Gdańska, Ks. Władysław Szulist z Gdańska oraz Krystyna i Marian Frydowie z Człuchowa, przekazując na rzecz „Pomeranii” kwotę 330 000 zł.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Dary można wpłacić na konto PKO I O/Gdańsk, nr 19510-5890-132.

ODDZIAŁ PUCKI ZA SPROWADZENIEM PROCHÓW GEN. HALLERA

Zarząd Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Oddział w Pucku na zebraniu 21 maja podjął jednomyślnie uchwałę popierającą działania Towarzystwa Przyjaciół Hallerowa zmierzające do sprowadzenia prochów gen. Józefa Hallera i jego małżonki z Wielkiej Brytanii do Władysławowa.

(S.C.)

LAJOS VINCZE

Lajos Vincze, artysta grafik, malarz, rzeźbiarz, twórca ilustracji do tekstów literackich i dziennikarskich, redaktor związany z „Magyar Hirnap”, przebywał na Kaszubach wielokrotnie, w roku 1962, 66, 69 i 88. Z tego okresu pochodzą jego szkice i grafiki, w których utrwalił sylwetki Kaszubów, piękno Gdańska i innych miast pomorskich. Szczególnie pociągał artystę świat Kaszubów i ich los na przestrzeni wieków. Wzrokiem doświadczonego przez życie człowieka dostrzega w stale zmieniających się obrazach rzeczywistości najbardziej charakterystyczne i godne utrwalenia. Jest niespokojnym, pełnym twórczych poszukiwań artystą. Zainteresowanie Polską zawdzięcza swej żonie Gyöngyver, która pamięta o tym, że jej przodkowie pochodzili z Polski, stąd jej szczególnie sentyment

do naszego kraju. Trzeba dodać, że Gyöngyver znana jest jako utalentowana dziennikarka i założycielka poczytnego dziennika pt. „Magyar Namzet”.

Lajos Vincze urodził się 5 sierpnia 1914 r. we wschodnich Węgrzech, w pobliżu dawnej granicy polsko-węgierskiej. Młodość spędził w Szabales. Studia malarskie odbył w Budapeszcie. Posiada zdolność szybkiego w miarę pełnego poznawania innych krajów. Owocem licznych podróży są książki autorstwa państwa Vincze, w których zawarli wrażenia i refleksje z pobytu w Polsce, Szwecji, Finlandii, Jugosławii, Albanii, Iraku i Chinach.

Naszego przyjaciela rozmiłowanego w kaszubskiej kulturze, w pięknej przyrodzie można uznać za ambasadora kultury polskiej, kaszubskiej w Budapeszcie. Liczne audycje radiowe, telewizyjne i artykuły prasowe o Polsce przybliżyły nasz kraj społeczeństwu węgierskiemu. Dziełem państwa Vincze była także sztuka radiowa poświęcona historii obrazu Hansa Memlinga w Gdańsku.

Lajos Vincze swój dorobek artystyczny prezentował na licznych indywidualnych wystawach. Jego dzieła trafiły do Galerii Narodowej i muzeów w Budapeszcie, do muzeum w Pekinie, Waszyngtonie oraz do Muzeum Morskiego w Gdańsku. Jego grafiki, rysunki ukazywały się w „Kaszëbach”, „Literach”, „Pomeranii” i „Ziemi Gdańskiej”.

Od 8—18 września, na zaproszenie Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, gościć będzie-

my państwa Vincze w Gdańsku. 11 września o godz. 16.00 nastąpi otwarcie wystawy grafik artysty zatytułowanej „Polska i Węgry”, na którą serdecznie zaprasza Biuro Wystaw Artystycznych w Sopocie, które obok ZK-P jest organizatorem tej ekspozycji.

(jot-ka)

II KONGRES KASZUBSKI

14 czerwca br. przedstawiciele oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego dyskutowali o organizacji imprez poprzedzających II Kongres Kaszubski, który odbędzie się w czerwcu 1992 r. Postanowiono, że imprezy, których głównymi organizatorami będą oddziały Zrzeszenia, odbędą się w okresie od stycznia do czerwca 1992 r., ze szczególnym natężeniem w kwietniu i maju. Do współorganizacji zaprasza się parafie, placówki kultury, szkoły, organizacje społeczne.

Uaktywnienie członków Zrzeszenia, lokalnych społeczności, ma sprzyjać umacnianiu poczucia przynależności etnicznej, ale także rozwojowi kultury, oświaty oraz podejmowaniu inicjatyw gospodarczych, wzbogacających lokalne środowiska.

W oddziałach ZK-P przystąpiono do powoływania zespołów roboczych, które opracują programy i zadają o ich realizację. Na łamach „Pomeranii” i „Stegny” śledzić będziemy przygotowania do Kongresu Kaszubskiego.

(jot-ka)

DZIEŃ MATKI

Staraniem Zarządu Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Pucku zorganizowano kolejną uroczystość Dnia Matki. Jest już tradycją, że w tym dniu zapraszamy najstarsze matki z Pucka na kameralne spotkanie przy kawie i kuchach. Na nasze zaproszenie przybyły 94 matki. Witaliśmy je kwiatami i ciepłym słowem. Wraz z nami uczynił to również nowo wybrany burmistrz Pucka Janusz Łęgowski. Część artystyczna była doprawdy wspaniała. Najpierw prezentował się trzysobowy zespół recytatorski ze Szkoły Podstawowej nr 2 pod opieką Anny Calik, po nim Józef Roszman, a na koniec Amatorski Zespół Regionalny ze Strzelna. Ten wokalny-taneczny zespół tworzy młodzież szkolna (od najmłodszych lat), pozaszkolna i osoby w średnim wieku. Animatorami i duszą zespołu są Gerard Renusz i Mirosław Mudlaff. Zespół jest tylko jednym przykładem z bogatego i wielorakiego ruchu artystycznego w Strzelnie. Artystom nie szczędzono zasłużonych braw, nam, organizatorom, przyjemnie było patrzeć na radosny uśmiech na twarzach matek.

Nie byłibyśmy w stanie tego dokonać, gdyby nie pomoc finansowa Urzędu Miasta w Pucku i ludzi dobrej woli i serca, akceptujących naszą regionalną aktywność. Czuję się zobowiązany złożyć im na tych łamach wyrazy podziękowania.

Stanisław Cygiert

KONKURS RODNEJ MOWY WE WŁADYSŁAWOWIE

11 maja br. odbył się we Władysławowie I Konkurs Recytatorski Poezji i Prozy Kaszubskiej „Rodna mowa”. Do ubiegłego roku konkurs taki odbywał się w Pucku i obejmował obszar całej ziemi puckiej. Ponieważ jednak dzieci ze szkół pasa nadmorskiego: z Karwi, Chłapowa i całego półwyspu nie brały w nim udziału, zrodził się pomysł zorganizowania konkursu w miejscowości, z której dzieci do tej pory nie uczestniczyły w tej pożytecznej imprezie. Pomysł okazał się dobry. W konkursie udział wzięło 21 uczniów ze szkół podstawowych w Karwi, Jastrzębiej Górze, Chłapowie, Chałupach, Jastarni oraz szkoły nr 1 i 2 z Władysławowa. Przygotowane były również dzieci ze szkoły w Kuźnicy — niestety w ostatniej chwili zabrakło opiekuna. Żałujemy również, że nie wzięła udziału szkoła w Helu, ale mamy nadzieję, że w przyszłym roku skorzysta z naszego zaproszenia.

Drugi argument oddzielenia się od Pucka to chęć wprowadzenia do finału większej ilości „Belaków”. Nie bez znaczenia była również specyfika dialektu kaszubskiego. Wiadomo, że język np. jastarnicki różni się znacznie od języka darżlubskiego i dlatego dzieci miały większą swobodę zaprezentowania swojej gwary.

Organizatorem konkursu było Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie we Władysławowie wspierane pomocą Miejskiego Ośrodka Kultury we Władysławowie. Na szczególne wyróżnienie zasługuje koleżanka Irena Ceynowa. To dzięki jej inicjatywie i zaangażowaniu doszło do tej cennej imprezy. Jury pod przewodnictwem Jana Drzeżdżona po wysłuchaniu 21 uczestników w trzech grupach wiekowych wyróżniło I nagrodą w klasach 1 do 3 Michała Borzyszkowskiego ze szkoły nr 1 we Władysławowie, II — Macieja Budzisa z Chałup, III — Sabinę Hermann z Jastarni; w klasach 4—5 najlepszy był Patryk Lorenz ze szkoły nr 1 we Władysławowie, na II miejscu znaleźli się Piotr Ciskowski z Chłapowa i Kinga Struk z Jastarni, na III Bartłomiej Wittbrodt z Karwi i Kinga Ciechańska z Jastarni. Wyróżniono Emilię Kwidzińską ze szkoły w Chłapowie. W klasach 6—7 I miejsce zajęła Marzena Kropiewska ze szkoły nr 1 we Władysławowie, II — Dorota Stildt z Jastarni i III — Izabella Herrmann ze szkoły nr 2 we Władysławowie.

Na uwagę zasługuje fakt uzyskania pierwszych miejsc przez uczniów szkoły nr 1 we Władysławowie. Nie wypadło to szczególnie gościnnie, ale oceny trudno było podważyć. Jest to zasługa Ireny Ceynowy, nauczycielki tej szkoły, która posługując się bardzo czystym językiem kaszubskim potrafiła bezbłędnie przygotować swoich podo-

piecznych do konkursu. Inną ciekawostką jest fakt bardzo dobrego popisu dobrą kaszubszczyzną ucznia tejże szkoły Patryka Lorenza, który nie będąc rdzennym Kaszubą potrafił tak świetnie wypaść w konkursie. Jest to argument szczególnie cenny, gdyż wielu Kaszubów „wynaładawia” swój język.

Wszystkich zwycięzców od pierwszego do trzeciego miejsca obdarowano nagrodami, nagrodzono również panie przygotowujące dzieci do konkursu.

Miłym akcentem było spotkanie dzieci i wychowawców z wieloletnim działaczem kaszubskim Klemensem Zielke z Gnieźdźewa, który zainteresował młodzież i wychowawców kaszubskimi opowiadaniem i legendami.

Organizatorzy otrzymali zapewne nie od uczestników, że staną w szranki również w następnych konkursach. Zwycięzcy z poszczególnych grup wyjadą na finał do Chmielna.

Jerzy Gliszczyński

RODNA MOWA W RUMI

Oddział Miejski ZK-P w Rumi był organizatorem konkursu recytatorskiego „Rodna mowa”, który w ramach eliminacji środowiskowych odbył się 27 kwietnia br. w MDK. Do konkursu w czterech kategoriach wiekowych zgłosiło się 15 uczniów z trzech szkół podstawowych i LO w Rumi oraz jeden uczeń z Państwowej Szkoły Baletowej w Gdańsku, ale mieszkający w Rumi. Zwycięzcami w poszczególnych kategoriach zostali: Agnieszka Jurkiewicz ze Szkoły Podstawowej nr 6, Aneta Labuda również z „6” i Sebastian Bach z PSB w Gdańsku. W kategorii szkół ponadpodstawowych najlepszą była Iwona Welenc z LO. Najlepsi zostali nagrodzeni ceramiką z Chmielna, wszyscy otrzymali pamiątkowe książki.

J.L.

GÓDOME PO KASZĘBSKU

23 kwietnia Oddział Żukowski zorganizował w internacie Zespołu Szkół Zawodowych w Żukowie spotkanie z Kasią Kiedrowską ze Stężycy i Eugeniuszem Pryczkowskim z Sianowa, którzy prowadzą telewizyjną lekcję języka kaszubskiego — Gódome po kaszëbsku.

Nasi goście w interesujący sposób mówili, oczywiście po kaszubsku, jak powstała audycja i jak przygotowują się do nagrań. Telewizyjna Anka i Jank przekonali wielu wychowanków (swoich rówieśników) do pielęgnowania rodzimego języka kaszubskiego. Najstarsi uczniowie byli zainteresowani udziałem w obozie adaptacyjnym, organizowa-

nym przez klub studentów „Pomorania”. Tego samego dnia w Domu Katechetycznym w Żukowie odbyło się spotkanie z członkami tutejszego oddziału i mieszkańcami Żukowa. K.B.

JUBILEUSZOWY FINAŁ W CHMIELNIE

W dniach 8 i 9 czerwca w Chmielnie odbył się finał XX Konkursu Recytatorskiego Poezji i Prozy Kaszubskiej. W sumie, w wielostopniowych eliminacjach, w konkursie uczestniczyło ponad tysiąc recytatorów. Do Chmielna przyjechali najlepsi z najlepszych — 44 uczniów ze szkół podstawowych i średnich z województw gdańskiego, bydgoskiego i słupskiego.

Siedmioosobowe jury pod przewodnictwem pisarza Jana Drzeżdżona przyznało: w grupie klas 1—3 nagrodę I — Łukaszowi Reszke z Reskowa, nagrodę specjalną — Karolinie Zegarskiej z Ocypla, nagrodę II — Krzysztofowi Butowskiemu z Puzdrowa, III — Marciowi Liegmanowi z Szymbarka oraz wyróżnienie Annie Klaist z Lipnicy; w grupie klas 4—6 jury przyznało nagrodę I — Lucynie Wronskiej z Kamienicy Szlacheckiej, II — Patrykowi Lorenzowi z Władysławowa, III — Katarzynie Sikorskiej ze Stężycy oraz wyróżnienie Kamili Kwidzińskiej z Wejherowa, Barbarze Łukasiewicz z Lubichowa, Justynie Zwarze z Miechucina i Krzysztofowi Rogowskiemu z Wielkich Chelmów; w grupie klas 7—8 nagrodę I otrzymała Dorota Formela ze Stężycy, II — Jacek Burchacz z Rębu, nagrody III — Adam Adrian z Gnieźdźewa i Magdalena Węsiara z Chmielna oraz wyróżnienia Agnieszka Ropela z Sierakowic i Dorota Boka z Osowa; w grupie szkół średnich jury postanowiło przyznać nagrodę I — Dorocie Drzeżdżon z Pucka oraz nagrodę III — Joannie Białk.

W tym roku laureaci zostali nagrodzeni m.in. walkmanami, rzezbami, kaszubską porcelaną i książkami. Nagrody książkowe otrzymali również opiekunowie recytatorów.

Po raz pierwszy uczestnicy konkursu w Chmielnie zaprezentowali nie tylko utwory znanych pisarzy kaszubskich i kociewskich, ale także teksty własne. Recytowali poezję i prozę z różnych okresów historii literatury kaszubskiej — od początku XX wieku po lata najnowsze. Wielu deklamatorów przedstawiło utwory nie tylko w doskonałej kaszubszczyźnie, lecz również wykazało się umiejętnościami aktorskimi.

Konkursowi, który po raz pierwszy odbył się w nowym obiekcie Domu Kultury, towarzyszył szereg imprez — projekcje filmów telewizyjnych o Chmielnie, przejażdżki bryczkami po okolicy, przedstawienie sztuki „Choróbsko” Jana Piepki, wykonane przez młodzieżowy zespół teatralny z Kolonii, działający przy miejscowej OSP, a prowadzony przez nauczycielkę Marię Wentę. W czasie koncertu laurea-

tów wystąpił także zespół „Chmielanie”, a w chmielńskim kościele ks. Jan Walkusz odprawił mszę św. i wygłosił kazanie w języku kaszubskim.

Podczas uroczystego zakończenia konkursu odczytany został protokół z posiedzenia jury, w którym napisano między innymi:

„Jury z zadowoleniem pragnie podkreślić, że zapoczątkowany przed 20 laty konkurs stał się stałym, corocznym forum artystycznej prezentacji słowa kaszubskiego, ważnym wydarzeniem w życiu literackim i kulturowym Kaszub i Pomorza. Na szczególne słowa uznania zasługuje wysiłek organizatorów każdego roku podejmowany przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Chmielnie, w tym przez wytrwałych działaczy z tego środowiska — Antoniego Czaję i Brunona Cirociego. Jury ma nadzieję, że sprawnie i wzorowo zorganizowany jubileuszowy konkurs, po raz pierwszy odbywający się w nowym obiekcie Domu Kultury, zapoczątkuje kolejny etap, jednakże bardziej znaczący i powszechny, corocznych spotkań z pięknem kaszubskiej literatury”.

(s.j.)

WAŻNY KONKURS

6 czerwca br. w gościnnych salach Szkoły Muzycznej w Pucku odbył się finał organizowanego od dwudziestu lat (z niewielkimi przerwami) Turnieju Wiedzy o Regionie. Obecna XIV edycja zorganizowana została przy pomocy Oddziału Puckiego ZK-P oraz Puckiej Delegatury KOiW w Gdańsku.

Ponieważ zadaniem turnieju jest popularyzowanie wśród dzieci i młodzieży wiedzy z zakresu historii i kultury regionu, dla zwiększenia zakresu jego oddziaływania półfinały konkursu zorganizowano w dwu oddzielnych szkołach: w Mrzeżynie, gdzie rywalizowali ze sobą przedstawiciele szkół z Mrzeżyna, Żelistrzowa, Swarzewa, Leśniewa Strzelna i Jastrzębiej Góry, oraz w Krokowej, gdzie spotykały się drużyny z Krokowej, Żarnowca, Starzyna, Polczyna oraz Pucka (SP nr 1).

Większość drużyn wykazała się bardzo dobrym przygotowaniem. Rywalizacja była nad podziw wyrównana i sprawiła wiele satysfakcji organizatorom imprezy uradowanym wysokim poziomem odpowiedzi.

W wyniku rozgrywek finałowych po zaciętej walce z przedstawicielami szkoły w Jastrzębiej Górze oraz po specjalnej dogrywce zwycięską okazała się drużyna ze Szkoły Podstawowej w Mrzeżynie, która otrzymała z rąk organizatorów główne trofeum turnieju — puchar przechodni ufundowany przez sponsora imprezy pana Kuchnowskiego z Władysławowa. Czy uda się uczniom z Mrzeżyna utrzymać owe trofeum i w przyszłym roku? Ano zobaczymy. Na razie gratulujemy zwycięstwa.

(J.K.)

LECH BĄDKOWSKI PATRONEM SZKOŁY

„Był pisarzem, który się nie spóźnił” — te słowa Wiktora Woroszyńskiego towarzyszyły uroczystości nadania Szkole Podstawowej w Luzinie imienia Lecha Bądkowskiego. Rada Pedagogiczna, Komitet Rodzicielski i Samorząd Szkoły w zaproszeniu na uroczystości tak oto przedstawili sylwetkę zmarłego przed siedmiu laty pisarza i przywódcy ruchu kaszubsko-pomorskiego:

„Urodził się w 1920 r. w Toruniu, a zmarł w 1984 r. w Gdańsku. Był uczestnikiem kampanii wrześniowej, walczył w jednostkach polskich na Zachodzie; odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Po powrocie do kraju związał się z Wybrzeżem. Studia odbył w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie i na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego.

Był tytanem pracy umysłowej; uważał, że »świadomy obywatel potrzebuje wiedzy«, a »dla bojaźliwych nie ma litości«. W myśl tych zasad walczył o przekazanie idei demokracji, tworząc koncepcję samorządowego państwa. Po sobie pozostawił bogaty dorobek literacki i publicystyczny.

Pozostawił również tych, którzy jego myśli przekuwają w rzeczywistość”.

Uroczystości rozpoczęły się przemarszem uczestników ulicami Luzina — ze szkoły do parafialnego kościoła. Pochód prowadziła orkiestra Gościńskich Fabryki Mebli, obecna także przez cały czas trwania uroczystości. W kościele odprawiona została msza św. koncelebrwana, pod przewodnictwem ks. bp. Mariana Przykuckiego, ordynariusza diecezji chełmińskiej. Ksiądz biskup poświęcił również sztandar szkoły, ufundowany przez Nadleśnictwo w Luzinie, a przedstawicielka kuratora oświaty odczytała akt nadania szkole imienia Lecha Bądkowskiego.



Fot. Alfons Klejna

Po mszy św. uczestnicy uroczystości zgromadzili się na placu przed szkołą. Zasługi Lecha Bądkowskiego dla Kaszub, Pomorza i Polski w krótkich, aczkolwiek bardzo treściwych przemówieniach przedstawił: Andrzej Janusz, dyrektor szkoły, Sławina Kosmulska, córka pisarza, Józef Borzyszkowski, wicewojewoda gdański, Maria Krośnicka, dyrektorka miejscowego domu kultury oraz Feliks Sikora, pre-

zes oddziału ZK-P w Luzinie. W części artystycznej zaprezentował się kaszubski zespół śpiewaczy pod przewodnictwem Jadwigi Semak oraz chór szkolny. Redakcja miejscowego dwutygodnika „Kukówka” wydała specjalny numer pisma poświęcony Lechowi Bądkowskiemu, a w szkole czynna była galeria sztuki ludowej.

Lech Bądkowski został już w Gdańsku upamiętniony na tablicy, jego imię nosi przyznawana co dwa lata nagroda literacka. Inicjatywa luzińskiej szkoły, jako kolejny akt upamiętnienia „sumienia pomorskich obywateli”, powinna stać się przykładem dla innych placówek i instytucji, nie tylko na Kaszubach i Pomorzu. (s.j.)

POD KASZUBSKIM SZTANDAREM

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie ma już dziesięć sztandarów. Ostatni należy do oddziału w Kartuzach, a jego uroczyste wręczenie i poświęcenie odbyło się 3 maja br. Uroczystości te zostały zorganizowane przez zarząd oddziału oraz Społeczny Komitet Fundacji Sztandaru pod przewodnictwem Henryka Miotka.

Pierwsza część uroczystości odbyła się w urzędzie miasta i gminy. Po wystąpieniu prezesa Oddziału Kartuskiego ZK-P, Tadeusza Stoltzmana, sztandar na jego ręce złożył wiceprezes Zarządu Głównego Jerzy Kiedrowski. Na jednej stronie stancy kartuskiego Zrzeszenia widnieje czarny gryf, a na drugiej wyhaftowane srebrną i złotą nicią kaszubskie motywy kwiatowe, sylweta kościoła kartuzów, herb miasta, gałązka lipy, wizerunek Matki Boskiej Sianowskiej — Królowej Kaszub oraz napis „Z ródny zemi nasz deje”, który jest transkrypcją słów poety Jana Trepczyka. Sztandar wyszyła — według projektu Barbary Pisarek — znana kartuska hafciarka Zofia Formela, natomiast postać Matki Boskiej Sianowskiej jej uczennica Ida Wentla. Nazajutrz po uroczystościach Zofia Formela zmarła. Była mistrzynią haftu kaszubskiego i figuralnego, autorką wielu sztandarów i wyszywanych obrazów, a także teczek haftów wydanej przez ZK-P w 1986 roku.

Po ceremonii przybicia symbolicznych gwoździ do drzewca sztandaru odbyła się część artystyczna uroczystości, w czasie której recytowano poezję i śpiewano piosenki kaszubskie. Najwięcej braw zebrali kaszubski aktor Zbigniew Jankowski rodem z Ręboszewa i zespół „Kaszuby” z Kartuz.

Po uroczystości w magistracie odbył się przemarsz z udziałem orkiestry strażackiej do kościoła pokłasztornego. W kościele tym sztandar został poświęcony w czasie mszy świętej w języku kaszubskim, którą odprawił ks. Marian Miotk. Do zgromadzonych w kartuskiej świątyni przemówił po kaszubsku wicewojewoda gdański i prezes Zrzeszenia Józef Borzyszkowski.

Święto kaszubskiego sztandaru w Kartuzach zakończyło się uroczystym obiadem w hotelu „Rugan”. Przy stole zasiadło około 150 gości z róż-

nych stron Kaszub i Pomorza. Podczas obiadu były występy artystyczne i gawędy. Uroczystości w Kartuzach stały się jeszcze jedną okazją wymiany doświadczeń oraz zacieśnienia więzi koleżeńskich w dużym kręgu społeczności zrzeszonej. (s.j.)

PAMIĘCI ALEKSANDRA LABUDY

Z inicjatywy północnych oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w niedzielę 19 maja odbyły się uroczystości związane z upamiętnieniem zmarłego przed dziesięciu laty Aleksandra Labudy, znającego także pod pseudonimem Guzczów Mack, pisarza, autora słowników kaszubskich, przywódcy ideowej i literackiej grupy zrzeszeńców.

Uroczystości rozpoczęły się kaszubską mszą św. odprawioną w kościele w Strzeczcu przez ks. pralata Franciszka Gruczę, przyjaciela pisarza, ostatniego obecnie zrzeszeńca, który wygłosił również okolicznościowe kazanie. Do zebranych w kościele po mszy przemówił także prezes Zrzeszenia Józef Borzyszkowski. W Strzeczcu na cmentarzu, na grobie Aleksandra Labudy, złożono wiązanek kwiatów.

Następnie w pobliskim Tłuczewie, na domu pisarza odsłonięto i poświęcono pamiątkową tablicę. Obok płaskorzeźby przedstawiającej oblicze przywódcy zrzeszeńców na tablicy znajdują się słowa: „Kaszëb-szczim jesmë lëdem / Nim wiedno chcëma bëc / Niech ten së pòli wstëdem / Chto nie chce o tim czëc” oraz napis: „Aleksander Labuda 1902—1981, Szkólny, Pisòrz, Zrzeszińc”. Autorem tablicy jest artysta plastyk Andrzej Arendt. Podczas uroczystości w Tłuczewie Edmund Kamiński z Wejherowa przedstawił szkic „Zrzeszeniówò skarń »Guczwego Macka«”.

Zarówno w Strzeczcu jak i w Tłuczewie recytatorzy zaprezentowali wiersze i gawędy kaszubskie pisarza. Nie zabrakło też recytacji i wspomnień w czasie przyjęcia zorganizowanego przez rodzinę Aleksandra Labudy. Atrakcją spotkania w Tłuczewie była stołówka pod gołym niebem oraz loteria fantowa, przygotowane przez Halinę i Witolda Bobrowskich, nauczycieli z Głodnicy. Dochód z tego przedsięwzięcia przeznaczono na wsparcie organizującej się w tej miejscowości kaszubskiej szkoły społecznej. (s.j.)

ZOFIA FORMELA NIE ŻYJE!

8 maja br. w Kartuzach pochowano Zofię Formelę, niezwykle zdolną i cenioną hafciarkę. Nad grobem pochylili się sztandar kartuskiego partu Zrzeszenia, sztandar przez nią wyhaftowany, a poświęcony tak niedawno — 3 maja.

Zofia Formela haftem zajmowała się od 1968 roku. Należała do najsłynniejszych hafciarek kaszubskich. Urodziła się w 1936 roku w Kartuzach. Z zawodu pielęgniarka, łączyła pracę zawodową z obowiązkami domowymi i sztuką hafciarską. Prowadziła szkołę hafciarską w

Ognisku Pracy Pozaszkolnej w Kartuzach, ucząc młodych pięknej sztuki haftu. Wychowała swoich następców zafascynowanych pięknem kaszubskiej sztuki i kultury. Kulturowała i twórczo rozwijała 7-kolorowy haft kaszubski oraz czepcowy. Komponowała wzory, nawiązując do szkoły żukowskiej. W bogatym dorobku Zofii Formeli są serwety, obrusy, bieżniki, a także makaty, sztandary i baldachimy. W 1981 roku „wyczarowała” Matkę Boską Sianowską — Królową Kaszub, którą otrzymał Jan Paweł II. Jest autorką teczki haftu, którą wydało w 1986 roku Zrzeszenie.

Jej prace znajdują się w muzeach w Chojnicach, Kartuzach, Toruniu oraz w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym w Wieżycy i w WOK w Gdańsku.

Brała udział w wielu konkursach i wystawach. Indywidualne wystawy miała w Kartuzach w roku 1983, 1987 i 1990. Jej prace igłą malowane można było podziwiać w maju br. w Luzinie.

Przyjaciele, sympatycy i miłośnicy haftu spotkali się z Zofią Formelą 23 października 1990 r. W ich pamięci pozostanie zawsze postać i radość i życzliwość ludziom. (Jot-ka)

PAMIĘĆ O KS. SOBIERAJCZYKU

W Wielkim Buczku odbyła się uroczystość upamiętniająca 50. rocznicę męczeńskiej śmierci ks. Aleksandra Sobierajczyka. Ks. Sobierajczyk pracując w latach 1905—1939 na terenie parafii Wielkiego Buczka prowadził, oprócz posługi duszpasterskiej, pracę patriotyczną, wspomagając ks. patrona — Bolesława Domańskiego. Zginął w Dachau w 1941 r. Imię tego duszpasterza nosi od 1989 r. miejscowa szkoła.

21 maja br. po uroczystej mszy świętej poświęcono kapliczkę z tablicą upamiętniającą ks. Sobierajczyka oraz tablicę na szkole. K.

ZMARŁA

MARIA SZYMICHOWSKA

10 marca 1991 r. zmarła w Kartuzach Maria Szymichowska. Urodziła się 19 marca 1901 r. w Mezwowie koło Kartuz. W czasie wojny działała w Armii Krajowej. Aresztowana w 1942 r. przeszła śledztwo w gestapo gdańskim, a następnie przewieziona do więzienia Moabit w Berlinie sądzona była przez Sąd Wojenny Rzeszy i skazana na 5 lat zaostrzonego obozu karnego, który odsiadywała w Fordonie.

Przed wojną i po wojnie była pracownikiem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Gdy znalazła się na emeryturze działała, niemal do końca swego życia, w Opiece Społecznej.

Maria Szymichowska pozostała zawsze wierna idei niepodległej Polski, a przy tym kochała swoją małą Ojczyznę — Kaszuby. Była prawnym i dzielnyim człowiekiem, oddanym Kościołowi i serdecznie życzliwym ludziom.

Na miejsce spoczynku na cmentarzu w Kartuzach odprowadzili panią Marię przyjaciele, żołnierze Armii Krajowej oraz mieszkańcy Kar-

tuz, którzy pamiętali jej życzliwe zaskrobanie łosem ludzi potrzebujących pomocy. Nad grobem pojechała panią Marię jej współtowarzyszka więzienna w Moabicy i Fordonie Maria Tabeau. Przypomniała działalność okupacyjną pani Marii. M.in. powiedziała:

„Była moją współtowarzyszka więzienną zarówno na Moabicy jak i w Fordonie.

Wszystkie, które zetknęłyśmy się z nią w więzieniu, a którym udało się przeżyć, możemy świadczyć, że była serdeczną i uczynną towarzyszką, nie załamującą się i nie pozwalającą innym załamać się, przy tym zachowującą się zawsze godnie, jak przystało na dumną Polkę”!

M.T.

STULECIE

„GAZETY GDANSKIEJ”

Z okazji 100 rocznicy powstania „Gazety Gdańskiej” w siedzibie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego w Gdańsku odbyła się sesja popularnonaukowa, współorganizowana przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. W programie znalazło się aż osiem referatów, wygłoszonych przez dr. Andrzeja Romanowa, prof. Józefa Borzyszkowskiego, red. Tadeusza Bolduana, dr. Jacka Banacha, prof. Stanisława Mikosza, doc. Wiktora Peplińskiego, doc. Zbigniewa Machalińskiego i doc. Marka Andrzejewskiego. Obradom przewodniczył prof. Edmund Cieślak. Mówcy zaprezentowali nie tylko dzieje i dorobek „Gazety Gdańskiej”, ale również szersze tło, bez znajomości którego nie sposób zrozumieć, czym była gazeta wydawana po polsku w zdominowanym przez Niemców mieście. Pomimo początkowych obaw, że na Kaszubach nie utrzyma się pismo polskie, funkcjonowanie „Gazety” przerwały dopiero wydarzenia 1939 r. Społeczność polska w Gdańsku, jakkolwiek stanowiła zaledwie kilka procent ogółu mieszkańców, miała swój własny dziennik, który sprzyjał integracji i umacniał zagrożone poczucie narodowe. Red. T. Bolduan zauważył, że ranga „Gazety” nie wynikała z jej nakładu (od 3 do 6 tys. egzemplarzy), ale z tego, że była ona autentycznym ośrodkiem opinotwórczym związanym z polskością na Pomorzu. „Gazeta” broniła Kaszubów przed pomówieniami z obu stron — Niemców, ale i Polaków nie wykazujących zrozumienia dla odrębności kaszubskiej. W referatach przewijał się wątek ideowy „Gazety”, która związana była z nurtem narodowym i katolickim, opowiadała się za solidaryzmem społecznym i pracą organizacyjną. Ten właśnie program dawnej „Gazety Gdańskiej” odróżnia ją od nowszej wersji, ukazującej się od 1990 r. Zdaniem red. M. Mrozińskiej dawna „Gazeta” była „narodowa”, podczas gdy obecna jest „liberalna”.

Rocznica powstania „Gazety” zaowocowała również otwarciem wystawy w Bibliotece Gdańskiej PAN, poświęconej stuleciu prasy polskiej w Gdańsku.

Wojciech Turek



PIĘKNA RZEKA

Leon Reszka

Reprodukcja pocztówek na okładce: Alfons Klejna

Przed stu laty Jezioro Stężyckie nosiło nazwę Stasiczno. Ksiądz R. Frydrychowicz podaje w „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego” „...że to nazwa mylna. Jezioro powinno nosić nazwę Stężyczno.

Rzeczka wypływająca z tego jeziora, dzieląca wioskę na dwie części: Stężycę Królewską i Stężycę Szlachecką, jest początkiem Raduni. Na dzisiejszych mapach zobaczymy tylko jedną Stężycę. Umierają nazwy, umierają rzeki.

Przed stu laty drugim prapoczątkiem Raduni miała być także rzeczka wypływająca z Jeziora Długiego, oddzielonego od jeziora Stasiczno przesmykiem zaledwie „1/8 mili szerokim”. Pomimo tej bliskości jezior, dwie rzeczki spotykały się dopiero w Jeziorze Ostrzyckim, skąd wypływały rzeczywistym nurtem Raduni.

Pierwsza rzeczka, przepływająca przez Jeziora Raduńskie, tworzyła zachodnią, a druga — południowo-wschodnią część pierścienia, który w dzisiejszych przewodnikach turystycznych nosi nazwę „Kółka Raduńskiego”. To „Kółko” obejmuje dziesięć rynnowych jezior, z których sześć: Stężyckie, Raduńskie, Kłodno, Małe i Wielkie Brodno oraz Ostrzyckie łączy — według dzisiejszego stanu wiedzy — Radunia.

Umierają nazwy. Dawne Jezioro Długie nosi nazwę Lubowisko i nie ma nic wspólnego z Jeziorzem Długim leżącym bliżej Skorzewa. Jezioro zwane dzisiaj Dąbrowskim, nosiło wówczas nazwę Grodno.

Umierają nazwy, umierają rzeki i rzeczki. Już na przedwojennych mapach sztabowych nie widać połączenia pomiędzy jeziorami Lubowisko — Dąbrowskie, a to z Patulskim łączy zaledwie struga. Dzisiaj, chcąc płynąć „Kółkiem Raduńskim”, trzeba w tych miejscach kajak przenosić.

A może to nie rzeczki zagięły lecz zmienił się stan wiedzy? Kiedyś nie było nauk zwanych hydrografią i hydrologią, a wiedzę o Raduni i Jeziorach Raduńskich zawierał program gimnazjum św. Jana w Gdańsku z 1869 roku.

Niezależnie od dawniejszych i dzisiejszych zapatrywań na początek Raduni, uważa się tę rzekę, wówczas i dzisiaj za najpiękniejszą na Kaszubach. Także za najbardziej pracowitą. Nic więc dziwnego, że Radunia wplotła się w historię i mitologię, nie tylko kaszubską.

Utrzymuje się, że Radunia to ów „Eridanus”, wspomniany przez Herodota, w którym według greckich mitów miał się utopić Faeton, strącony przez Jowisza gromem ze słonecznego rydwanu. To „Eridanus” prowadził greckich, a później i rzymskich kupców do krainy bursztynu. W nowszych czasach, w poemacie H. Derdowskiego wspomina się o „krwawej wodzie Raduni”. Ten sam motyw, zdradzieckiego mordu popełnionego przez Krzyżaków na kaszubskich ryce-

rzach, przypomina „Ostatnia gwiazdka Mestwina” B. Sychty.

Radunia była rzeką życiodajną i rybodajną, a przede wszystkim była rzeką czystą. Przynajmniej do Ruttek. Tak było czterdzieści, a nawet jeszcze trzydzieści lat temu. Dzisiaj, gdy w Straszynie zbudowano ujęcie wody pitnej dla Gdańska, chemią próbuje się uzdrowić wodę przez człowieka i nieumiejętnie stosowaną chemię popsutą.

Radunia była i jest jeszcze rzeką bardzo pracowitą. Kartuska elektrownia wodna w Rutkach zapewniała prąd elektryczny powstającej Gdyni. Wszystkich kuźni, tartaków i młynów, które przez wieki napędzały wody tej rzeki, nie zliczyłby żaden z dzisiejszych historyków. Także dlatego, że częstokroć nie ma po nich materialnego śladu, a i brak go w dokumentach dawnych klasztorów w Kartuzach i Żukowie, do których Radunia w swoim górnym biegu należała. W przywołanych już Rutkach (noszących wówczas nazwę Rudki) istniały w dziewiętnastym wieku, a zapewne i wcześniej: hamernia, młyn i tartak.

Od swoich początków aż do Ręboszewa Radunia należała do norbertanek. Kartuzi posiadali ją począwszy od Jeziora Ostrzyckiego aż do Kiełpina, skąd aż do Lnisk stanowiła ponownie własność panieńskiego klasztoru. Dla panien norbertanek łowiono nie tylko morenki w Jeziorze Raduńskim. Do nich należały także dwa jazy na wegorze; jeden w Chmielonku, a drugi w pobliżu Żukowa. Jak znaczne i ważące w dochodach zakonnych było bogactwo ryb w Jeziorach Raduńskich świadczy, że wspomina o tym nawet w „Echo sepulchralis” Borck pisząc: „Lacus Radunia est murenarum (morenki), truttarum (pstrągi) aliorumque piscium saporis singularis”.

Wagę Raduni doceniali także gdańszczanie, przekopując w połowie czternastego wieku kanał Nowej Raduni, łączący się z Motławą, a zasilający liczne młyny i fabryki. Dość wspomnieć, zbudowany w czasach krzyżackich, a po dziś dzień istniejący, Wielki Młyn. Niestety, dzisiaj to tylko kłopotliwa dla Gdańska budowla.

Radunia jest rzeką zmienną. Dzika i prawdziwie górską przełamuje się ciasnym łożyskiem w stronę Żukowa, aby tuż za nim spowolnić w swoim nieskończonym biegu. Przez lata i wieki. W stronę Motławy. W stronę Gdańska.

Nie można się oprzeć refleksji patrząc na Wielki Młyn i na ten ściek, który ledwie płynie historycznym kanałem przez Gdańsk, że dawni gdańszczanie bardziej szanowali i rozumieli Radunię. Jaki ściek, taka i pitna woda.



W NUMERZE:

Tadeusz Bolduan Dyskusja redakcyjna z udziałem Mariana Frydy z Człuchowa, Jarosława Kordzińskiego z Krokowej, Franciszka Okunia z Leśniewa i Brunona Synaka, socjologa	1	My i jacyś „oni”
Mikołaj Kostecki Z ambasadorem RP w Republice Federalnej Niemiec Januszem Reiterem rozmawia	5	Dojrzewanie z papieżem
Stanisław Pestka Jarosław Załęcki Grzegorz Berendt Jarosław Sellin	6	Niemcy europejskie
Andrzej Piskozub	8	Co Kaszubi myślą o Niemcach?
Stanisław Janke Jan Zbrzyca Ewa Kordzińska Andrzej Kotecki Ks. Kazimierz Raepke	10	Szkic z dziejów Żydów gdańskich
Marek Latoszek	13	Znaki obecności. Gdańskie pamiątki po Żydach
Jarosław Kordziński	15	W kręgu hanzeatyckich mórz. Z gdańskiej perspektywy (3)
Rafał Słomiński Eugeniusz Pryczkowski Stanisław Janke	18	Duńskie olśnienia
Joanna Lewna Cezary Obracht-Prondzyński Wiktor Pepliński Aleksander Labuda	22	Kam z Tuno
Jan Drzeżdżon Bolesław Fac	23	Nasza ziemia
Henryk Galus Wojciech Turek Józef Borzyszkowski	24	Na Pomorzu 170 lat temu
Fried Esterbauer	30	Album rodzinny. Opowieść o potomku rodu z kuropatwą w herbie
Brunon Synak Janusz Kowalski	32	Gmina Koczała i gmina Kolbudy. Alfabet kaszubski
Ewa Rogowska Józef Borzyszkowski Wojciech Turek Ryszard Ciemieński (T.Bol.)	35	Szukanie drogi
Leon Reszka K.O.	36	Stolemy '91
	37	Dzieło doprawdy imponujące
	38	Bez Kaszëb ni może żec
	38	Jesz jeden dżen; Dalek; Do biôtégó rena; A równak
	39	Ankieta. Czy chcemy się uczyć po kaszubsku?
	40	Tatczëzna. Skra Ormuzdowa '91
	41	Recepta długiego żecëgo; Sztëczk miąska
	42	Zeloné mëdlo. Biôli kôlp (III)
	46	Książë Wiślaw — piewca kobiety i miłości
	47	Pieśni księcia Wiśława z Rugii
	48	Meandry polskich przemian
	51	Na własny rachunek. Rok liberałów
	52	Pokój, bezpieczeństwo i współpraca w Europie Środkowej
	52	Federalizm i regionalizm w Europie Środkowej
	53	Etniczny koloryt Europy
	55	Kaszubsko-kociewsko-borowiacko-krajeński obszar aktywności wyborczej
	56	Słowianie pomorscy
	57	O narodzinach demokracji lokalnej
	57	Na początku drogi
	58	Janta znany i nieznaný
	60	Książki
	61	Listy
	62	Klëka
	68	Piękna rzeka. Historia w pocztówkach
	69	Sopot. Herby miast pomorskich

POMERANIA

Nr 7—8 (219—220) Rok zał. 1963

WYDAWCA
Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

ADRES REDAKCJI
Targ Drzewny 3/7, 80-886 Gdańsk
tel. 31-71-33 i 31-50-41 w. 268

KONTO
PKO Gdańsk 19510-5890-132

REDAKCJA: Bogumiła Cirocka, Stanisław Janke, Stanisław Pestka (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Wiesław Turek. Redakcja techniczna i graficzna: Olgierd Kostrowicki; korekta: Maria Szrajber. KOLEGIUM: Eugeniusz Gołębki, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.

Indeks 37193 PL ISSN 0238-9045

Druk: Zakład Poligraficzny „El-graf” w Gdańsku. Zam. 270

HERBY MIAST POMORSKICH



SOPOT

W siedemsetletnich dziejach, licząc od pierwszej źródłowej wiadomości, Sopot wiele zawdzięcza morzu. Nic przeto bardziej naturalnego niż morski motyw w herbie tego miasta. Tworzy go skrzydlata mewa na ławicy złocistego piasku. Herb ów wyraża nadmorskie położenie, w pewnym sensie propaguje krajobrazowe walory Sopotu. Nie nawiązuje natomiast do przeszłości, nie charakteryzuje miasta pod względem szczególnych funkcji, toteż ma swych krytyków. Jest ogólnikowy, przedstawia niewiele — mówią. A byłoby o czym opowiedzieć.

Pojawił się Sopot w średniowiecznej historii Pomorza jako wieś, nadana w 1283 roku przez księcia Mściwuja II klasztorowi cystersów w Oliwie. Przez trzy wieki mieszkańcy przysparzali klasztorowi profitów z uprawy ziemi. W XVI wieku charakter wsi zmienił się za przyczyną jej widokowych i klimatycznych walorów. Zwrócili na te zalety uwagę patrycjusze gdańscy, którzy, idąc za renesansową modą powrotu do natury, zakładali w podmiejskich wsiach letnie rezydencje i gospodarstwa. Na gruntach rolnych i leśnych Sopotu powstało wiele mieszczkańskich dworów, wśród nich okazałe, odpowiadające za-
możności i społecznej pozycji patrycjuszowskich rodów.

Sopot przeżywał wówczas swój pierwszy rozkwit, jako wypoczynkowe zaplecze bogatego Gdańska. Ciesząc się taką sławą odegrał pierwszoplanową rolę w wydarzeniu, które przykuwało oczy niemal całej Europy; po długotrwałych wojnach polsko-szwedzkich, podczas toczących się wiosną 1660 roku w opactwie oliwskim rokowań pokojowych, król polski Jan Kazimierz wraz z żoną Marią Ludwiką i całą świtą miał swą rezydencję we dworze Rajnolda Kälmera w Karlikowie, zaś stojący na czele licznej delegacji szwedzkiej graf Magnus de la Gardie zamieszkał w Dworze Hiszpańskim. Przez kilka tygodni był Sopot, wszakże nieoficjalnie, stolicą Polski.

Okres świetności zakończył się nagle, podczas wojny Sasa z Lasem. W maju 1734 roku Rosjanie, oblegający przychylny Stanisławowi Leszczyńskiemu Gdańsk, spalili Sopot i inne nadmorskie wsie, aby uniemożliwić kwaterunek posiłkom francuskim. Odbudowa trwała kilka dziesięcioleci, a przy tym liczne posiadłości zmieniały właścicieli; wśród posesorów nie brakowało teraz szlachty i magnatów pomorskich, jak Sierakowscy i Przebendowscy. Sopot znów stał się wytworny i modny.

Przełomowym momentem było jednak nowe odkrycie letniska, którego dokonał osiadły w Gdańsku Alzatzczyk, lekarz wojskowy Jan Jerzy Haffner. Zachwycony urodą miejsca, wyczuwający doskonale zdrowotne właściwości morza, założył w 1820 roku zakład kąpielowy, który dał początek przyszłemu kurortowi. Spadkobiercy i kontynuatorzy Haffnera, przy poparciu władz gminy, zwiększyli skalę przedsięwzięcia. Przez cały wiek XIX Sopot rósł, przybierał miejskie kształty i przyciągał coraz więcej gości. W październiku 1901 roku rząd pruski nadał dziesięciotysięcznej miejscowości prawa miejskie.

Nic z tradycji polskiej przeszłości nie uwzględniono w herbie młodego miasta — pisze Franciszek Mamuszka w „Bedekerze sopockim” (Gdańsk 1981). Rada miejska przedłożyła władzom w Berlinie projekt opracowany przez zauroczoną bałtyckim kąpieliskiem turystkę, Elzę Luedeckę. Trudno przypuszczać, by burmistrz i rajcowie nie poświęcili tej sprawie dostatecznej uwagi, raczej z rozmysłem rekomendowali godło wolne od „obciążień” przeszłości. W lutym 1904 roku herb został miastu przyznany.

Oprócz „obrazka z plaży” (jak się czasem określa), zawierał nad tarczą rysunek muru obronnego z zamkniętą bramą i trzema wieżami z blankowanym zwieńczeniem. Ten element, jako zupełnie nie przystający do dziejów i współczesnych realiów (nigdy przecież Sopot nie posiadał fortyfikacji), był pomijany i zdaje się ostatecznie został odrzucony. Ale i pozostałe elementy traktowane były przez dziesięciolecia z dużą swobodą. Tarcza herbowa była u dołu zaokrąglona, lub posiadała jęczyzek. Mewę rysowano z rozmaicie rozłożonymi skrzydłami, ryba w jej łapach miewała kształt karpia lub śledzia — czasem był to zgoła schematyczny rysunek ryby. Piasek uformowany był w pagórek, w innym przypadku zaś tylko oddzielony od nieba prostą kreską.

Dowolność ta wynikała zapewne stąd, że nie zostało upowszechnione i dziś nie jest znane oryginalne opracowanie graficzne Elsy Luedeckę ani jego opis. O kolorystyce herbu wiadomo, iż niebo powinno być błękitne, mewa i ryba srebrzyste, piasek złoty, aczkolwiek i w tej materii brak jednoznacznych ustaleń pozostawia możliwość stosowania różnych odcieni. Czy dziób mewy ma być czarny, a łapy czerwone — jak sugerował jeden z powojennych opisów?

Bywa, że herb ulega transformacji pod wpływem zmieniającej się estetyki, albo celowo dokonuje się zmiany ze względów najczęściej ideowych. Zawsze jednak istnieje jakiś punkt wyjścia, tak więc i herb Sopotu powinien doczekać się ściślejszej regulacji. Pomijając odstępstwa od reguł heraldyki, jest przecież ciągle symbolem miasta, które czerpie siły vitalne z nadmorskiej przyrody.

K.O.